CÓRKA NARODU
Mitologia i polityka na Jasnej Górze

TRZECIA SIŁA
Co teraz zrobią ludzie Hołowni

WOLĘ NIEWOLĘ
Przyjemności z tyranii

ANDRZEJ GRABOWSKI
Spowiedź chuligana po przejściach

NA WAKACJE!
Pływaj, choćby na stojąco

Kraków 19 lipca 2020 nr 29 (3706) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

Dwie Polski, jeden prezydent

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

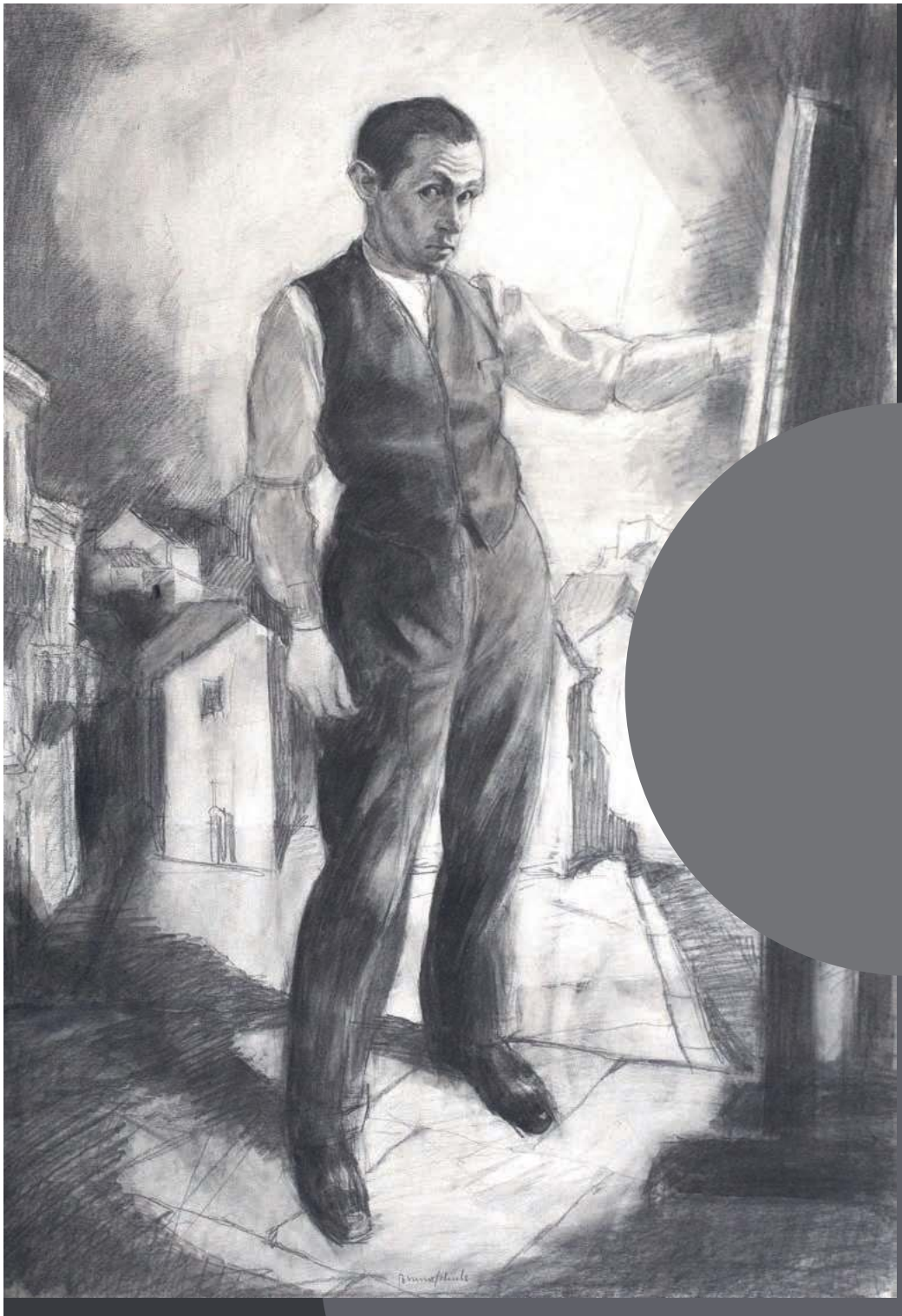

Schulz Bruno, Autoportret, tusz, ołówek, papier, 52 x 37 cm, reprodukcja Illia Lewin, Lwowska Narodowa Galeria Sztuki im. B. G. Woźnickiego

PAŃSTWOWA GALERIA SZTUKI
PL-81-720 SOPOT, PLAC ZDROJOWY 2, tel.: (+48 58) 551 06 21, fax: 551 32 62, NIP 585-122-00-52, REGON 000277167

Koncepcja, aranżacja i wybór prac: Andrzej Starmach
Współorganizacja: Galeria Starmach

Wystawa zrealizowana przy wsparciu finansowym Miasta Sopotu.

URZĄDZONE. ZREALIZOWANE. PRACE Z KOLEKCJI GALERII STARMACH

ARTYŚCI: Magdalena Abakanowicz ○ Tadeusz Kantor ○ Edward Krasiński ○ Marek Piasecki ○ Mikołaj Smoczyński.

KURATOR: JULITA DELUGA

WYSTAWA CZYNNA DO 9 SIERPNIA

WYSTAWA CZYNNA DO 16 SIERPNIA

KURATOR: IGOR CHOMYN

Prace z kolekcji Lwowskiej Narodowej Galerii im B. G. Woźnickiego oraz freski z Muzeum Ziemi Drohobyckiej

BRUNO SCHULZ WŚRÓD ARTYSTÓW SWOICH CZASÓW

ARTYŚCI: Bruno Schulz oraz m.in. Ksawery Dunikowski ○ Erno Erb ○ Marceli Harasimowicz ○ Włastimil Hofman ○ Alfons Karpiński ○ Andrzej Pronaszko ○ Eustachy Wasilkowski ○ Wojciech Weiss ○ Leon Wyczółkowski ○ Kazimierz Sichulski.

WYSTAWA CZYNNA DO 9 SIERPNIA

KURATOR: MARIA RUBERSZ

JAN LEBENSTEIN. MALARSTWO I RYSUNEK

Wystawa prac z kolekcji Urszuli i Piotra Hofman, Bogdana Jakubowskiego, Kolekcji Galerii Fibak, Marii i Marka Pileckich.

Wystawa zrealizowana przy wsparciu finansowym Miasta Sopotu.

Sopot

KS. ADAM

Boniecki: *Katolik idzie na wybory*

W TEJ KAMPANII SPRAWY RELIGIJNE POZOSTAWAŁY raczej na uboczu. Jeśli się pojawiały, to zazwyczaj jako problemy szczegółowe, w których stanowisko Kościoła jest dobrze znane – np. prawa aborcyjnego, *in vitro* czy związków jednopłciowych.

Duszpasterze jednak nie przesypiali kampanii. Bo choć Kościół jest ponad podziałami politycznymi i z zasady się nie wtrąca do wyborów, to nie rezygnuje z podawania wiernym kryteriów wyboru. I tak np. metropolita krakowski abp Marek Jędraszewski prosił wiernych archidiecezji, by głosować „za tym kandydatem na urząd prezydenta RP, którego polityczny program jest bliski nauce społecznej Kościoła ze względu na obronę fundamentalnej wartości życia oraz tradycyjnie pojmowaną instytucję małżeństwa i rodziny, a także troskę o zagwarantowanie rodzicom prawa do wychowywania ich dzieci". Jeszcze 11 lipca na Jasnej Górze arcybiskup ostrzegał pielgrzymów Radia Maryja przed „ideologiami wyrosłymi z marksizmu" i „dyktaturą mniejszości".

Przewodniczący Rady ds. Apostolstwa Świeckich Konferencji Episkopatu Polski w rozmowie z „Naszym Dziennikiem" wskazywał z kolei, że katolik powinien głosować na kandydata, który hierarchię wyznawanych wartości opiera na Dekalogu i Ewangelii. To bowiem jest kryterium podstawowe. Sekretarz generalny KEP apelował „do wszystkich polityków i dziennikarzy o merytoryczne, konstruktywne i uczciwe wymienianie poglądów oraz ich relacjonowanie" i prosił, „aby wszelkim polemikom i wymianie zdań towarzyszyły zawsze szacunek dla oponentów, spokój i zdrowy rozsądek" – zresztą, z niewielkim skutkiem.

Nie wszystkim było łatwo zachować spokój i zdrowy rozsądek. Proboszcz niewielkiej parafii w diecezji radomskiej w ogłoszeniach parafialnych uświadamiał swoich parafian, że gdy katolik poprzez akt wyborczy wybiera zło, sam stawia się poza Kościołem – nie tylko popełnia grzech ciężki, lecz praktycznie wyłącza się ze wspólnoty Ludu Bożego. I ostrzegał przed oddaniem głosu na konkurenta Andrzeja Dudy – kandydata, który reprezentuje ateizm, niewiarę, ubóstwienie człowieka, niszczenie chrześcijaństwa, sianie nienawiści wobec papieża, biskupów, kapłanów, osób wierzących, cywilizację śmierci: aborcję, eutanazję, *in vitro*, eksperymenty na ludzkim genomie, a także małżeństwa jednopłciowe, zmieniające się role rodziców wobec dzieci, adopcję dzieci przez pary homoseksualne, propagowanie rzekomo naukowej możliwości wielokrotnej zmiany płci itd.

Z pewnością wielu księży nie godziło się na kampanię wyborczą w kościołach i jej nie uprawiało. Jednak idące z góry pouczenia nie pozostawiały wątpliwości, kogo Episkopat (Kościół) popiera. Czy to dziwne, że kandydat z programem, którego rzekomą niezgodność z nauką Kościoła i katolicką tradycją uparcie eksponowała druga strona, nie zdobył zaufania wielu katolików?

PS. Przypomnijmy zasady katolickiej nauki: Nie ma (i nie może być) idealnej „katolickiej" partii, a więc i idealnego kandydata. Celem wszelkiej władzy jest dążenie do dobra wspólnego. „Tyle państwa, ile koniecznie potrzeba, tyle wolności, ile można". Uwaga: sprawdzić, czy kandydat tylko deklaruje przestrzeganie tych zasad, czy je w dotychczasowej działalności stosował. ©℗

Chcesz otrzymać wcześniejsze numery?
Napisz na **zamowienia@TygodnikPowszechny.pl**
Można zamówić następujące tytuły wydań specjalnych „TP": „Do Betlejem!", „Moc czytania", „Polska żydowska", „Smak wolności", „Zwierzenia zwierząt", „Halo, tu Ziemia", „Moc kobiet".

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Mistrzynie / Mistrzowie

Pandemia wywróciła nasz świat do góry nogami i zmusiła do pytania o kwestie podstawowe. Wchodząc w nową rzeczywistość, nie chcemy o tej lekcji zapomnieć: wielu ważnych słów z naszego języka możemy używać inaczej niż dotąd. W kolejnym wydaniu specjalnym „Tygodnika Powszechnego" o kluczowych pojęciach, takich jak DOM, NADZIEJA, ŻYWIOŁ, CZAS czy SOLIDARNOŚĆ, mówi dwoje bohaterów, ekspertów, świadków, których opowieść nadaje tym pojęciom mistrzowską interpretację.

Następny numer „Tygodnika Powszechnego. Wydania Specjalnego" ukaże się w środę 29 lipca!

TYGODNIK POWSZECHNY

TEMAT TYGODNIKA

12 Wybory to kara wymierzana przez lud
ROZMOWA Z ROBERTEM KRASOWSKIM:
Nieustanne ogłaszanie śmierci demokracji jest liberalnym odpowiednikiem smoleńskiego szaleństwa. W niedzielę znów zobaczyliśmy, że demokracja ma się świetnie.

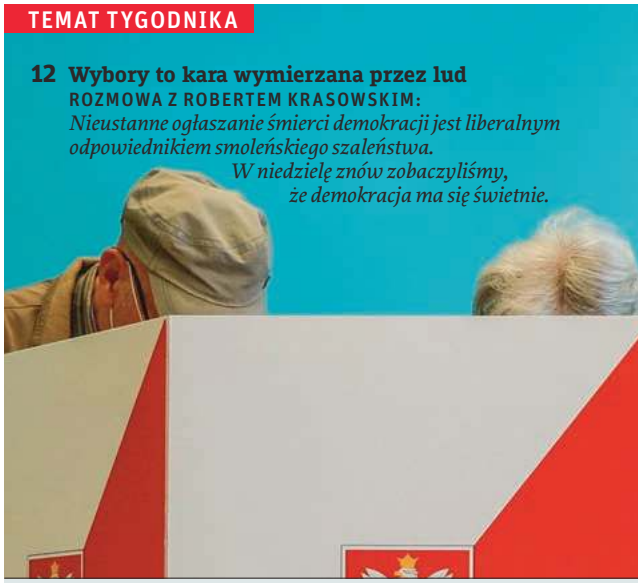

20 Pałac nie jest ich
ROZMOWA Z ADRIANĄ POROWSKĄ, SPOŁECZNICZKĄ:
Skoro w naszym domu dla bezdomnych mogą razem jeść zupę facet w koszulce „Polska Walcząca" i osoba transpłciowa, to podobną wspólnotę da się zbudować w całym kraju.

30 Naród górą
DARIUSZ KOSIŃSKI
Moc tego miejsca płynie stąd, że wszelkie jawne manifestacje, ekspresje, deklaracje i świadectwa rozbijają się tu o milczenie i ciemność jasnogórskiej ikony.

60 Nie tak to miało wyglądać
ALEXIO RASHIRAI Z ZIMBABWE
Wszystko w moim kraju zamknięto. Niewiele można kupić, a zarobić na te zakupy w ogóle nie sposób. Ludzie zachodzą w głowę: lepiej umrzeć od wirusa czy z głodu?

64 Spowiedź chuligana
ROZMOWA Z ANDRZEJEM GRABOWSKIM, AKTOREM:
Im człowiek starszy, tym bardziej docenia dobro w najprostszej postaci i więcej tego dobra potrzebuje.

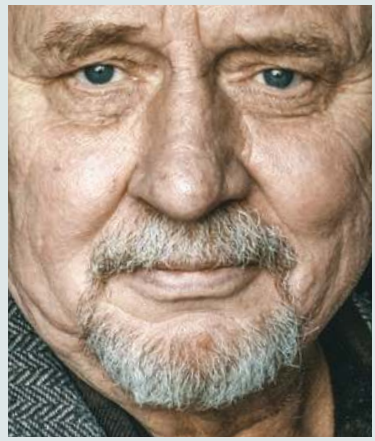

86 Wasze ręce, wasze oczy
MAREK BIEŃCZYK
To nie władza stwarza posłuszeństwo, lecz posłuszeństwo stwarza władzę. Kto czerpie przyjemność z tyranii?

ALEKSANDRA SZMIGIEL / REUTERS / FORUM // FILIP KLIMASZEWSKI DLA „TP" // ZINYANGE AUNTONY / AFP / EAST NEWS // ALEXANDER DEMIANCHUK / TASS / GETTY IMAGES // KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI / FORUM // KRZYSZTOF PAWELA / FORUM

INFORMACJA DLA CZYTELNIKÓW Z przyczyn przez Wydawcę niezawinionych, pismo może nie być dostępne w niektórych punktach sprzedaży – szczególnie tych prowadzonych przez Garmond Press SA. W zaistniałej sytuacji najkorzystniejszym i najpewniejszym sposobem otrzymywania naszego pisma jest prenumerata – szczegóły na stronie **TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate**. *WYDAWCA*

6 Granice skuteczności
PAWEŁ BRAVO

7-11 Obraz tygodnia

18-19 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

KRAJ

20 Pałac nie jest ich
ROZMOWA Z ADRIANĄ POROWSKĄ

24 Bezpowrotnie utracona lewicowość
RAFAŁ WOŚ:
Mamy w Polsce dwie lewice

26 Po drodze
KRZYSZTOF STORY:
Cztery opowieści bez adresu, za to z wieloma przedmiotami

WIARA

30 Naród górą
DARIUSZ KOSIŃSKI

34 Przypadki Padre Jarka
MACIEJ MÜLLER:
Ksiądz Jarosław Cielecki przez lata bez przeszkód funkcjonował w Kościele poza jego strukturami

36 Święci potępieńcy
JÓZEF MAJEWSKI:
Doktryna o grzechu pierworodnym przeżywa dziś poważny kryzys

ŚWIAT

40 Słowo na „A"
KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET Z TEL AWIWU:
Izraelczycy i Palestyńczycy są coraz dalej od pokoju

42 To byłby koniec marzeń
ROZMOWA Z SAEBEM EREKATEM, POLITYKIEM PARTII FATAH:
Jeśli nie skłonimy premiera Izraela do rezygnacji z aneksji, to będzie absolutny koniec negocjacji

JACEK MARCZEWSKI / AGENCJA GAZETA

DODATEK SPECJALNY

76 WŁÓCZYKIJ I POWSINOGA

W drugim odcinku wakacyjnego cyklu dodatków:
- Drżą fontanny, dźwięczą źródła, krople pluszczą!
- Włóczywiosła: deski, tratwy, kajaki
- Wiosłujże po Biebrzy!
- Urlop z deską, czyli spoSUP na jeziora
- Piszą: Adam Robiński i Piotr Sikora

FELIETONY

29 ANNA DZIEWIT-MELLER **69** ANDRZEJ STASIUK
84 JAN KLATA **85** PAWEŁ BRAVO
90 STANISŁAW MANCEWICZ
90 BARTOSZ MINKIEWICZ

Na okładce:
Rafał Trzaskowski i Andrzej Duda
ARTUR WIDAK / GETTY IMAGES // ANDRZEJ HULIMKA / FORUM // MONTAŻ „TP"
Redaktor prowadzący: MICHAŁ KUŹMIŃSKI

44 Jak się rodzi Nowa Turcja
AGNIESZKA ROSTKOWSKA ZE STAMBUŁU: *Ekipa prezydenta Erdoğana buduje zbiorową tożsamość*

47 Taki miły klubik
DARIUSZ KAŁAN Z BRATYSŁAWY:
W sukcesach i upadku Artmedii Petržalka odbijają się losy Słowacji

49 Kobiety guerilli
EWA KLEWAR Z MEDELLÍN:
Podczas wojny domowej w Kolumbii w partyzanckich organizacjach mogło dochodzić nawet do tysiąca przymusowych aborcji rocznie

HISTORIA

52 Esbecja w likwidacji
TOMASZ KOZŁOWSKI:
30 lat temu Służbę Bezpieczeństwa spotkała rewolucja

NAUKA

56 Pożegnanie z Britannicą
ŁUKASZ LAMŻA: *Co pozostało po 250-letniej „królowej encyklopedii"?*

Z ODDECHEM

60 Nie tak to miało wyglądać
ALEXIO RASHIRAI

KULTURA

64 Spowiedź chuligana
ROZMOWA Z ANDRZEJEM GRABOWSKIM

70 Sen o Ameryce
TOMASZ PINDEL:
Alejo Carpentier to jeden z najważniejszych kubańskich pisarzy

74 Dżem z pigwy
ANITA PIOTROWSKA
o bułgarskim filmie „Ojciec"

84 Chwile istnienia
LEKTOR *o tomie wierszy Agi Mishol „Jestem stąd"*

ZMYSŁY

86 Wasze ręce, wasze oczy
MAREK BIEŃCZYK

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Woś się jeży
Czas przekonywania i agitowania za „moim" kandydatem się skończył. Nadszedł moment na wysłuchanie, dlaczego tak wielu rodaków uważa „inaczej niż ja" – pisze **RAFAŁ WOŚ**
tygodnikpowszechny.pl/wossiejezy

Nowy plan Europy [Podkast Powszechny]
Jak się po raz pierwszy w historii Unii wspólnie zadłużyć na rzecz odbudowy gospodarek krajów członkowskich? I jak spłacić to zadłużenie, uzyskując przy okazji przewagę ekonomiczną i ekologiczną? – opowiada **MAREK RABIJ** powszech.net/podkast-europa

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

GRANICE SKUTECZNOŚCI

Jarosław Kaczyński nie ma już tak dużej swobody. Ale opozycja wciąż nie potrafi przebić szklanego sufitu.

PAWEŁ BRAVO

Wieczór wyborczy Andrzeja Dudy w Pułtusku, 12 lipca 2020 r.

Nieznaczna wygrana Andrzeja Dudy – procentowo jego wynik był nawet słabszy niż pięć lat temu, ale za to w liczbach bezwzględnych oznacza przyrost o 1,8 mln głosów. Prawie tyle samo ludzi więcej zagłosowało też na kandydata PO. Faktycznie bowiem jedyną nowością tych wyborów była znacznie wyższa frekwencja, o wiele mniej niż dotąd zróżnicowana na osi wieś-miasto. To bezwzględnie dobra wiadomość – Polska prowincjonalna głosuje prawie tak samo chętnie jak metropolie, co oznacza, że polityka, choćby pośrednio, może stać się ekspresją interesów większej części społeczeństwa i znika przynajmniej jedna z wielu nierówności typowych dla udziału w życiu publicznym III RP.

W stosunku do sytuacji z jesieni 2018 r., kiedy wybory samorządowe zaczynały bezprecedensowy wyborczy „czteropak", w szerokim obrazie zmieniło się niewiele – żaden z dwóch dominujących obozów ani znacząco się nie wzmocnił, ani nie zepchnął drugiego na margines. Kolejne próby rozszczelniania duopolu paliły na panewce, chociaż to nie znaczy, że kolejne potencjalne „trzecie siły" nie wnosiły ważnych tematów i obiecujących twarzy.

Jeśli jednak patrzeć węziej, jak radzi pewien raper w głośnym tuż przed wyborami utworze, to zaszło kilka istotnych zmian: z jednej strony Jarosław Kaczyński nie ma już tak dużej swobody w kształtowaniu prawa i praktyki rządzenia, a wymęczona wygrana Andrzeja Dudy pokazuje, jakie są granice skuteczności szczodrych transferów socjalnych opakowanych w populizm podlany zmasowaną propagandą państwowych mediów. Poza tym, nawet jeśli

PiS odzyska teraz panowanie nad „ciągiem technologicznym” na Wiejskiej, czyli przekupi paru senatorów, to będzie miał do czynienia z Dudą mniej zależnym od widzimisię i łaski prezesa, o ile oczywiście prezydent zechce zaskoczyć wszystkich pokazem charakteru.

Z drugiej zaś strony, widzimy Platformę, która w sprzyjających okolicznościach – bo podmiana fatalnej kandydatki była, przy całym dramatyzmie sytuacji, świetną okazją do odświeżenia wizerunku – nie potrafi przebić szklanego, wielkomiejskiego sufitu. Często wydaje się bardziej zajęta sobą i ustalaniem hierarchii w obozie niż próbą wpływu na rzeczywistość. Rafał Trzaskowski zapewniał niedawno, że Donald Tusk jest już na emeryturze. Dla dobra partii powinien do niego dołączyć Grzegorz Schetyna.

Co zaś uczyni prezes Kaczyński, zanim uda się na emeryturę? Sporo się w kampanii mówiło o dokańczaniu rzekomej rewolucji – ale na ile był to tylko sposób na utwardzanie tej części elektoratu, którą kieruje resentyment do poprzednich elit? W końcu PiS zdążył wykształcić własne elity oraz całkiem spory establishment zainteresowany spokojną konsumpcją korzyści ze skolonizowania instytucji. Licytowanie się w radykalnych hasłach – np. zmian w strukturze własności mediów albo ustroju samorządów – to też sposób ustalania podziału sił i wpływów w obozie władzy.

Niestety, PiS może kompensować niedostatek realnych przeobrażeń podgrzewaniem sztucznej wojny kulturowej. Krzyżujące się podziały społeczne są, owszem, binarne, ale żadną miarą nie dają się sprowadzić do prostej opozycji obozu wstecznictwa i postępu. W ostatniej kampanii to PiS pierwszy zaatakował tematami obyczajowymi, ale trzeba pamiętać, że po drugiej stronie barykady jest równie wiele niezrozumienia dla faktycznych, niejednoznacznych postaw społeczeństwa. Pozostaje ono letnie, oportunistycznie konserwatywne, ale praktykujące po cichu otwartość na zmianę. Jesteśmy jako wspólnota gdzieś pomiędzy skrajnościami. To, że dzielimy się pół na pół w wyborach nie oznacza, że w wielu innych sprawach nie jesteśmy gromadnie pośrodku. ©℗

Trzaskowski może musieć

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Dzięki wyborcom niechętnym PiS Rafał Trzaskowski stał się najpopularniejszym politykiem opozycji. Jeśli dobrze wykorzysta najbliższe miesiące, to porażkę może przekuć w przyszły sukces.

Jeszcze przed ogłoszeniem oficjalnych wyników ruszyły rozliczenia. Twardzi stronnicy Trzaskowskiego zaatakowali Szymona Hołownię, Władysława Kosiniaka-Kamysza i Roberta Biedronia, zarzucając im, że nie zaangażowali się w kampanię przed drugą turą. Przyczajony Grzegorz Schetyna wyprowadził natarcie na Trzaskowskiego i twórców jego kampanii, oskarżając ich o strategiczne błędy, m.in. odmowę udziału w debacie TVP w Końskich i skupienie się na wyborcach w miastach.

Z jednej strony opozycja, zwłaszcza Platforma, osiągnęła sukces. To były najlepsze dla niej wybory od utraty władzy w 2015 r. Z drugiej – porażka to porażka, stąd grono polityków, którzy chcą zyskać na przetasowaniach powyborczych. – Po stronie opozycji w najbliższych tygodniach dojdzie do brutalnych rozliczeń. Trudno przewidzieć, co z tego wyniknie. Ale Rafał będzie się trzymał od tego z daleka – mówi jeden z bliskich współpracowników prezydenta stolicy. Atak Schetyny to próba zatrzymania przez starsze pokolenie PO generacyjnych zmian, których twarzami są Trzaskowski i szef Platformy Borys Budka.

Na razie nie ma jeszcze decyzji, co z samym Trzaskowskim. Warszawa jest dla niego za mała i jasne jest, że stanowi tylko przystanek w dalszej karierze. Zaliczył pierwszą przegraną, z drugiej strony, zdobył ok. 10 mln głosów, co czyni go najważniejszym politykiem opozycji. Trzaskowski nigdy nie chciał być partyjnym liderem, ale w PO słychać, że może nie mieć wyjścia, jeśli opozycja chce wygrać z PiS w 2023 r. Nie ma wątpliwości, że PiS zdaje sobie sprawę, iż kolejne zwycięstwo łatwe nie będzie, stąd plotki o planowanych zmianach w ordynacji wyborczej, które pomogłyby władzy. W tej sytuacji w ciągu trzech lat opozycja – która nie potrafiła współpracować przy wyborach prezydenckich – może być zmuszona do konsolidacji. W Platformie pojawiły się marzenia o koalicji na kształt Zjednoczonej Prawicy z PSL, Lewicą czy ruchem Hołowni przyklejonymi do PO. Tylko Trzaskowski – który zdobył poparcie dużej części wyborców tych formacji – mógłby takiego zjednoczenia dokonać. I stać się potencjalnym kandydatem na premiera w 2023 r. Ma na to szansę, jeśli odrobi lekcję Donalda Tuska, który przegrał prezydenturę w 2005 r., by dwa lata później wygrać wybory do Sejmu i zdominować polską politykę na 7 lat. ©

Autor jest dziennikarzem Onet.pl. Stale współpracuje z „TP”.

Nie, bo nie

NIE JESTEM ZWOLENNIKIEM JAKICHKOLWIEK szczepień obowiązkowych – powiedział Andrzej Duda podczas tzw. debaty w Końskich. „Osobiście nigdy się nie zaszczepiłem na grypę, bo uważam, że nie (...) i uważam, że szczepienia na koronawirusa absolutnie nie powinny być obowiązkowe” – dodał. Zaprotestowały środowiska medyczne: podważanie zasadności szczepień skutkuje wzrostem zachorowań, hospitalizacji i zgonów.

Prezydent usiłował potem dowodzić, że nie powiedział tego, co powiedział. Podkreślał m.in., że miał na myśli jedynie szczepionki przeciw grypie i (nieistniejącą) przeciw koronawirusowi, zdradzając tym samym, że nie odróżnia szczepień obowiązkowych od zalecanych. Wzorem prezydenta Brazylii Jaira Bolsonaro stwierdził też: „koronawirus to taki rodzaj grypy, przynajmniej ja to tak rozumiem”. Nie miejsce tu na szczegółowe porównanie tych chorób, wywoływanych przez zupełnie inne wirusy; wystarczy podać, że na grypę w sezonie 2018/19 zmarło w Polsce 150 osób, a na COVID-19 już ponad 1,5 tys.

W Polsce na grypę szczepi się, mimo corocznych kampanii edukacyjnych, ok. 4 proc. populacji. Sezon tej choroby zaczyna się jesienią. Jej objawy są zbliżone do covidowych, eksperci przestrzegają, że jedna epidemia napędzi drugą, a ogniskami zakażeń staną się poczekalnie lekarzy POZ. Krokiem ograniczającym ryzyko byłyby masowe szczepienia na grypę; niestety w Polsce są płatne, a oparte na argumentacji „nie, bo nie” wypowiedzi polityków mogą ten wskaźnik dodatkowo obniżyć. ©℗ MACIEJ MÜLLER

KRYSTIAN DOBUSZYŃSKI / POLSKA PRESS / GALLO IMAGES

PiS i okruszki

MAREK RABIJ

Aferka z ulotkami szkalującymi kontrkandydata urzędującego prezydenta, które roznosiła Poczta Polska (oficjalnie w ramach komercyjnego zlecenia ze sztabu Dudy), pokazuje, jak dobrze ma się w Polsce polityczny kapitalizm. PiS nie jest naturalnie pierwszym ugrupowaniem, które własność publiczną traktuje jak swoje poletko. Dość przypomnieć Aleksandra Grada odesłanego przez PO do budowy elektrowni jądrowej czy Stanisława Dobrzańskiego z PSL, którego minister skarbu z koalicyjnego SLD zrobił szefem ważnej firmy energetycznej, bo „Staszek chciał spróbować swoich sił w biznesie". Partii Kaczyńskiego jako pierwszej udało się jednak dokonać niemal pełnego uwłaszczenia na spółkach Skarbu Państwa.

Rząd przejął najpierw kontrolę nad Pekao S.A. oraz Alior Bankiem, obsadzając obie firmy zaufanymi ludźmi. Repolonizacja miała wyjść na zdrowie klientom, ale zyskał na niej przede wszystkim PiS, który banki uczynił swym nieformalnym zapleczem finansowym i logistycznym. To samo spotkało resztę spółek Skarbu Państwa. Formalnie i KGHM, i PKN Orlen czy Pekao lub PZU realizują jedynie swoje strategie. W praktyce cele firm są podporządkowane politycznej agendzie władzy. Dlatego PKO BP ogrzewa swoją markę w wątpliwym blasku żołnierzy wyklętych, KGHM zamawia transport maseczek gigantycznym ukraińskim samolotem, który na Okęciu wita sam premier, rentowne spółki energetyczne topią miliardy w fuzjach z trupami, jakimi są holdingi węglowe, a poseł Kaczyński może zapowiedzieć, że po wyborach bogate państwowe firmy złożą zagranicznym właścicielom mediów prywatnych finansowe propozycje nie do odrzucenia.

Spółki Skarbu Państwa dają też zatrudnienie partyjnym działaczom i ich bliskim. I wreszcie to ich reklamy stanowią wytłumaczenie fenomenu prorządowych mediów, które odpływ odbiorców potrafią połączyć ze wzrostem przychodów. Okruszki, które z budżetów gigantów polskiej gospodarki zawłaszczyło otoczenie PiS, nie mają oczywiście znaczenia w bilansach tych spółek. Są jednak na tyle duże, by mogła się nimi udławić demokracja. ©℗

KRAJ W SKRÓCIE

WESELNE OGNISKO

Choć liczba aktualnie zakażonych koronawirusem w Polsce spadła poniżej 10 tys., dzienny wzrost zachorowań waha się w okolicy 300. Nowe ognisko powstało w powiecie nowosądeckim, a jego źródłem były trzy wesela.

CZYSTSZE RĘCE

Od stycznia do marca udzielono 3 332 świadczenia związane z leczeniem biegunki wywołanej przez rotawirusy, podczas gdy rok wcześniej było to 11 370. Mniej chorujemy na salmonellozę, bakteryjne i wirusowe zakażenia jelitowe oraz wirusowe zapalenia wątroby typu A. „To dobitnie pokazuje, że Polacy do tej pory nie myli rąk" – komentuje w „Rzeczpospolitej" specjalista chorób zakaźnych dr Ernest Kuchar.

SALOMONOWY WYROK

Postępowanie w sprawie zderzenia fiata seicento z kolumną byłej premier Beaty Szydło zostało warunkowo umorzone: kierujący pojazdem mężczyzna nie będzie wpisany do rejestru karnego, a sąd zaznaczył, że kierowca BOR również złamał przepisy ruchu drogowego.

ARCHIWUM PRYWATNE

WIELKA UCIECZKA

Udomowiona puma Nubia, której właściciel – mimo wyroku sądu – nie chciał przekazać pracownikom zoo w Poznaniu, trafiła do zoo w Chorzowie. Wcześniej mieszkający ze zwierzęciem mężczyzna uciekł z nią do lasu, a poszukiwania pary, w których uczestniczyło ok. 200 policjantów, dron i śmigłowiec, zakończyły się niepowodzeniem.

Miejskie Przedsiębiorstwo Kolizyjne

WARSZAWA, KONIEC CZERWCA: autobus spada z wiaduktu trasy S8. Kilka dni później kolejny uderza w zaparkowane pojazdy. Badania wykazują, że kierowcy zażywali narkotyki. Policjanci rybnickiej drogówki ruszają na kontrole pracowników komunikacji miejskiej – i wykrywają amfetaminę u jednego z badanych. „Boimy się, że kierowcy zaczną odchodzić z pracy" – mówi wiceprezydent Warszawy. Zawieszenie umowy z firmą Arriva, zatrudniającą zatrzymanych, skutkuje paraliżem kilkunastu linii. Ale w Mazowieckiem sytuacja i tak jest niezła. Kierowców mających odpowiednie kwalifikacje brakuje w kraju od lat – najgorzej jest w Katowicach, Krakowie i Wrocławiu. Przyczyny: brak edukacji oraz obowiązkowej służby wojskowej (podczas której wielu młodych ludzi zdobywało te uprawnienia), emigracja i demografia – to starzejąca się grupa zawodowa, obciążona wysokimi kosztami uzyskania uprawnień. Bilans warunków pracy i płacy (mediana to 3,8 tys. zł brutto miesięcznie) zniechęca kandydatów. Kierowcy skarżą się na stres związany z odpowiedzialnością za mienie oraz jazdą w korkach, wczesne godziny rozpoczynania pracy i towarzyszące jej znużenie. Wypoczynkowi nie sprzyja konieczność dorabiania, zwykle za kierownicą taksówki. Kawa może nie wystarczyć. ©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

Ministerstwo Edukacji Niepewnej

ZDALNA NAUKA NIE ZNIKNIE – zapowiedział w zeszłym tygodniu minister edukacji Dariusz Piontkowski. W rozmowie z „Dziennikiem Gazetą Prawną" szef resortu oświaty, który wcześniej jednoznacznie zapowiadał powrót do normalnego funkcjonowania szkół od 1 września, teraz zniuansował stanowisko: przypomniał, że decyzja zapadnie po konsultacjach z władzami sanitarnymi. MEN wprowadzi prawdopodobnie wkrótce przepis pozwalający dyrektorowi placówki na przerwanie zajęć – i przejście w tryb zdalny – w przypadku wykrycia ogniska zakażeń w szkole. Kolejne rozważane rozwiązanie to nauka hybrydowa: zdalne lekcje np. raz w tygodniu.

Tymczasem obostrzenia w pracujących podczas wakacji pełną parą przedszkolach zostały już niemal zdjęte. Podwyższono limit grup do 25 dzieci, a także złagodzono kilka innych wytycznych: m.in. zwiększyła się minimalna przestrzeń przeznaczona na pobyt zbiorowy, a dzieci mogą przynosić do placówek zabawki. Obostrzenia znikają, epidemia nie: w zeszłym tygodniu zaraziły się trzy osoby w przedszkolu w Nowej Soli, wcześniej podobne przypadki notowano m.in. w Białymstoku i Warszawie.

©℗ PW

RUPAK DE CHOWDHURI / REUTERS / FORUM

DO 855 TYSIĘCY wzrosła liczba wykrytych przypadków COVID-19 w Indiach. To trzeci – po USA i Brazylii – kraj najbardziej dotknięty pandemią. Zachorował m.in. legendarny 77-letni bollywoodzki aktor Amitabh Bachchan, który 12 lipca trafił do szpitala z łagodnymi – jak poinformowała rodzina – objawami. Lekarze podkreślają, że skala epidemii w Indiach jest praktycznie niemożliwa do dokładniejszego ustalenia. Obecnie wykonuje się ok. 200 tys. testów na dobę, podczas gdy jeszcze w marcu ich liczba nie przekraczała tysiąca dziennie – w kraju liczącym blisko 1,4 mld mieszkańców. Z oficjalnych danych wynika również, że najmniej zakażeń wykryto w najgęściej zaludnionych regionach Indii. ©℗ MR

USA: rekord zakażeń

DONALD TRUMP ZACZĄŁ PROCEDURĘ WYJŚCIA Stanów Zjednoczonych ze Światowej Organizacji Zdrowia (WHO). O decyzji Białego Domu w miniony wtorek poinformował na Twitterze senator z Partii Demokratycznej Bob Menendez. Oficjalną notę dzień wcześniej otrzymało biuro Sekretarza Generalnego ONZ; jako termin opuszczenia Światowej Organizacji Zdrowia podano 6 lipca 2021 r. Joe Biden, rywal Trumpa w wyścigu o Biały Dom, zapowiedział już, że jeśli zostanie prezydentem, odwróci kontrowersyjną decyzję obecnej administracji.

Trump nie radzi sobie z kryzysem i od początku szuka winnych na zewnątrz. Już w kwietniu oskarżył WHO o zbyt powolną reakcję na epidemię i wstrzymał jej dofinansowywanie z budżetu USA. Tymczasem w Stanach epidemia się rozpędza. Odnotowano już ponad 3 mln zakażeń, a rekordowy dobowy przyrost wyniósł w zeszłym tygodniu 67 tys. W najbardziej dotkniętych stanach – Teksasie, Arizonie, Florydzie i Kalifornii – rośnie też liczba zgonów, niektóre szpitale są już przeciążone. W ciągu tygodnia na COVID-19 zmarło ponad 4,2 tys. osób. Eksperci ostrzegają, że ten trend będzie się tylko nasilać. Chyba nie ma gorszego momentu na wychodzenie z WHO.

© MARTA ZDZIEBORSKA z Kalifornii

Wojna po(d)jazdowa

W PAKIECIE MOBILNOŚCI, o który bój Polska przegrała właśnie w Brukseli, najmniejsze znaczenie mają akurat ci, o których traktuje sam projekt – czyli kierowcy.

Parlament Europejski przyjął regulacje w sprawie funkcjonowania firm transportowych na wspólnym rynku, zwane pakietem mobilności. Pierwsza jego część zacznie obowiązywać już z początkiem sierpnia – wśród nich zapisy o systematycznych, tygodniowych okresach odpoczynku dla kierowców oraz o tym, że postój dłuższy niż 45 godzin nie będzie mógł odbywać się w ciężarówce. Kierowcy mają wypoczywać w miejscach z odpowiednią infrastrukturą noclegową i sanitarną, np. hotelach, a koszty mają pokryć pracodawcy. Zgodnie z drugim ważnym przepisem przewoźnicy muszą zorganizować pracę kierowców tak, by umożliwić im powrót do domu co 3-4 tygodnie.

Dla polskich firm spedycyjnych, które dotąd skutecznie walczyły o zlecenia z konkurentami z Europy Zachodniej, zmiany oznaczają nie tylko wzrost kosztów działalności. Konieczność powrotów do kraju praktycznie uniemożliwi im pozyskiwanie klientów w krajach, w których nie mają zarejestrowanych spółek – a właśnie takie usługi (zwane kabotażowymi) stanowiły dotąd główny oręż naszych przewoźników za granicą. Polska branża spedycyjna wyrosła dzięki temu na potęgę. Pół miliona kierowców co roku przewozi mniej więcej jedną trzecią towarów z terenu Unii, a przychody branży przekraczają 50 mld dolarów rocznie.

Problem w tym, że to, co Polacy nazywają elastycznością, dla ich konkurentów z Europy Zachodniej wygląda na dumping. Francuscy i niemieccy spedytorzy naciskali więc na swoich europosłów, by zrobili porządek z polskim kabotażem. Prace nad pakietem trwały od 2015 r. i z Brukseli od jakiegoś czasu dobiegały ostrzeżenia, że w tej sprawie Wspólnota – a ściślej: jej twarde niemiecko-francuskie jądro – nie zamierza odpuścić skonfliktowanej z Unią Warszawie ani o krok.

©℗ MAREK RABIJ

Izrael: druga fala i największy kryzys

TEGO PREMIER NETANJAHU SIĘ NIE SPODZIEWAŁ: dwa miesiące po triumfalnym ogłoszeniu wyjścia z epidemii wirus uderza ze zdwojoną siłą. W ciągu ostatnich dwóch tygodni w 9-milionowym Izraelu pojawiło się ponad 1000 nowych przypadków dziennie. Chorych jest już ponad 38 tys., 360 osób zmarło. Trudna sytuacja panuje też na Zachodnim Brzegu Jordanu. Według WHO Izrael jest dziś trzecim spośród europejskich krajów z największym dziennym przyrostem zakażeń (w tej statystyce Izrael wliczany jest do Europy).

Nie tylko wirus wzbudza panikę. W związku z drugą falą rząd wprowadza na nowo restrykcje, choć nie tak radykalne jak wcześniej. Tymczasem bezrobocie już jest najwyższe w historii: sięga 25 proc. Kryzys najmocniej dotyka turystykę, transport i kulturę. W sobotę na telawiwskim placu Rabina tysiące Izraelczyków protestowały przeciw rządowi i niewystarczającej pomocy dla firm. Premierowi zarzuca się, że zbyt szybko zniósł restrykcje po pierwszej fali i nie panuje nad sytuacją.

©℗ KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET z Tel Awiwu

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

AUSTRIA
Salwatorianka i inicjatorka stowarzyszenia Solwodi Austria, s. Maria Schlackl (na zdjęciu) skrytykowała otwarcie w Austrii od 1 lipca domów publicznych. Jej zdaniem taki krok podczas trwającej pandemii zmusza osoby świadczące usługi seksualne do podejmowania większego ryzyka dla zdrowia. „Każdy, kto mówi o dobrowolności, jest cyniczny wobec kobiet w systemie przymusu i wyzysku” – uważa zakonnica. Istniejące od 2010 r. stowarzyszenie Solwodi Austria pomaga ofiarom wykorzystywania seksualnego.

DIECEZJA LINZ

NIEMCY
Biskup Trewiru Stephan Ackermann powołał komisję historyków do zbadania procesu beatyfikacyjnego założyciela Ruchu Szensztackiego, o. Josefa Kentenicha. Po otwarciu przez Franciszka archiwów z czasów Piusa XII, w oparciu o znalezione tam materiały historyczka Kościoła Alexandra von Teuffenbach napisała artykuł, w którym oskarżyła Kentenicha o manipulację, nadużycia władzy i przemoc seksualną wobec kobiet. Jego proces beatyfikacyjny został otwarty w 1975 r.

TURCJA
„Myślę o Hagii Sophii i jestem bardzo zasmucony” – powiedział papież podczas niedzielnej modlitwy „Anioł Pański”, komentując decyzję prezydenta Turcji Recepa Erdoğana o przekształceniu w meczet świątyni Hagia Sophia w Stambule, która do tej pory funkcjonowała jako muzeum. Decyzja wywołała protesty na całym świecie.

Zmierzch monopolu biskupów

ARTUR SPORNIAK

Czy to koniec Kościoła episkopalnego? – pyta brazylijski misjonarz Luis Miguel Modino. „Narodziny Kościelnej Konferencji Amazonii są z mojego punktu widzenia historycznym momentem, który może zadecydować o przyszłości Kościoła. Śmiem twierdzić, że za kilka lat będzie to sposób bycia Kościołem” – uważa. Komitet wykonawczy nowej kościelnej instytucji ukonstytuował się pod koniec czerwca jako następstwo Synodu Amazońskiego z 2019 r. W jego skład obok biskupów regionu weszli świeccy przedstawiciele ludności rdzennej. Coraz więcej wiadomo o sposobie funkcjonowania nowego ciała. Konferencja byłaby swego rodzaju „eksperymentem”, by później zastosować uzyskane wyniki w Kościele powszechnym – mówi biskup należącej do Amazonii peruwiańskiej diecezji Puerto Maldonado, David Martínez de Aguirre Guinea, będący wiceprzewodniczącym komitetu. Z kolei jego przewodniczący kard. Claudio Hummes przyznał, że sam Franciszek zaproponował tę nową strukturę i nalegał, by nie nazywać jej „konferencją biskupią”.

Kościół przeżywa poważny kryzys absolutystycznego modelu sprawowania władzy. Jego bolesnymi objawami są wszechobecny klerykalizm i tuszowanie przypadków pedofilii. Reagując na ten kryzys, biskupi niemieccy podjęli „drogę synodalną”, czyli nieformalny dialog ze świeckimi – prowadzony na równych zasadach i na trudne tematy (m.in. o władzy w Kościele). Skupiło to krytyczną uwagę konserwatystów broniących klerykalnej wizji Kościoła.

Tymczasem Franciszek daleko od Europy podjął własny eksperyment. Nie musi on doprowadzić do zaniku konferencji episkopatów. Ale już widać, że jest poważną próbą przełamania monopolu biskupów w decydowaniu o Kościele.

©℗

Papież z innego świata

ŻYJEMY W MYDLANEJ BAŃCE, pięknej, ale złudnej – mówił Franciszek w siódmą rocznicę swojej wizyty na Lampedusie, w ośrodku dla uchodźców i imigrantów. Myślimy, dodawał papież, o własnym bezpieczeństwie i dobrobycie. Obojętność na los tych, którzy z powodu wojny lub biedy wyruszają w niebezpieczną podróż do lepszego świata, jest dziś według niego większa niż w 2013 r., gdy wiadomości o kolejnych tragediach na morzu poruszały opinię publiczną. Informacje o zatonięciu łodzi albo niewolniczej pracy i torturach w libijskich obozach nie przebijają się już do naszej świadomości.

VATICAN MEDIA

Boga nie trzeba szukać daleko – mówi papież. Spotkamy go codziennie w każdym potrzebującym. Cokolwiek uczyniliście, dobrego i złego... Franciszek przypomina prawdziwe znaczenie tych słów, które zdążyliśmy przykryć grubą warstwą wygodnych interpretacji. Próbuje, jako jedyny przywódca religijny i państwowy, wstrząsnąć naszymi sumieniami i przekłuć medialną bańkę. Jego głos jest mało skuteczny, ale przynajmniej po latach nie trzeba będzie go szukać w tajnych watykańskich archiwach.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

Niechlubnej listy ciąg dalszy

MEDIA UJAWNIŁY KOLEJNEGO BISKUPA, który najprawdopodobniej popełnił przestępstwo zignorowania doniesienia o wykorzystaniu seksualnym nieletniego. Jak doniosła „Gazeta Wyborcza”, kilkanaście lat temu do bp. Tadeusza Rakoczego, ówczesnego ordynariusza bielsko-żywieckiego, obecnie emerytowanego, zgłosił się były ministrant wykorzystany przez podległego biskupowi księdza. Ten zignorował doniesienie, w wyniku czego ksiądz-przestępca wykorzystał inne dziecko.

To kolejny taki przypadek w ostatnim czasie – po biskupie kaliskim Edwardzie Janiaku, jego poprzedniku bp. Stanisławie Napierale i biskupie radomskim Henryku Tomasiku. Wcześniej wiadomo było, że do Watykanu zgłoszonych zostało ok. dziesięciu podobnych przypadków. Wskazywałoby to, że biskupi w Polsce dość licznie ignorowali obowiązek zgłaszania prawdopodobnych przypadków wykorzystania seksualnego małoletnich przez duchownych do Kongregacji Nauki Wiary, wprowadzony już w 2001 r. przez Jana Pawła II. Wygląda na to, że to nie koniec niechlubnej biskupiej listy.

©℗ ASK

JACEK ŁABAJ / SLOT ART FESTIVAL

TĘSKNO ZA SLOTEM. Gdyby nie epidemia, odbyłby się w dawnym opactwie cystersów w Lubiążu. Ale Slot Art Festival – współtworzone przez „TP" święto kultury, przyjaźni i ekologii – trwa online. 7 lipca z pustej katedry swój koncert transmitowało Tęskno (na zdjęciu), przed nami inne wydarzenia (program: slot.art.pl). Oraz idea: by Slot trwał cały rok. ©℗ ŻYM

Przeszczep młodości

AKTYWNOŚĆ FIZYCZNA zapobiega otyłości i poprawia funkcjonowanie organów. Jednym z nich jest mózg, który – jak wynika z prowadzonych w ostatnich latach badań – wolniej starzeje się u osób uprawiających sport. Nie znamy jednak mechanizmu fizjologicznego, który odpowiada za to zjawisko. W najnowszym numerze „Science" Alana Horowitz z Uniwersytetu Kalifornijskiego i współpracownicy opublikowali raport z eksperymentu, który może pomóc ten mechanizm zidentyfikować.

W badaniu brały udział myszy z dwóch grup: pierwsza prowadziła aktywny tryb życia, druga – siedzący. Zgodnie z oczekiwaniami, te pierwsze radziły sobie lepiej w zadaniach poznawczych. Badacze pobrali osocze krwi od myszy aktywnych fizycznie i przetoczyli je tym mniej wysportowanym. Wówczas i one zaczęły osiągać lepsze wyniki w testach poznawczych, a w ich mózgach zaobserwowano zwiększone wydzielanie tzw. czynników neurotroficznych, odpowiedzialnych za powstawanie neuronów. Szczegółowa analiza tych wyników doprowadziła naukowców na trop pewnego enzymu – nazwanego GPLD1 – wydzielanego z wątroby pod wpływem aktywności fizycznej. To on okazuje się pozytywnie wpływać na neurony zlokalizowane w hipokampie, czyli strukturze mózgowej odpowiedzialnej m.in. za pamięć. Opisany eksperyment otwiera drogę do kolejnych badań dotyczących procesu starzenia się mózgu i chorób neurodegeneracyjnych.

©MICHAŁ ŚWIĄTEK

KULTURA W SKRÓCIE

NOWE FORMY CENZURY
Ponad 150 intelektualistów z różnych krajów, wśród nich Margaret Atwood, Noam Chomsky, Francis Fukuyama, Gloria Steinem i Salman Rushdie, podpisało się pod listem otwartym przeciw zjawisku określanemu jako cancel culture – praktyce bojkotowania osób i dzieł określanych jako niepoprawne. Sygnatariusze apelują, by ogólnoświatowa dyskusja dotycząca rasizmu nie prowadziła do tłumiącej debatę nietolerancji dla odmiennych opinii.

STARE METODY ZARZĄDZANIA
Bojkotu można dopatrywać się w postawie ministra Piotra Glińskiego, który nie powołuje nowego dyrektora Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni. Wybrany na początku maja przez komisję konkursową Tomasz Kolankiewicz bez decyzji szefa resortu kultury nie może formalnie objąć stanowiska. Impreza ma się odbyć za dwa miesiące.

KINO LEM
Dzięki współpracy „TP" i telewizji Arte będą Państwo mogli zobaczyć film Borysa Lankosza „Autor Solaris" poświęcony pisarzowi, filozofowi, a kiedyś także felietoniście „Tygodnika" Stanisławowi Lemowi. Premiera w niedzielę 19 lipca o godz. 18 pod adresem powszech.net/autorsolaris. Dostęp bezpłatny. Zapraszamy!

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET
opowie o sytuacji na Zachodnim Brzegu Jordanu (tekst na s. 40) Agnieszce Lichnerowicz w „Światopodglądzie" Radia Tok FM, w środę 15 lipca, o godz. 16.00.
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

Hipokryzja

TOMASZ FIAŁKOWSKI

Kilka dni temu – zapewne przypadkiem tuż przed drugą turą wyborów – ambasador RP w Londynie wręczył Krzyż Kawalerski Orderu Zasługi RP sir Dermotowi Turingowi za podkreślanie wkładu polskich kryptologów w złamanie kodu Enigmy, które przyczyniło się do zwycięstwa aliantów w II wojnie. Sir Dermot (ur. 1961) jest bratankiem Alana Turinga (1912–1954), któremu prace Polaków rzeczywiście pomogły w dokonaniu tego dzieła. Wszystko byłoby pięknie, gdyby nie kontekst.

Otóż Alan Turing, poza tym, że był geniuszem (test Turinga, komputery, sztuczna inteligencja), był też czynnym homoseksualistą, co wtedy w Wielkiej Brytanii podlegało karze. Postawiony przed sądem, zamiast więzienia wybrał „kurację" estrogenem (to po prostu chemiczna kastracja – „leczony" staje się impotentem i rosną mu piersi), uniemożliwiono mu też dalszą pracę. W wieku niespełna 42 lat otruł się cyjankiem. Jego przypadek dał impuls do publicznej dyskusji, potem do zmian

DERMOTTURING.COM

Dermot Turing przy pomniku swojego stryja Alana, Sackville Gardens, Manchester

w prawodawstwie. On sam (w 2013 r. ułaskawiony formalnie przez królową) stał się symbolem prześladowań gejów i walki o ich prawa.

Zapewne sir Dermot nie interesuje się naszą sceną polityczną i nie wie, że jednym z filarów kampanii wyborczej prezydenta, który go nagrodził, był atak na „ideologię LGBT", czyli po prostu na ludzi odmiennej orientacji seksualnej. Alan Turing przewraca się chyba w grobie, a nasze władze zdobyły kolejny szczyt hipokryzji. A że na stronie gov.pl z bratanka zrobił się „siostrzeniec" – to już doprawdy drobiazg.

©℗

PAWEŁ

Śpiewak:
Budowniczowie wieży

Bardzo sprawnie stawiali mury. Babel, dobrze zaplanowana, sięgała coraz wyżej. Ludzkość żyjąca w pokoju potrafiła wspólnie wiele osiągnąć. I wtedy, jak czytamy, Bóg spojrzał z wysokości, zaniepokojony ogromem budowy. Zobaczył dzieło ludzkich rąk i ludzkiej pomysłowości, i rzekł: „Teraz już dla nich nic nie będzie niemożliwe, cokolwiek zamierzają uczynić".

Słowa te są tutaj najważniejsze. Dzięki swojej sprawności, organizacji, technice sięgali wysoko. Naiwni przez wieki uważali, że ludność chciała zbudować coś tak kolosalnego, by zawojować niebiosa. Pisano o pysze, która została ukarana. Nic w Torze na ten temat nie znajdziemy. Można się raczej domyślać, że w okresie tuż po potopie chcieli stworzyć taką konstrukcję, by nie mogły ponownie zalać ich wielkie wody. Budowali miasto, by stworzyć dla siebie bezpieczne życie. Pragnęli miasta wiekopomnego, którego pamięć przetrwa przez tysiące lat. Czyż nie po to powstały wieżowce na Manhattanie? Czy nie dlatego powstają kolejne drapacze chmur w Europie i Azji?

Dlaczego to uczynił? W czym ta wieża mogła Mu przeszkodzić? Przecież nikt Jego pozycji nie kwestionował. Nikt z Nim nie chciał walczyć. Gdy mieszkańcy doliny wypalali cegły, gromadzili smołę – nikt Go nie zauważał. Budowano wieżę z przezorności i dla swojej, a nie Bożej chwały.

Bóg Tory – jak dobrze wiemy – nie lubił miast. Pierwsze zbudował potomek grzesznego Kaina dla swego bezpieczeństwa. Kolejne – Sodoma – stało się siedliskiem rozpusty i za karę zostało wypalone siarką i ogniem. Było jeszcze Sychem, miasteczko na szlaku wędrówki Jakuba. Tam miejscowy książę zgwałcił Dinę, córkę Jakuba, za co wszyscy mieszkańcy miasta zostali wymordowani. Miasta, przed powstaniem Jerozolimy jako stolicy Judy, były obce Hebrajczykom. Jakże jest to odległe od wizji Greków, którzy uważali, że tylko miasto – *polis* – a nie rodzina, wieś, jest bytem samowystarczalnym i daje podstawy do szczęśliwego życia. Tylko miasto służy rozwojowi ludzkiej mowy, a przez to zdolności do rozróżniania dobra i zła.

Jest wiele powodów, dla których Bóg zniszczył wieżę. Słowa JHWH: „Teraz dla nich nic już nie będzie niemożliwe", przywołują słowa z chwili wygnania z raju: „Oto człowiek stał się taki jak my: zna dobro i zło" (Rdz 3, 22). Człowiek, który posiadł moralne zdolności i który zdobył tak duże umiejętności techniczne, w zasadzie nie potrzebuje już Boga. Staje się samowystarczalny. Może stwarzać nowe byty, chronić się przed naturą, zajmować głowę jedynie wynalazczością i pięknem. Nie potrzebuje wsparcia z zewnątrz. Nie potrzebuje Boga, modlitwy, ofiar. Oddala się od doświadczenia religijnego. W takim otoczeniu nie będzie horyzontu sięgającego ku rzeczywistości poza ludzką konstrukcją. Zniknie z zasięgu czucia, doświadczenia, rozumu. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Rytualna dezynfekcja

O Ignacym z Loyoli mówi się, że miał wielką łatwość odnajdywania Boga. Jeśli tak, to w jaki sposób on do tej łatwości doszedł? Ignacy wierzył, nie zawsze i nie od razu, że najłatwiej Boga znaleźć tam, gdzie się żyje, czyli „we wszystkim i ponad wszystkim". Mówiąc inaczej, nie sposób na cokolwiek popatrzeć i czegokolwiek dotknąć, żeby nie dotknąć, nie zobaczyć i nie usłyszeć Boga. Dzieje się tak, gdyż Syn Boży, który jako człowiek „zamieszkał między nami", nie zmienił adresu. A to znaczy, że i dzisiaj, chcąc Boga zobaczyć i usłyszeć, nie trzeba na Niego czekać ani Go o to prosić, trzeba za to mocno tkwić w realiach dnia dzisiejszego.

Wiele czasu byśmy mogli zaoszczędzić i przeznaczyć na dobre cele, gdybyśmy wierzyli, że Jezus żyje równie dobrze w Kościele, jak i ponad Kościołem, gdyż nie tylko chleb i wino, ale cała ludzkość i cały wszechświat są Jego Ciałem. Jeśli więc mówimy, że szukamy Boga, to chcemy powiedzieć, żeśmy już dawno Go znaleźli i wiemy, gdzie mieszka. Nie wiemy natomiast, czego On dzisiaj od nas oczekuje, gdzie, z czym i do kogo chce nas dzisiaj posłać. „Bóg wie, czego nam potrzeba", my staramy się dowiedzieć, czego potrzeba Bogu – i to nazywamy modlitwą. Nie zawsze jest to łatwe.

Paweł Apostoł mówi: „Gdy nie wiemy, jak mamy się modlić, Duch wstawia się za nami wołaniem bez słów. A Bóg, który przenika serca, zna pragnienie Ducha, ponieważ to właśnie zgodnie z Jego wolą Duch wstawia się za świętymi. Wiemy przecież, że tym, którzy kochają Boga i którzy zostali powołani zgodnie z Jego wcześniejszym zamysłem, wszystko służy dla ich dobra".

W tym „wszystko" kryje się takie Boże stworzenie, które dzisiaj przysparza nam wiele cierpień, a nazywa się koronawirus. Ale jak on może służyć naszemu dobru? Przecież jedyne co potrafi, to nieść chorobę. To prawda, ale takie jest jego zadanie, a my, jak wszystkie Boże stworzenia, nie jesteśmy odporni na śmierć, którą zawsze coś lub ktoś nam przynosi. Nie ma więc sensu buntować się przeciwko prawom przyrody, jedyne, co możemy zrobić, to jakoś się z nią dogadać. Czas pandemii pokazał, że to możliwe, ale pod pewnymi warunkami.

Na początku pandemii, a i później, wielu próbowało nakłonić Boga, żeby zarazę powstrzymał. Namawialiśmy też aniołów i świętych oraz mnożyliśmy nabożeństwa. Chciałbym się mylić, ale czy to pobożne wzmożenie nie było czasem podszyte religijnym egoizmem? Ja, ja ocaleję, dzięki moim modłom, skoro ja tak mocno w Boga wierzę. Wiemy, czym taka wiara się kończyła. Czy to znaczy, że Bóg zawiódł?

Nie, myśmy zawiedli i ludzi, i Boga. Okazuje się, że nawet najświętsze słowa nie zdezynfekują obślinionych palców i łyżeczek szafarzy chleba i wina w kościołach i cerkwiach. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Dotknięcie

Trzeba przyjmować Boga
jednakowo
we wszystkich rzeczach,
nie więcej w jednej,
a w innej – mniej,
bo On jest taki sam
we wszystkim.

MISTRZ ECKHART

Same rzeczy
nie dotykają duszy,
ale stoją na zewnątrz,
niewzruszone.
Źródłem zamętu
jest wyłącznie
wewnętrzny osąd.

MAREK AURELIUSZ

Wybrał PIOTR SIKORA

Wszyscy Synoptycy łączą ze sobą dwa cuda Jezusowe: uzdrowienie kobiety cierpiącej na upływ krwi i wskrzeszenie córeczki Jaira (zob. Mt 9, 18-26; por. Mk 5, 21-43; Łk 8, 40-56). Komentatorzy łatwo wychwytują wspólne elementy obu wydarzeń – ta sama płeć bohaterek czy łączący je motyw dwunastu lat (tyle lat trwała choroba kobiety cierpiącej na upływ krwi i tyleż samo lat liczyła sobie córka Jaira).

Wydaje mi się, że podkreślić trzeba jeszcze jeden wspólny element obu epizodów – kto wie, czy nie najważniejszy, a mianowicie: dotknięcie.

W przypadku pierwszej (starszej) bohaterki czytamy: „podeszła z tyłu i dotknęła się frędzli Jego płaszcza. Mówiła bowiem sobie: Żebym choć dotknęła się Jego płaszcza, a będę zdrowa" (Mt 9, 20-21). W przypadku córeczki Jaira: „wszedł [Jezus] i ujął ją za rękę, a dziewczynka wstała" (Mt 9, 25).

W pierwszym przypadku Jezus pozwala się dotknąć; w drugim sam dotyka osoby potrzebującej. Wtedy też wiara staje się wydarzeniem uzdrawiającym, a nawet wskrzeszającym – przywracającym życie! Wiara, która dotyka Boga, i wiara, która pozwala Mu się dotknąć.

Bóg w Jezusie Chrystusie niesłychanie skraca dystans, staje się bardzo bliski – „na wyciągnięcie ręki". Nie musi to przecież oznaczać, że Go dotkniemy, albo – co może jeszcze trudniejsze – pozwolimy Mu się dotknąć...

Chyba łatwiej jest trzymać Boga na bezpieczną (?) odległość, celebrować Jego wielkość solennymi uroczystościami, wychwalać Jego transcendencję i żonglować teologicznymi sylogizmami. Ale: dotknąć kogoś? Poczuć na sobie czyjś dotyk? Jest spotkaniem, które wymknęło się już abstrakcyjnym sformułowaniom, a przyniosło bliskość, wraz z którą przychodzi poczucie odpowiedzialności. Dotknąć i pozwolić się dotknąć oznacza deklarację bliskości i zaufania, otwartości i „bycia dla".

No chyba żeby ten gest był bezmyślny albo zrodzony jedynie z doraźnej emocji...

Dotknięcie, o którym tu mówimy, jest możliwe dzięki Bożemu Wcieleniu. Ono trwa po dziś dzień w Kościele, który jest Ciałem Chrystusa.

Zamiast wpaść natychmiast w pokusę zdecydowanego sądu nad Kościołem (czy Jego dotknięcie jest, czy nie jest doświadczeniem spotkania z Panem), zapytajmy może najpierw o samych siebie: czy dzięki nam Bóg jest dotykalny i czy w ogóle ma ochotę dotykać cierpiących ludzi? ©

CZYTANIA LITURGICZNE (19 – 26 VII)

16. niedziela zwykła:
Mdr 12, 13. 16-19; Ps 86; Rz 8, 26-27;
Mt 13, 24-43;
Poniedziałek: Mi 6, 1-4. 6-8;
Ps 50; Mt 12, 38-42;
Wtorek: Mi 7, 14-15. 18-20;
Ps 85; Mt 12, 46-50;
Środa: Pnp 8, 6-7 albo 2 Kor 5, 14-17;
Ps 63; J 20, 1. 11-18;
Czwartek: Ga 2, 19-20; Ps 34; J 15, 1-8;
Piątek: Jr 3, 14-17; Ps 31; Mt 13, 18-23;
Sobota: 2 Kor 4, 7-15; Ps 126; Mt 20, 20-28;
17. niedziela zwykła: 1 Krl 3, 5. 7-12; Ps 119;
Rz 8, 28-30; Mt 13, 44-52.

KRAJ

PAŁAC NIE JEST ICH

ADRIANA POROWSKA, SPOŁECZNICZKA, DORADCZYNI SZYMONA HOŁOWNI:

Skoro w naszym domu dla bezdomnych mogą razem jeść zupę facet w koszulce „Polska Walcząca" i osoba transpłciowa, to podobną wspólnotę da się zbudować w całym kraju.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Przeprowadzki do Pałacu nie będzie.

ADRIANA POROWSKA: Nie będzie. Ale jeśli czegoś żałuję, to nie Pałacu. Raczej tego, że nie udało się przekonać Polaków.

Do czego?

Że może być inaczej.

„U mnie nie będzie kapelana prezydenckiego, tylko pracownik socjalny – mówił w kampanii Hołownia. – I to nie jest populizm, bo jest ze mną Ada Porowska, mam nadzieję, przyszła pełnomocniczka prezydenta ds. przeciwdziałania wykluczeniom".

Szymon przyszedł do mnie w sierpniu zeszłego roku. Gdybym go nie znała, tobym się nie zdecydowała. A tu nie miałam wątpliwości: ufałam mu, to dobry i uczciwy człowiek. Dostrzegłam też szansę, by pomóc większej liczbie ludzi – nasz sztab był czymś w rodzaju

FILIP KLIMASZEWSKI DLA „TP"

centrum kryzysowego. Pomogliśmy realnie wielu ludziom, np. samotnej kobiecie z niepełnosprawnym wnukiem – stanowią rodzinę zastępczą. Szymon zobowiązał się wspierać ich osobiście, dziewczyny znalazły terapeutę.

Nie miała Pani zawahań? Pani, pomagająca od lat bezdomnym, w dodatku kierująca organizacją kościelną, czyli Kamiliańską Misją Pomocy Społecznej, agituje za jednym kandydatem.

Nie rozumowałam w taki sposób: widziałam i nadal widzę siebie w roli ekspertki, która agituje za dobrymi pomysłami i wspólnotową Polską. Nie odmówiłabym ani Andrzejowi Dudzie, ani Rafałowi Trzaskowskiemu, gdyby poprosili o doradztwo.

Z Trzaskowskim Pani akurat wojowała. Tak ostro, że samo to mogło być dlań dobrym powodem, by starać się o przeprowadzkę do Pałacu.

(*Śmiech*). Wojowałam bardziej z urzędnikami i przepisami, które uniemożliwiały skuteczną pomoc osobom w kryzysie bezdomności. W kampanii starałam się być grzeczna. Choć z czasem stało się dla mnie jasne, że dwaj główni kandydaci robią sobie jaja.

Jaja?

Tak, programowe jaja. Andrzej Duda ogłosił swój dokument kilka tygodni przed pierwszą turą, Rafał Trzaskowski jeszcze później. Nie mieliśmy nawet jako eksperci szansy się do tego odnieść.

A Pani podopieczni – co mówili, widząc Panią za plecami kandydata?

Różnie mówili. Od jednego z panów usłyszałam, że chcę zdejmować krzyże. Przeczytał gdzieś w internecie, że „Hołownia jest przeciwko Kościołowi".

„Panowie przy papierosie toczą ostre spory światopoglądowe (...) Są wśród nich i zdeklarowani zwolennicy PiS-u, i jego zaciekli przeciwnicy (...) Mamy lewaków i konserwatystów" – mówiła Pani w reportażu Marka Rabija o aktywności obywatelskiej bezdomnych przed poprzednimi wyborami.

Emocje udzielały się teraz nie tylko panom. Od przedstawicielki innej organizacji usłyszałam, że chcę robić karierę. Jedna z przyjaciółek – do której często jeździłam na wakacje, odwiedzając też jej rodziców – powiedziała mi, że mama i tata mocno wspierają PiS. Pomyślałam, że moja kolejna wizyta u nich może już nie być taka fajna.

Dostała Pani kilkumiesięczną lekcję odporności.

Niebywałe, czego doświadczyliśmy od publicystów i internautów wspierających Rafała Trzaskowskiego. „Żółta zaraza", jak pisał Zbigniew Hołdys, „pożyteczni idioci"... Wymieniać?

Nie trzeba. Napisała Pani, że czeka na kaca moralnego, np. redaktorów Lisa czy Żakowskiego.

Tam był duży cudzysłów – żadnych przeprosin się nie spodziewałam. Ale mam nadzieję, że kilka osób zdało sobie sprawę, iż agresja jest przeciwskuteczna, bo szkodzi własnemu kandydatowi.

Nic na to nie poradzę: ja naprawdę uważam, że po obu stronach są ludzie.

„Prezydent Polski (...) może być wybrany głosami ludzi środowiska wiejskiego, głosami emerytów i ludzi z podstawowym wykształceniem. To chyba trochę dziwne w tak pięknym i rozwijającym się kraju jak nasza Polska" – to Zbigniew Boniek, prezes Polskiego Związku Piłki Nożnej, na Twitterze.

Jeśli Twitter jest odzwierciedleniem naszej rzeczywistości, to ja dziękuję. Od lat bywam wśród ludzi z niskim wykształceniem, w brudnych pustostanach, spotykam się z osobami skrajnie zaniedbanymi, ale nigdy nie doświadczyłam w tych miejscach i wśród tych ludzi tyle agresji i brudu, co przez kilka tygodni na Twitterze czy Facebooku.

Pisała też Pani, że problemem są nie kandydaci, tylko ich wyborcy. Mówi Pani o wspólnocie, a obraziła się Pani na trzy czwarte Polaków.

Nie tyle się obraziłam, co chciałam nimi trochę potrząsnąć. Robiłam to, bo odnosiłam wrażenie, że poczuli się lepsi. Zanim ogłoszono wyniki pierwszej tury, oczekiwano, że Hołownia się podda i zacznie mówić, jaki Rafał Trzaskowski jest wspaniały. To był szantaż. Potraktowali trzy miliony ludzi jak idiotów. Żaden mój wpis o krzywdzie osoby bezdomnej nie zgromadził tylu komentatorów co wybory. Niektórzy moi znajomi pisali, że dolewam oliwy do ognia. A to nie była oliwa – prędzej zimna woda na gorące głowy.

Groziła Pani: jeszcze jedna obelga i nie pójdę na wybory.

W tym przypadku chodziło o obrażanie moich podopiecznych – bezdomnych, którzy na moim Facebooku krytykowali Rafała Trzaskowskiego. Nagle na głowę jednego z nich ktoś wylał kubeł pomyj, nie znając w ogóle kontekstu.

Co to za kontekst?

Choćby taki, że bezdomność tego człowieka zaczęła się, gdy Warszawą rządziła Platforma. I że ma prawo mieć żal.

O co?

Na przykład o to, że nie dostał mieszkania komunalnego, że nie było dla niego pracy albo były złe przepisy dotyczące pomocy osobom w kryzysie. Ten pan napisał zresztą spokojnie, że nie ma swojego kandydata. I tyle. Tymczasem nagle pojawia się na Facebooku jakiś zadowolony z siebie fircyk i tego człowieka gnoi. Więc zareagowałam.

Ale na drugą turę w końcu zdecydowała się Pani iść.

I zagłosować na Trzaskowskiego.

Bo?

Bo jest mi programowo mimo wszystko bliższy niż Andrzej Duda.

Ale to Pani robiła mu publiczny bilans. Karta praw osoby doświadczającej bezdomności – brak. Łaźnie w każdej dzielnicy – nie ma. Dodajmy Kartę LGBT – przyjętą, ale niezrealizowaną.

To wszystko prawda. Jak również to, że mam dobre zdanie o programie 500 plus. ↦

ADRIANA POROWSKA jest dyrektorką Kamiliańskiej Misji Pomocy Społecznej. Prowadzi m.in. schronisko dla osób w kryzysie bezdomności Pensjonat Socjalny „Św. Łazarz", a także mieszkania treningowe dla osób oczekujących na lokal komunalny.
Współprzewodnicząca Komisji Ekspertów ds. Przeciwdziałania Bezdomności przy Rzeczniku Praw Obywatelskich. Była doradczynią w sztabie wyborczym Szymona Hołowni.

↦ A jednak Andrzeja Dudy nie mogłam poprzeć, bo to prezydentura żyrandolowa – podpisywanie niemal wszystkiego jak leci. Bliski jest mi postulat Szymona Hołowni: kancelaria prezydenta jako instancja kontrolna, grupa osób dokładnie sprawdzających ustawy, prawo.

Nie mogłam też poprzeć Dudy z powodu łamania przez niego Konstytucji. No i ze względu na tę straszną propagandę TVP. To podburzanie, podżeganie do nienawiści. Nie jakiejś anonimowej masy, tylko naszych rodziców, dziadków, sąsiadów. Tych wszystkich ludzi, którzy mając do dyspozycji wyłącznie TVP, tak głęboko tej władzy uwierzyli. Wie pan, moja mama nie założy sobie na wsi kablówki, jej sąsiadki też nie. „Ada, a was to w ogóle nie ma w TV" – powiedziała mi pewnego razu mama...

„Wspólnota naszych marzeń" – pisała Pani. Co to za wspólnota?

To świat, w którym wszyscy mają coś do powiedzenia. I nikogo się nie wyklucza.

To ogólniki – każdy to może powiedzieć, a nawet mówi.

To odpowiem konkretem. U nas w domu mieszkał pan chodzący w koszulce „Polska Walcząca". Chwalił się, że idzie na marsz, a ja go pytałam, czy wie, dlaczego tam idzie. Była też u nas osoba transpłciowa: rozmawialiśmy o sytuacjach, w których ten człowiek był poniżany lub wyśmiewany. I my naprawdę siadamy razem do stołu, jemy obiad, rozmawiamy. Od innego z podopiecznych dostało mi się, gdy poparłam apel Fundacji Ocalenie dotyczący przyjmowania uchodźców. Był za granicą, przesiąknął tam nienawiścią do obcych, mówił, że nie chce „jeść z brudasami jedną łyżką".

Zmierzam do tego, że w każdej sytuacji można próbować rozmawiać. A nawet jeśli trudno jest rozmawiać, to można ze sobą być.

Łatwiej wśród 80 facetów niż 38 milionów ludzi.

Trudniej! U nas jest czasami ogień i benzyna. Ci ludzie jedzą zupę, dotykając się niemal nosami!

Biorą się czasami za łby, jak Polacy podczas tej kampanii?

Nie bez kozery skończyłam też kierunek mediacje – bo się przydaje. Nieraz się zdarzało, że musiałam dwóch kłócących się panów wyprowadzić za furtkę, by ochłonęli.

Widzę Szymona i nasz ruch jako takiego polskiego mediatora. Obserwowałam z bliska, ile on i wiele innych osób z naszego ruchu wkładali wysiłku w dobieranie słów, które nikogo by nie wykluczały, nie raniły.

Pani zajmowała się programem społecznym. Jakie grupy państwo polskie powinno zauważyć?

U nas w domu jest np. cała masa osób 60 plus. Trafiły do nas, bo straciły dom. A straciły go, bo miały bardzo niskie dochody, bo są niepełnosprawne, bo mają zaburzenia psychiczne. To ostatnie było ważnym punktem naszego programu: reforma polskiej psychiatrii jest absolutną koniecznością.

To moja codzienność: przychodzi do nas pan, który ma zaburzenia, nie potrafi się kontaktować ze światem, a co dopiero pójść do urzędu i – chcąc uzyskać pomoc – wypełnić formularze, z którymi nawet ja miewam problemy. Nasz system pomocy społecznej jest zły: kostyczny, sformalizowany. Trzeba go zmienić tak, by mniej ważne były procedury, a ważniejsze potrzeby człowieka.

Pod tym też pewnie podpiszą się wszyscy.

To dam panu znowu konkret: nie mamy systemu taniego wynajmu mieszkań dla ludzi ubogich. Z dofinansowaniem państwa, dzięki któremu osoba z niskimi dochodami nie musiałaby płacić za taki wynajem więcej niż jedną trzecią swoich dochodów. Kolejna rzecz: trzeba zlikwidować to przekleństwo rejonizacji pomocy dla osób w kryzysie bezdomności.

Dzisiaj trudno pomóc w Warszawie komuś, kto przyjechał np. z Pomorza.

Bo trzeba czekać na tzw. decyzję administracyjną – by przyjąć pod nasz dach pana, który przyszedł z ulicy, muszę w zasadzie łamać przepisy. System powinien wyglądać inaczej – np. opierać się na czymś w rodzaju bonu społecznego, który można wykorzystać, gdziekolwiek się jest i jakiejkolwiek pomocy się potrzebuje.

To nie dotyczy wyłącznie osób w kryzysie bezdomności. Chciałabym żyć w kraju, gdzie senior albo ktoś z niepełnosprawnością sam decyduje, czy chce otrzymywać pomoc pod własnym dachem czy w Domu Pomocy Społecznej. Teraz ten wybór bywa teoretyczny: albo DPS, albo brak wsparcia.

Koronawirus zebrał w przeładowanych placówkach śmiertelne żniwo.

Tymczasem miejsce w DPS-ie kosztuje około 4 tys. zł! Za te same albo mniejsze pieniądze osoba potrzebująca mogłaby dostać pomoc w miejscu zamieszkania. Albo – gdyby chciała – zamieszkać w lokum chronionym. Podkreślę, że nie mówię o likwidacji DPS-ów, tylko o zbudowaniu bardziej zróżnicowanego systemu wsparcia.

Chciałabym też żyć w kraju, w którym kandydat na rodzica adopcyjnego nie drży przed decyzją o przysposobieniu dziecka z alkoholowym zespołem płodowym, albo z innym rodzajem niepełnosprawności. A tak niestety często jest.

Efekt: dzieci chore, z wadami rozwojowymi tułają się po systemie pieczy zastępczej.

Rodzice, którzy mają już dziecko z niepełnosprawnością, przeżywają swoje dramaty w samotności, bez wsparcia państwa i instytucji. Rafał Trzaskowski mówił w kampanii, że nie ma wielkiej różnicy między dużym miastem i wsią. Nie ma, jak ktoś mieszka w domku z basenem. Ale są w Polsce miejsca, z których do psychiatry, psychologa, fizjoterapeuty jest nawet sto kilometrów, a rodzice z uboższych rodzin nie mają jak tam dojechać.

To też zna Pani z autopsji.

Mam o trzy lata młodszego brata z dziecięcym porażeniem mózgowym. Nie wyjeżdżaliśmy na wakacje, bo zwyczajnie nie mieliśmy na to pieniędzy. Wszystko szło na ratowanie życia i zdrowia brata – jego wyjazdy do kolejnych szpitali, sanatoriów. Odwiedzaliśmy go, a potem płakaliśmy, że musimy się rozstać na kolejny tydzień lub dwa.

To było dawno, ale rzeczywistość nie zmieniła się bardzo. Polskie państwo mówi o wspieraniu rodziny, o ochronie życia. Ale życie wielu rodziców z niepełnosprawnymi dziećmi bywa gehenną.

Koronawirus stworzył kolejny problem: zapomniane już w Polsce jako masowe zjawisko bezrobocie. Jesteśmy na tę falę gotowi?

Nie jesteśmy, bo polska pomoc społeczna, ale też system wsparcia dla osób

bez zatrudnienia nie są u nas traktowane jako inwestycja, tylko jako koszt. Te nieco ponad 700 zł zasiłku dla bezrobotnych nie jest realną pomocą. On powinien wynosić około 2 tys. zł.

Czyli mniej więcej tyle co pensja minimalna. Znowu: takimi kwotami może rzucić każdy.

Być może, ale jakoś nikt tego dotąd nie wcielił w życie. Nie wolno ludzi wpędzać w biedę akurat w momencie, gdy mają stanąć na nogi.

Problem drugi: współpraca urzędów pracy i pomocy społecznej. To dwa światy, które się ze sobą nie komunikują, przerzucając sobie tylko osobę bezrobotną czy wykluczoną niczym gorącego kartofla. Te dwa systemy to częściej fabryki zaświadczeń, a rzadziej pola autentycznego wsparcia.

A jak Wy w Misji przechodzicie przez epidemię?

Pierwsze tygodnie były trudne. Nie wiedzieliśmy, jak się zabezpieczyć, gdzie tworzyć miejsca izolacji na wypadek zakażenia. Po początkowym chaosie pojawiły się wytyczne od wojewodów, ale one nadal są ogólne.

Wiele placówek stacjonarnych jest nadal zamkniętych – problemem staje się kondycja psychiczna mieszkańców.

Tymczasem pan Morawiecki powiedział po pierwszej turze, że nie ma się już czego bać. Czyżby? Niedługo po tej wypowiedzi jeden z naszych mieszkańców zapytał: „A więc mogę wreszcie pojechać w odwiedziny do mojej siostry?”. Pan po siedemdziesiątce, grupa ryzyka.

Co mu Pani powiedziała?

Tłumaczyłam, że jak wróci, to będzie musiał sobie robić testy, a być może przechodzić kwarantannę. Problem w tym, że to na nas, prowadzących placówki, przerzuca się odpowiedzialność. Musieliśmy do wszystkiego dochodzić sami: np. podzielić budynek na strefę bezpieczną – dla osób, które nie opuszczają domu – oraz obszar dla tych, którzy np. chodzą do pracy. Ministerstwo zrobiło jedną przydatną rzecz: potrząsnęło samorządami, by zabrały się za tworzenie tzw. placówek buforowych, bo wcześniej nikt o tym nie pomyślał. To placówki przejściowe – jeśli ktoś chce trafić pod dach schroniska z ulicy, musi spędzić w takim miejscu dwa tygodnie. Choć nadal w wielu gminach takich placówek nie ma.

Jak myślę o jesieni, jestem przerażona.

Bo?

Bo nie wiem, jak długo da się utrzymać dyscyplinę. Mam panów, którzy mówią wprost: „Jak to tak ma być, to ja pieprzę, wolę być w parku na ławce”. Jeśli będziemy mieli drugą falę epidemii, a równocześnie coraz więcej osób będzie trafiać na ulicę, to boję się jeszcze jednego: że staną się kozłami ofiarnymi. Kimś, kto „roznosi zarazę”, i kogo łatwo popchnąć, pobić, zwyzywać.

Jesteśmy gotowi na kumulację wirusa i mrozu?

Nie jesteśmy, zwłaszcza że niektóre noclegownie przemieniły się we wspomniane placówki buforowe. O tym ryzyku mówimy od marca, od kiedy zaczęły się też prognozy drugiej fali.

A co z przyszłością ruchu Szymona Hołowni?

To kompletna nowość w polskiej polityce. Ruch równocześnie oddolny i z wyrazistym przywództwem. Ideowo będzie jak w kampanii Szymona: zieloni, solidarni, demokratyczni. Z trzema filarami: pomoc ludziom, *think tank*, no i działalność polityczna.

A więc – nie bójmy się tego słowa – partia. Od której założenia Szymon Hołownia jeszcze niedawno się odżegnywał.

Te wybory pokazały, jak wiele z naszego życia politycznego zagarniają właśnie partie. I jak mało jest przestrzeni poza nimi. Jeśli chce się zmiany, trzeba wejść do Sejmu. Nie ma innej drogi.

Pani chce pójść tą drogą?

Nie mam takich planów – lubię pracę w Misji. Wolę pisać programy, doradzać.

Rozmawiamy tuż przed II turą. Tak więc na koniec pytania w dwóch wersjach. Pierwsza: Andrzej Duda znowu prezydentem.

Pani Dudowa odwiedzała nas na Ursusie. Lubi nas, dostajemy często gadżety z Pałacu. Odnoszę wrażenie, że rozumie nasze problemy.

Ale?

Ale jej mąż rządzący drugą kadencję to ryzyko dalszej demolki. Konstytucji, sądownictwa.

Dostaniecie za swoje: Duda wygrał przez „żółtą zarazę”, bo hamletyzowała przed II turą.

Tak będzie. Będą nas winić, w ogóle nie widząc przyczyn porażki we własnych działaniach, obrażaniu ludzi. Tego „tępego narodu”, który właśnie dał im nauczkę.

Scenariusz drugi: prezydent Rafał Trzaskowski.

I mamy chaos w Warszawie, bo na jego miejsce do magistratu przychodzi ktoś przypadkowy. Wymienia urzędników, nikt nie ma głowy, by zajmować się problemami warszawiaków.

A co do prezydentury Trzaskowskiego, to zaczynamy sprawdzać: czy program wyborczy, do którego się zobowiązał, także pod wpływem rozmowy z Szymonem Hołownią, jest realizowany.

Zresztą, którykolwiek scenariusz się ziścił, na pewno pojawię się w Pałacu.

A więc jednak – Pałac Prezydencki!

Tak, ale będę tam jako gość, który mówi „sprawdzam”. Nikt mnie nie wyrzuci. Pałac nie jest ich.

©℗ Rozmawiał
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

REKLAMA

TEZEUSZ
ANTYKWARIAT I KSIĘGARNIA

www.skup.tezeusz.pl, tel. +48 539 915 890
skup i sprzedaż książek – www.tezeusz.pl

Sprzedaj i kupuj używane książki w Tezeuszu – największym antykwariacie w Polsce!
Działamy na terenie całego kraju! Dojeżdżamy bezpłatnie! Płacimy gotówką!

Wszystko załatwimy za Ciebie
Szybka wycena książek i gotówka do ręki
Miejsce na nowe książki
Recykling literatury

Mniejsze zbiory możesz sprzedać samodzielnie na www.skupksiazek.pl

Bezpowrotnie utracona lewicowość

RAFAŁ WOŚ

Mamy w Polsce dwie lewice. Jedną widoczną i ze strukturami, ale bez wpływu na bieg polityki. Drugiej nie widać nawet w sondażach – choć wymusiła na władzy realizację kilku twardych lewicowych postulatów.

Pierwsza jest mocna, ale raczej w słowach. Sporo jej w mediach tradycyjnych, a jeszcze więcej w społecznościowych. Tylko z realnym wpływem na rzeczywistość słabo. Druga odwrotnie – formalnie nie istnieje, ale *de facto* jest dużo bardziej znacząca od pierwszej. Pierwsza w tych wyborach głosowała „oczywiście" przeciw Dudzie. Druga była „mimo wszystko" za Dudą. No i przede wszystkim przeciwko temu, żeby było tak jak przed rokiem 2015. Warto te dwa światy opisać, bo rysujący nam się tutaj podział w najbliższych latach może wręcz przesądzać o politycznych konstelacjach władzy. Nie tylko nad Wisłą.

Elektorat tanio oddam

Zacznijmy od lewicy pierwszej. Lepiej ją widać, bo po latach posuchy zasiada w Sejmie, ma budżetową dotację i zatrudnia ludzi od social mediów. Jej problem polega na braku ducha – mierzonego albo w głosach wyborców, albo w zdolności do wpływania na agendę polityczną kraju. Niestety, w żadnym z tych wymiarów sklecony rok temu sojusz SLD, Wiosny i Razem nie ma dziś powodów do optymizmu.

Wynik Roberta Biedronia w wyborach prezydenckich jest katastrofą. Ale nawet nie to jest największym kłopotem Lewicy, tylko faktyczna marginalizacja przejawiająca się brakiem wpływu na dynamikę polityczną w kraju. Przykład? Robert Biedroń swoje poparcie dla Rafała Trzaskowskiego w drugiej turze wyborów prezydenckich ogłosił jako jeden z pierwszych. Nie było to obwarowane najmniejszą nawet próbą udawania, że może stawiać kandydatowi jakiekolwiek warunki. W ciągu następnych dwóch tygodni Lewica pierwsza musiała udawać, że nie słyszy, jak Trzaskowski obiecuje wszystkim wokoło, że jako prezydent zrobi rzeczy, od których włos na niejednej lewicowej głowie powinien się zjeżyć: zawetuje inicjatywy podwyżek podatków i nie zgodzi się na adopcję dzieci przez pary jednopłciowe. A może nawet pojawi się na marszu niepodległości.

W czarnej dziurze

Jednym z największych zaskoczeń sondaży po pierwszej turze były zamiary wyborców Biedronia. W jednej z ankiet (IBRiS dla WP) aż 37 proc. z nich chciało głosować nie na Trzaskowskiego, lecz na Andrzeja Dudę. Gdy piszę te słowa, nie wiemy, jak będzie. Badania te pokazują jednak, że nawet wśród wyborców zdecydowanie antypisowskiego kandydata Lewicy znajduje się niemało takich, którzy w drugiej rundzie idą w kierunku przeciwnym niż sam kandydat oraz jego medialne otoczenie. Ci wyborcy to punkt przecięcia lewicy pierwszej z lewicą drugą.

„Dwójce" w zasadzie brak dziś ciała. Nie ma bowiem w Polsce na razie żadnego ugrupowania politycznego próbującego łączyć lewicowość z odmową stanięcia w szeregach antypisowskiej opozycji. Były takie próby w pierwszej fazie po wyborach roku 2015, gdy opozycja nie przyjęła jeszcze formuły „pancernej" – to znaczy wykluczającej jakiekolwiek przyznanie, że rządzący mogą mieć osiągnięcia na jakimkolwiek polu. Taką lewicą chciała być początkowo Partia Razem uparcie odmawiająca uczestniczenia w marszach KOD-u i z tego powodu piętnowana jako Partia Osobno. Przez moment „symetrystyczne" ambicje zgłaszała Wiosna. Ale najpóźniej w momencie przedwyborczego mariażu wszystkie ugrupowania przeszły na pozycje antypisowskie rozpoznając tu najważniejszą emocję spajającą bardzo różne socjologicznie elektoraty Wiosny, SLD i Razem.

Ten proces nie obył się bez utraty części działaczy oraz potencjalnych sympatyków. Jak się to odbywało, dobrze widać na przykładzie historii Jana Śpiewaka. Nie przestał on krytykować dzikiej reprywatyzacji w Warszawie nawet wtedy, gdy Trzaskowski stał się kandydatem szerokiego antypisowskiego bloku. Został więc okrzyknięty „pomocnikiem PiS-u" – zwłaszcza że dopiero co prezydent Duda ułaskawił go od kary w procesie o zniesławienie (który dało się interpretować jako próbę zamknięcia Śpiewakowi ust). Politycy i publicyści lewicy pierwszej nie stali w głównym szeregu potępiających Śpiewaka, ale nie bili się jakoś szczególnie o jego dobre imię. W ten sposób Śpiewak wpadł w polityczną czarną dziurę. Dla antypisowców zdrajca, dla obozu władzy – ciało obce.

Wymuszony bunt

Wspominam tę historię dlatego, że droga przebyta przez Śpiewaka nie jest nowa. Szli nią na przełomie lat 80. i 90. działacze Polskiej Partii Socjalistycznej zaniepokojeni zbyt szybkim i zbyt łatwym dogadaniem się inteligenckiej wierchuszki Solidarności z tzw. liberalnym skrzydłem PZPR. Zaraz potem powędrowali nią sympatycy Solidarności Pracy (przekształconej potem w Unię Pracy) oraz wielu innych środowisk, którym nie podobała się logika terapii szokowej Leszka Balcerowicza. Ludzie idący tą drogą otrzymali potem wiele łatek. Nazywano ich oszołomami, prawicowcami czy roszczeniowcami. Wielu wybiło to na zawsze z głowy działalność polityczną. Jeszcze inni do dziś bezskutecznie czekają na cudowne spełnienie ich politycznych marzeń rozczarowując się wobec kolejnych projektów. Niektórzy zaś odnaleźli się w projekcie politycznym Jarosława Kaczyńskiego.

Od politologów możemy dziś często usłyszeć, że PiS po roku 2015 przechwycił elektorat lewicy podbierając jej kluczowe hasła. To nie do końca tak. Dużo trafniej byłoby powiedzieć, że wokół PiS-u uformowała się masa krytyczna buntu przeciw antylewicowemu i antyludowemu modelowi rozwoju III RP. Ale to nie Ka-

JAKUB WŁODEK / AGENCJA GAZETA

Pikieta organizacji lewicowych w rocznicę zabójstwa działaczki na rzecz praw lokatorów Jolanty Brzeskiej, Kraków, 1 marca 2020 r.

czyński ten bunt wymyślił. Odwrotnie. To buntownicy wymusili na Kaczyńskim wprowadzenie ich politycznych pomysłów w życie. Jest to układ w sumie dość partnerski, bo lider PiS (i każdy jego następca) wie, że rezygnacja z 500 plus oznaczałaby polityczną klęskę. A cofnięcie zakazu handlu w niedzielę wprowadzi go na wojenny kurs z Solidarnością. Biorąc pod uwagę, że obie sprawy są ewidentnie lewicowymi zdobyczami, mamy tu do czynienia z faktyczną realizacją twardych lewicowych postulatów.

Jak oni tak mogą!

Oczywiście ludzie obu lewic pytani o „tych drugich" kręcą z niedowierzaniem głowami. Lewica pierwsza nie umie zrozumieć, jak lewica druga może być tak ślepa i nie dostrzegać prawicowości PiS-u w sprawach symbolicznych, tożsamościowych czy światopoglądowych. Nad 500 plus czy o 13. emeryturą nie lubią się rozwodzić. Lewica pierwsza widzi w tych posunięciach próbę przekupienia wyborców lub (jeszcze gorzej) narzucenia społeczeństwu patriarchalnego modelu rodziny. Niektórzy dostrzegają w nich wręcz cichy plan rozmontowania państwa dobrobytu poprzez zastąpienie modelu usług publicznych pieniędzmi dawanymi ludziom do ręki. Wolne niedziele dla handlu są oczywiście postrzegane jako ukłon w stronę Kościoła.

Lewica druga nie pozostaje dłużna. Nie może uwierzyć, jak to możliwe, że można być lewicą „od pasa w dół". Pyta, jak można nie dostrzegać, że PiS dokonał znaczącego zrównania polskich relacji społecznych: płaca minimalna z 40 proc. średniej dekadę temu wzrosła do 50 proc. dziś. W latach 2014-19 liczba dzieci żyjących poniżej progu skrajnego ubóstwa zmniejszyła się z 715 tys. do 312 tys. Odrzuca wyjaśnienie, że wydarzyło się to przypadkiem i z rozpędu. Wskazuje na świadome posunięcia polityczne i rehabilitację państwa jako aktywnego gracza w gospodarce.

Czy sprawy światopoglądowe są dla tych ludzi drugorzędne? Trudno przesądzić. Panuje raczej przekonanie, że lewica pierwsza dała sobie wmówić, że walczy o „wielkie sprawy" i na serio broni „Polski otwartej i uśmiechniętej" przed inwazją „homofobicznego, nacjonalistycznego ludu". W efekcie coraz bardziej się od swojego własnego narodu i elektoratu odsuwa – z wzajemnością.

Temperatura tego sporu jest momentami bardzo wysoka. Remigiusz Okraska z „Nowego Obywatela" (ważny głos lewicy drugiej) regularnie oskarża „Krytykę Polityczną" (matecznik lewicy pierwszej) o bycie „lewicą bezobjawową". Wojownik lewicy pierwszej Piotr Szumlewicz nazywa każdego mającego inne od niego zdanie w kwestii relacji państwo–Kościół „propagandystą PiS-u".

Tego się nie sklei

Spór nie jest oczywiście tylko nasz. W 2018 r. wpływowa niemiecka polityczka Sahra Wagenknecht założyła platformę Aufstehen, czyli Powstanie. Powstanie przeciwko politycznym ograniczeniom i doktrynerstwu partii formalnie lewicowych: SPD, Zielonych czy Die Linke. W tym samym czasie amerykańska publicystka lewicowego magazynu „Jacobin" Angela Nagle ku oburzeniu swojego środowiska publikowała głośny tekst „Lewicowy argument przeciwko otwartym granicom". W roku 2017 kandydat radykalnej lewicy we Francji Jean-Luc Mélenchon odmówił poparcia przed drugą turą wyborów prezydenckich liberała Emmanuela Macrona w starciu z Marine Le Pen.

„Lata 2020 będą dekadą, w której ludzie tacy jak Sahra Wagenknecht – i wszyscy inni dobrzy socjaliści oczernieni i odrzuceni przez liberalną lewicę – powrócą, by ponownie nawiedzać naszą scenę polityczną" – napisał niedawno na swoim blogu Malcolm Kyeyune, szwedzki działacz wyrzucony z Partii Lewicy za podobne „prawicowe odchylenie". Jego wpis odbił się szerokim echem jako rodzaj listu otwartego do dawnych towarzyszy. „Czasy, w których dwie lewice spróbują się nawzajem przekonywać, już minęły. Od teraz nie będziemy was prosić o pozwolenie na robienie tego, co robimy, nasi byli koledzy i szacowni dawni towarzysze. Nie będziemy też prosić o wybaczenie za to, że zmęczyło nas bycie wiecznymi przegranymi i powtarzanie tego samego rytuału z roku na rok" – pisze Szwed. Coś na lewicy pękło. I tego się już nie sklei. Ale może właśnie tak będzie lepiej. ©

Po drodze

KRZYSZTOF STORY

Lubelszczyzna. Mazurska wieś. Beskid Żywiecki. Podlasie. Cztery opowieści bez adresu, za to z wieloma przedmiotami.

Dawno temu byłem w Bieszczadach i powiedziano mi, że pani Krysia robi najlepsze pierogi w Wetlinie. Miała ruskie, z mięsem, ze szpinakiem, z kozim serem i z czosnkiem niedźwiedzim. Robiła też uszka, kosztowały 20 groszy i były misterne. Spytałem o adres, a wszyscy spojrzeli na mnie jak na idiotę.

Kilka lat później prowadziłem projekt reporterski, w którym jechałem przez Polskę i w każdej miejscowości szukałem tego samego adresu. Konkretnej ulicy i numeru domu. Ludzie zapraszali do siebie, opowiadali. Ale we wsiach bez nazw ulic to nie miało sensu.

Nikt tam nigdy nie szedł pod trójkę, nie szukał numeru 54. Szło się do Józka, do baru, po pierogi z niedźwiedzim czosnkiem. Szło się w lewo albo w prawo. Szło się do jednego, a po drodze spotykało się wszystkich innych. Po drodze było zawsze, bo przecież nie było żadnej innej drogi.

W takich miejscach zapominałem o swoim projekcie szukania opowieści spod tego samego adresu. Starałem się zachodzić jak wszyscy. Wtedy w Bieszczadach powiedziano mi, że w lewo, sto metrów za most, dom o łososiowej elewacji, ganek z prawej strony. Pani Krysia właśnie suszyła koźlaki. Tak jakoś wyszło, że opowieści „bez adresu" są nieco inne. Dużo w nich przedmiotów.

PRZEDMIOT PIERWSZY

Ciągnik Ursus z 1976 r. Czerwony. Bez budy, wszystko ma na wierzchu: osie, koła, światła. Z tyłu na stałe przyczepiony trójkąt ostrzegawczy. Od 40 lat pracy i przeróbek pochylił się na lewo, zmarniał i przybrudził. Ale jeździ.

Zaprosił mnie na swoje ranczo, piliśmy herbatę na tarasie. Na co dzień mieszkał w Chełmie, czasem przyjeżdżał tu z żoną, teraz zabrali wnuka. 10-letni Bartek szalał na skuterze po piaszczystych pagórkach na północ od drogi. My usiedliśmy na ganku, on rozlał piwo do szklanek z uszkiem, żona zrobiła jajecznicę. Dookoła nas w większości puste chaty i szyldy „Sprzedam" z numerami telefonów. Mała wieś, gmina Wola Uhruska. W ciągu ostatnich 20 lat wyjechała stąd połowa mieszkańców.

Miał siwy zarost i ogorzałą twarz zwieńczoną czapeczką z daszkiem w moro. Flanela w biało-niebieską kratę i spodnie trzymane przez grube, parciane szelki. Na ręce czarny zegarek i dłonie, które całe były pracą. Wyglądał jak zabytek i mówił, że tak się czuje.

Żona narzeka na lubelskie wsie: – Co jeden to chleje, siedzą pod sklepami, zamiast pracować. Wiem, że mało płacą, ale płacą. Ale tu, jak dostanie 800, to 800 musi przepić. Można by kilka złotych odłożyć, pomału się piąć. A tu, jak gówno dostanie, tak gówno wypije.

Chałupa 200 metrów dalej należała do kogoś z rodziny. Historię miała taką samą jak inne. Rodzice umarli, dzieci wyjechały, chaszcze wyrosły, grzebieni do dziś leżących na parapecie nie miał kto zabrać. Oni tu przyjeżdżają, bo lubią, są na emeryturze. Pakują się zawsze do starego poloneza, rdza go bierze z każdej strony. Mają 2,7 hektara pszenicy, która się w ogóle nie opłaca. Z Unii dostają 2900 rocznie, więc starcza na paliwo.

– Do ciągnika?

– Nie, do poloneza.

Ciągnik stoi w stodole. Uchylamy drewniane drzwi. Trzeba jeszcze przynieść akumulator, bo ursus dzieli go z polonezem. Traktor odpala od pierwszego strzału.

– Widzisz, zabytki jeszcze coś potrafią.

PRZEDMIOT DRUGI

Zestaw osełek do noży żywiczarskich. Są tak wąskie, że Krzysztof używa słowa „osełeczki".

Ogromna stodoła stoi na uboczu mazurskiej wsi. Dookoła nie ma nic, Węgorzewo jest siedem kilometrów dalej. Krzysztof schował się tu przed światem, którego szczerze nie lubi. Stodołę przerobił na dom. Na dole ma trzy pokoje i garaż, w którym na pamiątkę trzyma malucha oraz od lat buduje i remontuje łódź. Na poddaszu postawił kilkanaście prycz i podnajmuje je, gdy zjeżdżają sezonowi pracownicy. Ma 81 lat, prosi, by nie robić mu zdjęć, bo mówi, że jest brzydki.

Kiedyś mieszkał wśród ludzi, miał swoją daczę, a przy niej plantację choinek. Kiedyś schodził z tarasu i pies ugryzł go w nogę. To była suczka, którą ktoś wrzucił do jeziora z cegłą przywiązaną do nogi. Wygrzebała się i schroniła pod deskami. Od tego czasu Krzysztof woli psy od ludzi. Teraz siada na plastikowym krzesełku i zaczyna monolog.

– Chaos jest w moich historiach, bo za dużo mam tych wspomnień. Przepraszam. Urodziłem się w 1936 r., mój ojciec był nadleśniczym w Augustowie. Wykształcony, po carskim gimnazjum i studiach w Poznaniu. We wrześniu 1939

KRZYSZTOF STORY

Siedliszcze w gminie Wola Uhruska, lipiec 2017 r.

Ruscy przyszli, bo mundurowych wywozili. Wchodzą, spotykają służącą, schodzi do nich matka. A ojciec wszystko słyszał z góry i bryknął przez okno z pierwszego piętra. Przez rok siedział w augustowskim lesie.

My uciekliśmy do Generalnej Guberni, na niemiecką stronę, na południe od Warszawy. Byliśmy bez niczego. Jakaś komórka na jakiejś działce. I my tam koczujemy. Kto miał dokumenty, dostawał kartki na bochenek chleba. Myśmy chodzili pod sklepy. Ja miałem trzy lata, siostra pięć. Ktoś kazał sklepowej odkroić kawałek, dał nam. Jeden nauczyciel dał cały bochen. Do naszej komórki zaglądali ludzie z Żółwina, jak szli na pociąg w Podkowie Leśnej. Kobieta przyniosła matce kurę. To były intuicyjne sprawy.

Raz poszedłem sam, żebrać. Sklepowa, Foks się nazywała, pyta: czyj ty jesteś? Mamusi. Wojtek, daj mu chleba. Ona pod ladą miała syna, dzieciaka w moim wieku. Pamiętam, że mama mnie okrzyczała, poleciała do Foksowej zapłacić. Po wojnie Wojtek został dyrektorem ośrodka sportowego i mnie zatrudnił jako kierowcę. Znowu mi dawał chleba.

Nie miałem pięciu lat, jak widziałem śmierć. Zaraz za naszą działką była ściana lasu, koniec drogi, a przed lasem głęboki rów. Podjechała niemiecka buda, wyprowadzili trzech, zastrzelili, zrzucili do rowu.

Heniek, mój ojciec, przetrwał w lesie. On sobie zawsze radził. Znał i niemiecki, i rosyjski. W czasie wojny polsko-bolszewickiej w 1920 r. był zwiadowcą. Zastrzelili mu konia na zwiadzie, całą noc przeleżał pod bruzdą w polu. Zakręcił się koło kacapów, aż im ukradł konia. Koń był tak malutki, że ojciec prawie nogami do ziemi sięgał. I tak niedożywiony, że bał się jeść, tylko korę na drzewach lizał. Zakumplowali się, bo konie czują wnętrze człowieka. Koń kładł się obok niego i razem spali. Ojciec do końca mówił, że miał jednego przyjaciela w życiu, tego ruskiego konia.

Przedarł się do nas i poszedł kupić kartofle. Miał pieniądze, nie wiem skąd. Zatrzymali go. Sprawdzali go, czy broni nie wiezie. Nie wiózł, ale szef wachy i tak powiedział: „Skończyć go". Po niemiecku, ojciec wszystko rozumiał. Któryś wachman wyprowadził w pole, pokazał ojcu, żeby się nie ruszał i strzelił dwa razy. W powietrze, bo to był Ślązak.

Zawsze potrafił z tego wyjść, wywinąć się temu światu. Kiedyś pojechał po mąkę, do dawnych znajomych rodziny. Kiedy wracał, zwinęło go gestapo. Wprowadzają na przesłuchanie, siedzi żandarm, a ojciec do niego płynnie po niemiecku: „Uszanowanie panu". Zaciekawił ich. Gestapowiec go pyta, co sądzi o wojnie? A ojciec: wojna to jest akurat niepotrzebna ani panu, ani mnie. Ale czy my ją wygramy? My obaj to już przegraliśmy. A Führer? Führer już nie ma tu nic do powiedzenia.

Puścili go. Jeszcze ten gestapowiec załatwił mu pracę. Potrzebowali kogoś do żywicowania w Kampinosie, w Puszczy Mariańskiej, w Lasach Chojnowskich po drugiej stronie Warszawy. Niemcy chcieli te lasy eksploatować, a ojciec przecież był leśnikiem. Sąsiad wprowadził go do AK, dowódca powiedział, żeby brać tę fuchę koniecznie. Niemcy dali mu papiery, furgonetkę od Opla, beczki, nożyki żywiczarskie, takie skośne i te osełki. Wąskie osełeczki, mam je do dziś.

Dostał też oczywiście szofera, Niemca z karabinem. Do żywicowania zatrudnił wszystkich akowców, co się ukrywali po lasach. Urobili tego szofera, trochę na wesoło, zaczęli z nim pić. On był przeciwny wojnie, szedł, bo mu kazali. Sporo takich było. Uważał, że skoro nas napadli, to mamy prawo się bronić. Oni tym furgonem razem szmuglowali brytyjskie zrzutki. Na pace opla blitza w beczkach po żywicy wozili broń i amunicję dla AK.

W końcu wpadli. Posterunek żandarmerii, przeszukali samochód. Byli martwi w zasadzie. Ale ten Niemiec wypalił serię z automatu, trzech swoich położył. Znowu uciekli w las. Znowu się Heniek wywinął. Pan mi tylko teraz powie. Wtedy obowiązywał dekret: stu Polaków za jednego Niemca. To dobrze zrobili czy źle? Wojna to jest obłęd.

Pamiętam jeszcze tylko 1944 r. Staliśmy z kolegą, nie mieliśmy jeszcze dziesięciu lat i patrzyliśmy, jak na horyzoncie płonie Warszawa. Wiatr nosił w powietrzu ulotki, popioły, jakieś świstki. A potem się skończyło. Trzeba było żyć. ↦

↦ Żyłem. To chyba jedyne, co się liczy: czy będziesz się jutro ruszał, czy nie. Młody pan jesteś, jeszcze trochę szamotania masz przed sobą. A dla mnie... 80 to już dużo. Pracowałem, osiem miesięcy sprzątałem lotnisko w Chicago, po powrocie mogłem trzy domy kupić.

Ale musiałem wrócić, nie byłbym u siebie. Tutaj miałem już posadzoną hodowlę choinek. Zresztą: to, co pan wypracuje, nie jest pańskie. Zaraz może zniknąć. Tyle jest pańskiego, co pan zje. A jak pan zjesz za dużo, to umrzesz. I musisz półgłodny całe życie chodzić.

Nie ożeniłem się. Nigdy nie chciałem mieć dzieci. Za moich czasów dzieci paliło się w piecach, patrzyłem na to, jak się zabija ludzi, na to, że świat jest nienormalny. W takim świecie nie mogę sobie pozwolić na dzieci.

Ja dzisiaj patrzę na to wszystko z drugiej strony. Filozoficznie, od tyłu. I powiem panu. Śmierć to jest normalna rzecz. To jest najcudowniejsza rzecz na świecie. Bo tylko ona daje życie. Jedno żre drugie, rozkłada się i coś powstaje. My wprawdzie jesteśmy niejadalni, ale za to jest czym palić w piecu.

– Przepraszam, ma pan tu gdzieś kibel?

– Jedynkę czy dwójkę?

– Jedynkę.

– To wyjdzie pan przed stodołę. Tam jest cały świat do oszczania.

PRZEDMIOT TRZECI

389 kubków.
Żaden się nie powtarza.

Łazki, Beskid Żywiecki. Gdy stanie się na tarasie i zadrze głowę, widać górę Żar. Gdy spojrzeć przed siebie – Jezioro Żywieckie. Po drugiej stronie zalewu jest szosa Bielsko–Żywiec i trochę większy świat. Czasem słychać syreny karetek, bo dźwięk niesie się po tafli.

Siedzą na tarasie. Dominika i „jej kochana córeczka" Gosia. Ma 23 lata, studiuje grafikę w Krakowie. Dominika prowadziła sklep kosmetyczny, teraz na emeryturze. Za nimi murowany dom, wnętrze obite boazerią, trzy piętra, ogródek. Takie domy kiedyś budowało się dla przyszłych pokoleń, a potem często okazywało się, że przyszłe pokolenia wcale nie chcą w nich mieszkać, bo do wszystkiego za daleko. Więc przyjeżdżają tu raz na czas, odpocząć.

Główne wejście prowadzi wprost do kuchni. Po lewej zwykły kuchenny krajobraz, po prawej – kubki. Prywatna kolekcja.

> Tak jak musi istnieć Warszawa, **tak i Gugny muszą być.**

– Swego czasu moi przyjaciele podróżowali po świecie – mówi Dominika. – Przywozili kubki na pamiątkę, od nich dostałam pierwsze dwa. Z Mołdawii i chyba Uzbekistanu.

Dziś kubków jest dokładnie 389, to Dominika mówi z pamięci. Żaden się nie powtarza. Znajomi poprzestali na siedmiu.

– Mam swoje ulubione. Kubek z podobizną księżnej Diany jest z aukcji charytatywnej, za ponad 1500 zł. Albo kubek ze schroniska w Dolinie Pięciu Stawów, w kształcie krowy, takiej jak z reklamy milki. Podawali w nim tylko gorącą czekoladę, specjalnie zamówiłam.

– Dali ci ten kubek czy po prostu zwinęłaś? – dopytuje córka. Dominika się uśmiecha.

Nie lubi tych ze sklepów z pamiątkami, woli firmowe. Kolekcja wygląda jak historia gospodarki w pigułce. Są wielkie marki, markety, firmy budowlane, nawet media. Jest Coca-Cola, PZU i pierwsza edycja „Big Brothera".

– Te są trudniejsze do zdobycia. Zbieram tylko te, których nie można kupić w sklepie. To mnie cieszy, bo wtedy muszę przekupywać ludzi.

Przekupuje rozmową, uśmiechem, opowiada kawały – najczęściej stare i sprawdzone. O blondynkach, teściowych i o babie u lekarza. Opowiada o swojej kolekcji. To robi wrażenie.

– Czasem im po prostu te kubki zabieram. Bo u nich są samotne, pojedyncze, smutne takie. A u mnie jest im lepiej.

– A jak ktoś właśnie z takiego kubka pije?

– Kiedyś weszłam do perfumerii, ekspedientka miała kawę w o tym, tutaj. Powiedziałam, że ten kubek jest już mój. Ona, że przecież ma tu kawę. Ja mówię, że dobrze, bo kawy też jeszcze dzisiaj nie piłam. Ze śmiechu aż się oplułam później tą kawą.

Do kuchni w Łazkach wchodzi się jak do galerii. W kuchni jak filary stoją trzy czubki dawno ściętych brzóz. Na każdej gałązce jeden kubek, reszta tłoczy się na półkach pod sufitem. Eksponaty można wynieść na taras.

– A co, gdy gość stłucze kubek?

– Przynosi trzy inne na jego miejsce – śmieje się Dominika. – W tym domu każdy czuje się odpowiedzialny za swój kubek.

PRZEDMIOT CZWARTY

Stół na dziesięć osób przykryty
białym obrusem z sylwetkami łosi.
Stoi na środku pokoju.

Wieś Gugny leży na Podlasiu, na obrzeżu Biebrzańskiego Parku Narodowego. W 2011 r. mieszkało tu pięć osób. Bronia mówi: – Ja jestem śląska dziołcha, przyjechałam z Rudy Śląskiej. Pierwszą zimę spędziłam jeszcze w starym domu, nie miałam wody. W Dolinie Biebrzy znajdziesz sporo takich wariatów jak ja. Wyjechali tutaj, daleko od miast, zgiełku, spalin. Tu są ostatnie w Polsce domy bez prądu.

Bronia mieszka 500 metrów od głównej drogi, którą i tak nic nie jeździ. Dookoła wszystko jest zielone. Już od jakiegoś czasu czuję się Podlasianką.

– Kiedyś wracałam na Śląsk i cieszył mnie zapach węgla. Dzisiaj to smród węgla. Kiedyś denerwował mnie brak pośpiechu i ploty w sklepie, które wstrzymują kolejkę. Ale zawsze marzyłam, żeby mieć widok z domu na las, i codziennie mi się to spełnia. Dzisiaj rozumiem, że tak jak musi istnieć Warszawa, tak i Gugny muszą być.

Towarzyszy jej kura Marysia i trzy koguty. W domu zrobiła 12 miejsc noclegowych, prowadzi agroturystykę. Bez gości by nie wytrzymała. Patrząc na mnie, dodaje, że musi zbudować prysznic dla rowerzystów. Najważniejszą rzeczą w jej domu jest stół w największej izbie. Mówi, że on wie najwięcej. Słyszy wszystkie rozmowy, pamięta wszystkich gości.

– Czasem potrafię nabroić. Czegoś zapomnę, przyjmę za dużo gości, potem jest problem. Kiedyś ratowała mnie jedna Brazylijka. Ona na parterze zagadywała, polewała wino, robiła atmosferę, a ja na górze czarowałam dwa dodatkowe pokoje. Na szczęście spotykam samych dobrych ludzi. Często z miasta. Lubię patrzeć, jak się brudzą, jak są przez chwilę bliżej natury. Lubię to, że potrzebują dotknąć ziemi.

© KRZYSZTOF STORY

ANNA

Dziewit-Meller:
Fajki i alkohol

Ponieważ dziś właśnie ma premierę moja nowa książka, od kilku dni wypatruję jej recenzji. Nie, nie bójcie się – nie zamierzam uprawiać tu nachalnej promocji swej twórczości. Chcę napisać coś o muzyce, nie o literaturze, lecz z tej drugiej wyjść muszę, by dojść do pierwszej.

Oto właśnie w jednym z pierwszych omówień mojej powieści Piotr Bratkowski na łamach „Newsweeka" sięgnął pamięcią daleko wstecz i postanowił przypomnieć Pablopavo i Organkowi – moim kolegom po piórze, którzy parają się także muzyką – że pisząc książki „idą oni ścieżką wytyczoną przez Annę Dziewit-Meller. Autorka »Od jednego Lucypera« była przecież na początku XXI wieku liderką cenionej żeńskiej kapeli rockowej Andy".

Wzruszyły mnie te porządki starszeństwa ustanowione przez autora recenzji, zawsze to miło przypomnieć sobie i innym, że się kiedyś miało inny plan na życie. Bo ja – jak prawie każdy wrażliwy młody człowiek – bardzo chciałam grać w zespole. I jak niewielu z tych chcących – dopięłam swego.

Zespół Andy powstał w 2001 r. w Krakowie, gdy spotkały się cztery nieznane sobie wcześniej dziewczyny: licealistka Kasia Krawczyk i studentka Bożena Pająk odpowiedziały na moje ogłoszenie w internecie, że szukam dziewczyn do zespołu. Potem na próby zaczęła przyjeżdżać jeszcze Ania Gąsior z Mysłowic (po jakimś czasie wyjechała do Londynu, zastąpiona przez Joankę Hedemann, koleżankę Kasi z licealnej klasy). Kilka lat później do zespołu dołączyła jeszcze Joanna Fela Felczak (dziś dr Felczak, specjalistka od resocjalizacji i perkusistka).

Nie wiem, jak długi musiałby być tekst, żeby pomieścił wszystkie nasze dzikie i wesołe przygody z tych 10 lat grania. Od wspólnych tras koncertowych z Cool Kids of Death, Myslovitz czy T.Love, przez zagraniczne festiwale (w tym ten najśmieszniejszy – w chińskim Guangzhou, gdzie wszyscy z nieznanych nam do dziś przyczyn myśleli, że jesteśmy gwiazdami z Europy), przez współpracę z Wilhelmem Sasnalem i galerią Raster, po nieustanne nieporozumienia wynikające z nazwy naszego zespołu – jak to, gdy zadzwoniono do nas z jednego z krakowskich urzędów z pytaniem, czy zagramy na festiwalu muzyki latynoskiej.

Swoją drogą, naszego patrona – Andy'ego Bella z brytyjskiego zespołu Ride, spotkałyśmy w końcu po paru latach grania. Pojechałyśmy z Kasią na koncert Oasis do Berlina i psim swędem dostałyśmy się na salę podczas próby. Andy Bell pracował wówczas dla braci Gallagher jako członek ekipy technicznej. Stał koło nas w pustej sali i, uśmiechając się w naszą stronę od czasu do czasu, słuchał, jak zespół brzmi ze sceny. A my, pobladłe ze stresu, nie byłyśmy w stanie odwrócić się do niego i powiedzieć: „Cześć Andy, nasz zespół nosi twoje imię". Więcej szans od losu już nie było.

Nikt, kto przez długie lata nie dojeżdżał tramwajem linii 22 z krakowskiego Ruczaju do Nowej Huty na próby odbywające się w Soclandzie sprzed remontu, nie wie, czym jest rokendrol. Dziś, gdy wpiszecie „Socland" w wyszukiwarkę, znajdziecie tylko wiadomości o muzeum komunizmu. Wówczas to miejsce tuż za płotem kombinatu było mekką licznych krakowskich zespołów. Tam bowiem za psi grosz można było wynająć salkę prób i dostęp do elektryczności. Prócz nas grali tam wyłącznie faceci. Nieraz nasze liryczne utwory gitarowe z trudem przebijały się przez trashmetalowe rzężenie gitar kolegów. Zimą grało się w kurtkach i czapkach, a woda w czajniku zamarzała. Zamarzały także niezapomniane stalagmity z odchodów w słynnym soclandzkim kibelku, który również dzieliłyśmy z kolegami. Na nasze wysiłki muzyczne spoglądały nagie kobiety o obfitych biustach z plakatów z pism dla panów, powieszonych przez tych, którzy grali w naszej salce z nami na zmianę. Tam odbył się nasz pierwszy koncert, podczas którego cały nasz sprzęt oraz lampki choinkowe podpięłyśmy do jednego przedłużacza. Socland jednak to przetrwał, a my nabrałyśmy wiary w siebie i wiedzy o prądzie elektrycznym.

Za rok od tamtych wydarzeń minie 20 lat. Nie ma dnia, bym nie cieszyła się z tego, że akurat to marzenie postanowiłam zrealizować. Pozdrawiam serdecznie wszystkich, którzy znaleźli się z nami na tej niesamowitej drodze. Może kiedyś uda się na nią znów na chwilę wrócić. ©

REKLAMA

WYDAWNICTWO KRYTYKI POLITYCZNEJ krytyka polityczna
WWW.KRYTYKAPOLITYCZNA.PL

Jaki świat wyłoni się z pandemii?

znajdziesz w empik salony / online / aplikacja i dobrych księgarniach

MATRONATY / PATRONATY
TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne
POLITYKA
wyborcza

WIARA

NARÓD GÓRĄ

Moc tego miejsca płynie stąd, że wszelkie jawne manifestacje, ekspresje, deklaracje i świadectwa rozbijają się tu o milczenie i ciemność jasnogórskiej ikony.

DARIUSZ KOSIŃSKI

Tuż przed pierwszą turą wyborów prezydenckich Jasna Góra pojawiła się w czołówkach serwisów politycznych. Stało się to za sprawą przemówienia, jakie w Kaplicy Matki Boskiej Częstochowskiej wygłosiła w niedzielę 21 czerwca minister rozwoju Jadwiga Emilewicz. Zarzucono jej wykorzystywanie miejsca i wydarzenia religijnego do prowadzenia walki politycznej.

Tydzień później nowy przeor klasztoru jasnogórskiego, ojciec Samuel Pacholski, ogłosił nowy regulamin pielgrzymek i innych wydarzeń na jego terenie. Jego podstawowa zasada głosi, że „wydarzenia organizowane w sanktuarium nie mogą stanowić okazji do manifestowania jakichkolwiek poglądów politycznych oraz takich przekonań społecznych, które stoją w sprzeczności z nauczaniem Kościoła".

Wynika z niej zakaz „propagowania na Jasnej Górze niechrześcijańskich postaw i ideologii, a w szczególności podziałów narodowych, wrogości, pogardy, rasizmu, ksenofobii, egoizmów, nacjonalizmów i fundamentalizmów". Żadne z mów wygłaszanych w sanktuarium (a więc także homilie) nie mogą „zawierać prywatnych poglądów głoszącego, szczególnie zaś odniesień politycznych i takich wątków społecznych, które są sprzeczne z nauczaniem Kościoła". Osoby świeckie mogą przemawiać na terenie sanktuarium tylko za zgodą jego kustosza i wyłącznie poza miejscem liturgii, natomiast w Kaplicy Cudownego Obrazu wolno im zabierać głos „tylko w wypadku modlitwy, składania świadectwa, aktów zawierzenia lub konferencji ewangelizacyjnych, zaplanowanych przez Organizatora po wcześniejszym otrzymaniu wyraźnej zgody Kustosza".

Przyjęcie regulaminu oznacza wzięcie przez paulinów odpowiedzialności za to, co się w tym szczególnym miejscu mówi i manifestuje. Nie sądzę jednak, by był to – jak głosił tytuł jednej z codziennych gazet – „koniec z polityką na Jasnej Górze". W samym tekście zauważono przecież, że choć sanktuarium jest przede wszystkim „miejscem duchowego schronienia dla wszystkich potrzebujących, chcących pogłębić swoją katolicką wiarę oraz oddać się modlitwie", to zarazem „jako pomnik historii i żywe ognisko budowania narodowej wspólnoty (...) stanowi także miejsce ważnych wydarzeń o charakterze państwowym i społecznym w duchu chrześcijańskiego patriotyzmu i miłości bliźniego, zgodnie z katolicką nauką społeczną".

To drugie jest oczywiście polityczne i nie da się już oderwać od pierwszego.

Ukryte

Urodzony i wychowany w diecezji częstochowskiej, chyba nigdy nie traktowałem sanktuarium jasnogórskiego jako wyjątkowego, odległego miejsca, do którego trzeba pielgrzymować. Choć pierwszy raz byłem tam dość późno i w ramach szczególnie uroczystej wyprawy z moimi dziadkami, to potem przyjeżdżałem bardzo często i z powodów różnych, niekoniecznie religijnych.

Pamiętam Jasną Górę daleką od dzisiejszego „ubogacenia", a zdarzało mi się też mieć tyle szczęścia, że trafiałem na pustki nie tylko w bazylice, ale także w Kaplicy. Jako prawie sąsiad unikałem bowiem wizyt w miesiącach letnich, gdy na wzgórze klasztorne ciągnął tłum pielgrzymów, już wtedy – w latach 80. – motywowanych tyleż potrzebami religijnymi, co chęcią politycznej demonstracji. Później, gdy Jasna Góra stała się też międzynarodową atrakcją turystyczną, w ogóle przestałem się tam pojawiać w sezonie, bo w tłumie pątników i zwiedzających moc tego Miejsca kompletnie ginęła.

A to właśnie ta moc, odczuta już podczas pierwszej dziecięcej wyprawy, jest podstawowym powodem, dla którego nigdy nie zgadzałem się na tak częste, bo rzeczywiście łatwe, lekceważenie polskiej ludowej duchowości i religijności, których Jasna Góra jest szczególnym centrum.

Dobrze wiem, w jak kiczowatych, niekiedy wręcz potworkowatych formach religijność ta się wyraża. Widziałem wiele razy krzykliwe i agresywne „demonstracje wiary". Ale nie mam wątpliwości, że nawet ci, którzy się do nich posuwają, przybywają na Jasną Górę z powodów dla nich istotnych, których negowanie oznacza zamykanie oczu na rzeczywistość najdotkliwiej realną – rzeczywistość ludzkich potrzeb. Te potrzeby nie są wmówione, lecz realne, bo realnie kierują decyzjami i losami ludzi. Nawet jeśli ich źródła są ukryte przed nimi samymi, tak jak w polskiej duchowości pod katolickimi formami i dogmatami ukryta jest głęboko archaiczna cześć dla Pani, która jest Matką i Panią Żniwa, ale też i tą, która będzie nam towarzyszyć „w godzinie śmierci".

Widzę też jakąś niesamowitą logikę w tym, że najważniejszym wizerunkiem rodzimej wiary jest prosta ikona ↦

KRZYSZTOF PAWELA / FORUM

Warszawska Piesza Pielgrzymka do Częstochowy, msza pod klasztorem jasnogórskim, lata 80.

ciemnoskórej kobiety o wschodnich rysach tak radykalnie odmienna od kontrreformacyjnego baroku, który na wieki naznaczył polską religijność i dziś powraca w ubogaconych formach patriotycznego kiczu. Jednego i drugiego na Jasnej Górze pełno. Jedno i drugie narasta wokół Czarnej Madonny i ze względu na nią. Ale przecież moc tego Miejsca płynie właśnie stąd, że wszelkie jawne manifestacje, ekspresje i deklaracje rozbijają się o milczenie i ciemność ikony ukrytej pod nabitą klejnotami sukienką i papieskimi koronami.

Im bardziej ubogacone widowiska wokół, tym bardziej ona jest „ucieczką i obroną". Paradoks? Na pewno. Ale jeden z tych, które wydają mi się opisywać wytworzoną w wiekowych procesach i dalej zmieniającą się, żywą formułę egzystencji, którą nazywamy polskością.

Wiara wieży

Jeśli centrum jasnogórskiego sanktuarium jest ikona Matki Bożej, to jego najdalej i najlepiej widzialny znak rozpoznawczy stanowi wieża. Ikona jest ukryta – wieża wystawiona i wzniesiona. Ikona trwa. Wieża wielokrotnie płonęła i wielokrotnie była odbudowywana.

Kształt obecny zyskała w trakcie odbudowy po pożarze, który wybuchł 15 sierpnia 1900 r. Drewniana część ówczesnej wieży zapaliła się od fajerwerków, które na niej odpalano dla uczczenia święta Matki Boskiej Zielnej. Sześć lat później, też 15 sierpnia, wieżę poświęcono jako „najwyższe wotum" narodu, zgromadzonego na tę okazję w liczbie obliczanej według niektórych nawet na pół miliona. Kilkanaście dni później, 29 sierpnia 1906 r., po raz pierwszy obchodzono uroczystość Matki Bożej Jasnogórskiej, zatwierdzoną właśnie przez Piusa X. W kazaniu wygłoszonym z tej okazji, a cytowanym w kalendarium dziejów sanktuarium na jego oficjalnej stronie internetowej, padają słowa stanowiące syntezę narodowej wiary, którą przez miniony wiek zbiorowość wytworzyła: „Cały Naród wyglądał tej [uroczystości] z utęsknieniem. Bo pragnął dopełnić tego, co przysiągł wraz z królem Janem Kazimierzem we Lwowie dnia 1 kwietnia 1656 roku, gdy wśród strasznych utrapień Królową Polski Ją ogłosił... Po ostatnim rozbiorze, podzieliwszy Polskę na trzy części, nieprzyjaciele nasi obdarli ją ze wszystkiego bogactwa i wymazali spomiędzy państw Europy, jakby jej nigdy nie było. A jednak ta Polska nie ginie... Naród złamany na części zrasta się duchowo. Jest nadzieja, że zrośnie się zupełnie. Dowodem tego Uroczystość piętnastego sierpnia, na którą zebrali się Polacy ze wszystkich dzielnic dawnej Polski...".

Skandal na Jasnej Górze polegał na tym, że w tym miejscu zarezerwowanym dotąd dla starych i młodych synów narodu pojawiła się córka.

Odwołanie do ślubów Jana Kazimierza jasno pokazuje historyczne źródło tej narodowej wiary. Jest nim oczywiście mit obrony oblężonej przez innowierców twierdzy, która ocaleć miała dzięki cudownej interwencji wspierającej odwagę obrońców. Jan Kazimierz, któremu kraj rozpadał się w rękach, w sposób świetnie znany także politykom współczesnym wykorzystał ten fakt dla wytworzenia ważnego czynnika spajającego zbiorowość. Niezależnie od osobistej wiary i motywacji, przeprowadził performatywny akt „elekcji" Najświętszej Maryi Panny na Królową Polski – akt skuteczny, a nie tylko – jak zwykło się mówić – symboliczny.

Gdy wszystkie światła zagasły

Skuteczność ustanowienia nie polega na tym, że coś zostało stworzone w określonej formie raz na zawsze, ale raczej na tym, że trwa w swojej zmienności, dostosowując się do zmiennych potrzeb i kontekstów. Tak było też z kultem Królowej Polski. Czczona jako niezwyciężona obrończyni, władająca „Górą Zwycięstwa" (nazwa przyjęta przez Jana Kazimierza i biskupów 2 lipca 1656 r.), musiała zmierzyć się z klęską zaborów, która ten militarny kult wystawiła na ciężką próbę.

Panowanie tej, co „jasnej broni Częstochowy", zostało ocalone i umocnione tymi samymi środkami, jakich użyto do ocalenia tożsamości narodu: poprzez wpisanie w romantyczny dramat ofiary i przemiany. Napisali go swoimi słowami i ciałami wielcy romantycy, ale do potrzeb zbiorowości dostosował genialny popularyzator i prawdziwy twórca narodowych scenariuszy – Henryk Sienkiewicz. To on przecież uczynił z Jasnej Góry miejsce przemiany polskiego zawadiaki, zbója i mordercy w rycerza Niebieskiej Dziewicy, któremu dana w nagrodę dziewica ziemska „ran niegodna całować". Dzięki „Potopowi" Jasna Góra narodowego zwycięstwa zyskała swój mit, przenoszący owo zwycięstwo z poziomu militarnej akcji na poziom duchowej reintegracji.

Gdy Polska odzyskała niepodległość, oba jasnogórskie mity połączono, wiążąc trwałość politycznej i militarnej potęgi z wiernością określonej postawie religijnej i etycznej reprezentowanej przez Kościół katolicki. To, co w romantyzmie było procesem głębokiej i bolesnej, osobistej przemiany wewnętrznej, w pedagogice zbiorowej zostało zastąpione przez wspólnotowe akty performatywne, stopniowo coraz bardziej spektakularne.

Za wzorcem „królewskim" ich szczególną jasnogórską formą stały się śluby. W roku 1926 złożyły je kobiety, a dziesięć lat później, w maju roku 1936, odbyły się głośne, współcześnie odnawiane przez pielgrzymki „środowisk narodowych" Akademickie Śluby Jasnogórskie. W ich trakcie 20 tys. młodych Polek i Polaków przyrzekło „wiary naszej bronić i według niej rządzić się" nie tylko „w życiu osobistym i społecznym", ale także „narodowym i państwowym", co odczytano jako jasną deklarację monopolu. W ten sposób dramat indywidualnej przemiany i odkupienia został zamieniony w ceremonię publicznie składanej obietnicy zawierającej groźbę wykluczenia wszystkich, którzy nie podzielają „wiary naszej".

Mogłoby się wydawać, że katastrofa II wojny na długo przekreśli skuteczność obu mitów i scenariuszy. Nic bardziej mylnego. Pozostały właściwie nietknięte. Najbardziej uderzającym dowodem na to jest zapis w cytowanej już kronice sanktuarium: „1939-45 – II wojna światowa. Gubernator Hans Frank dostrzega wpływ i znaczenie Matki Bożej i Jasnej Góry dla Polaków; w księdze pamiątkowej dokonuje wpisu: »Gdy wszystkie światła dla Polski zagasły, to wtedy zawsze jeszcze była święta z Częstochowy i Kościół«".

To jedyny w kalendarium zapis z okresu okupacji. Z Jasnej Góry nie widać Auschwitz. Widać tylko światło, którego moc potwierdza kolejny odwiedzający klasztor władca tych ziem.

Teatr monumentalny

Nie ryzykując nawet stawiania niebezpiecznie trudnych pytań, jakie budziła

wojna, okupacja i Zagłada, polski Kościół po roku 1945 wybrał ucieczkę do przodu, angażując siebie i wiernych w walkę na przedstawienia i zgromadzenia. To, co mogło być (i dla wielu było) początkiem kryzysu wiary lub wręcz źródłem jej utraty, stało się punktem wyjścia do wieloletniej serii działań rytualnych, ceremonialnych i widowiskowych, których centralną sceną stała się Jasna Góra.

Ich kulminację stanowiły obchody Tysiąclecia Chrztu Polski z najważniejszym punktem: wielkimi zgromadzeniami w dniach 3 i 4 maja 1966 r. W ich trakcie główny twórca i celebrans Millenium, kardynał Stefan Wyszyński, poprowadził „Akt Oddania Polski w macierzyńską niewolę Maryi, Matki Kościoła, za wolność Kościoła Chrystusowego". Było to zarazem zwieńczenie całej serii aktów zawierzenia i ślubów, spośród których najważniejsze były Jasnogórskie Śluby Narodu Polskiego, napisane przez Prymasa Tysiąclecia w czasie jego internowania, złożone uroczyście przez niego w Komańczy, a przez milionową rzeszę wiernych właśnie na Jasnej Górze 26 sierpnia 1956 r.

Przyrzeczenia, zwłaszcza tak masowe, to akt o wielkiej mocy, ale zarazem bardzo ambiwalentny. Nie bez przyczyny w czasie Kazania na Górze padło jasne pouczenie: „Wcale nie przysięgajcie" (Mt 5, 34). Złożenie przyrzeczenia niesie ze sobą ryzyko przesunięcia pracy, jakiej wymaga jego wypełnienie, na sam akt i jego kolejne powtórzenia. A te właśnie narastały w polskim Kościele od lat i trwają do dziś. Odpowiedzią na każde kolejne wyzwanie (ostatnio na pandemię) jest kolejny akt zawierzenia ukazujący w przedstawieniowej syntezie podstawową strukturę polskiego katolicyzmu: pasterze mówią, lud powtarza, a wszystko wyczerpuje się w ramach odpowiednio „ubogaconej" ceremonii.

Ta ceremonialność jest fundowana na przejęciu i spotęgowaniu postawy „rytualistycznej", o której w odniesieniu do polskiego katolicyzmu ludowego pisał jeszcze przed wojną Stefan Czarnowski. Jej rdzeń stanowi wszak „wiara w to, że go [ludowego katolika] Jezus odkupił i że opiekuje się nim Matka Boska, on zaś sam łamać sobie głowy nie potrzebuje nad nauką prawd objawionych – to rzecz księży – aby tylko zachowywał starannie nakazy obrzędowe, aby uczęszczał na nabożeństwa, śpiewał w kościele, zdejmował czapkę i żegnał się przed krzyżem" („Kultura religijna wiejskiego ludu polskiego", 1938). Ale dochodzi tu do zasadniczego przesunięcia, w którym wszelka aktywność, nawet tak prosta jak zdjęcie czapki, zostaje scedowana na koryfeuszy chóru, sama zaś „wiara" może się swobodnie wyczerpać w masowym uczestnictwie w świątecznym zgromadzeniu.

Mechanizm ten, powołany częściowo jako narzędzie walki z przedstawieniową propagandą komunizmu (więc już u źródeł polityczny), pod wpływem dynamicznie rozwijających się mediów zamieniał się stopniowo (tak jak całe życie społeczne) w spektakl. Tłumy wiernych występują w nim jako widowiskowy argument na rzecz mocy ceremonii, ale rolę wiodącą przejmują protagoniści zastępujący „lud", mówiący w jego imieniu. Nie trzeba było długo czekać, by w tym wyróżnionym miejscu pojawili się zawodowi politycy.

Proces, który opisuję tu w koniecznym skrócie, doprowadził do wytworzenia jasnogórskich spektakli narodowo-katolickich, które znamy bardzo dobrze, a których modelowym przykładem są lipcowe pielgrzymki Rodziny Radia Maryja. W ostatnich latach ich specjalnym aktorem stał się premier Mateusz Morawiecki, to porównujący przeciwników politycznych do Szwedów robiących podkop pod wspólnotowe sanktuarium (lipiec 2018), to znów stwierdzający, że jedyną właściwą jest droga bogoojczyźnianego katolicyzmu, i planujący sprowadzenie na nią wszystkich, którzy jeszcze nią nie podążają (lipiec 2019 – wtedy też o. Tadeusz Rydzyk jednoznacznie powiedział, kim owi „oni" są, niejako pisząc scenariusz dla tegorocznej kampanii Andrzeja Dudy). Niewielu już takie połączenie masowej liturgii i jawnej propagandy politycznej dziwi. Może jeszcze marcowe pielgrzymki Młodzieży Narodowej wzbudzają jakieś zastrzeżenia, ale i do nich zaczęliśmy się przyzwyczajać. Sztandar „chrześcijańskiego nacjonalizmu" dumnie powiewa na jasnogórskiej wieży.

W miejscu synów

Muszę przyznać, że w kontekście wszystkiego, co aż za często działo się na Jasnej Górze, dziwi mnie, że nowy regulamin pojawił się akurat w reakcji na wystąpienie Jadwigi Emilewicz. Wbrew wynikającym z kampanijnych potrzeb oskarżeniom, minister rozwoju nie powiedziała niczego specjalnie kontrowersyjnego i propagandowego. Po mszy odprawionej z okazji Dnia Przedsiębiorcy wygłosiła pochwałę małego biznesu jako „dobroczynnego koła wspólnotowego". Wskazała też na jego etyczny wymiar, podkreślając, że zwłaszcza w obecnej sytuacji „praca powinna być przed kapitałem". Nie jestem miłośnikiem minister Emilewicz, która w imię zachowania swojej pozycji i dalszej kariery wyrobiła sobie wybiórczy słuch. Ale rzucanie się na nią z oskarżeniami o agitowanie „z ambony na Jasnej Górze" to gruba przesada. Z pewnością nie powinna występować w Kaplicy Cudownego Obrazu, ale nie jest to przecież ani pierwszy taki przypadek, ani pierwsze święte miejsce przejęte dla swoich celów przez propagandystów w sutannach i bez.

A jednak to właśnie w odpowiedzi na jej wystąpienie nowe władze zakonu zapowiedziały ogłoszenie regulaminu przywołanego na początku, deklarując, że dzięki temu „być może przejdzie ona do historii jako ostatni polityk przemawiający na ołtarzu jasnogórskiej Kaplicy". Może to tylko pretekst i przypadek, ale jeśli już, to z takich, które wynikają z głębokich przyczyn i stają się „najwyższą formą konieczności". Wydaje mi się bowiem znaczące, że wszyscy ci świeccy i duchowni mężczyźni tak gwałtownie zareagowali właśnie na wystąpienie kobiety. Skandal nie polega na tym, że polityk występuje w centrum sanktuarium, przed obrazem Matki. Skandal polega na tym, że w tym miejscu zarezerwowanym dla starych i młodych synów pojawiła się córka.

Pisząc niedawno na łamach „Tygodnika" o wyborach prezydenckich, z niejakim zdziwieniem odsłaniałem mechanizm nieodmiennie osadzający w roli reprezentanta narodu grzecznego chłopca, dobre dziecko, kochającego syna. Pytałem też, co sprawia, że nie jest w stanie zastąpić go kobieta.

Ostatnie wydarzenia związane z częstochowskim wzgórzem jasno (*nomen omen*) pokazują, że w tym układzie symboliczno-psychicznym miejsce kobiety jest już zajęte i bez reszty wypełnione przez Panią: Najświętszą Matkę i Królową. Milczącą. Tymi, którzy mogą publicznie wystąpić w jej obliczu i imieniu, są synowie – słudzy i rycerze, kapłani i poddani. Czczący ją i jej zaprzysiężeni, ale właśnie dzięki temu mogący mówić za nią i wznosić własną wieżę nad jej wiarą.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

BARBARA ROTTER-STANKIEWICZ

Ks. Jarosław Cielecki pielgrzymuje z Niegowici do Częstochowy na 25-lecie święceń kapłańskich, kwiecień 2018 r.

Przypadki Padre Jarka

MACIEJ MÜLLER

Ksiądz Jarosław Cielecki – samozwańczy egzorcysta, uzdrowiciel i kaznodzieja – przez lata bez przeszkód funkcjonował w Kościele poza jego formalnymi strukturami.

Przedstawia się jako bliski współpracownik ostatnich papieży i znajomy czołowych postaci Kościoła. Jest propagatorem kultu św. Szarbela, założycielem prawie 400 domów modlitwy pod jego wezwaniem.

„Niestety w ostatnim czasie ks. Jarosław Cielecki dokonał aktu apostazji, porzucając Kościół rzymskokatolicki i przystępując do wspólnoty religijnej, która nie utrzymuje jedności z papieżem i (...) nie może on nadal sprawować duchowej opieki nad wiernymi Kościoła rzymskokatolickiego" – czytamy w komunikacie wydanym 6 lipca przez Komisję Nauki Wiary polskiego Episkopatu.

Na te słowa zareagował Adam Rosiek, biskup i zwierzchnik Katolickiego Kościoła Narodowego w Polsce – wspólnoty, do której przystąpił ks. Cielecki. Zarzucił członkom Komisji „poważne nieścisłości teologiczne i prawne". Według niego nie doszło do apostazji, ponieważ jest nią tylko „całkowite porzucenie wiary chrześcijańskiej", tymczasem jego Kościół uznaje „wszystkie dogmaty Kościoła Rzymskokatolickiego i wszystkie święte sakramenty".

Katolicki Kościół Narodowy powstał w 2012 r. i jest jedną z kilku wspólnot polskokatolickich. Ma liczyć ok. 5 tys. wiernych, 6 parafii, kilkunastu księży. Adam Rosiek to były ksiądz archidiecezji wrocławskiej, który w 2006 r. przeszedł najpierw do starokatolickiego Polskiego Narodowego Katolickiego Kościoła w RP, a po kilku latach odszedł i stamtąd, powołując nową wspólnotę.

– 14 czerwca ks. Jarosław Cielecki został uroczyście przyjęty, po złożeniu wyznania wiary, do Katolickiego Kościoła Narodowego w Polsce – tłumaczy w rozmowie z „Tygodnikiem" powody wydania komunikatu przewodniczący Komisji Nauki Wiary KEP abp Stanisław Budzik. – Przez ten fakt porzucił Kościół katolicki i przystąpił do wspólnoty religijnej, która nie utrzymuje jedności z papieżem. Dla wspólnoty Kościoła katolickiego jest to wydarzenie bolesne, dotykające zwłaszcza tych, dla których był duchowym autorytetem.

Dlaczego w dokumencie użyto słowa „apostazja"? Arcybiskup Budzik: – Użyliśmy tego słowa, oznaczającego odstępstwo, jako bardziej zrozumiałego dla wiernych, którzy słyszą nieraz o ludziach opuszczających Kościół katolicki i dokonujących formalnie takiego aktu. W przypadku ks. Cieleckiego precyzyjniejszym określeniem jest schizma, czyli, jak formułuje to kanon 751 Kodeksu Prawa Kanonicznego, „odmowa uznania zwierzchnictwa Biskupa Rzymskiego lub utrzymywania wspólnoty z członkami Kościoła, uznającymi to zwierzchnictwo". Skutki prawne obu tych działań są identyczne. Zgodnie z kanonem 1364 KPK „odstępca od wiary, heretyk lub schizmatyk podlega ekskomunice wiążącej mocą samego prawa".

Wędrowiec

Sam ks. Cielecki nie uważa, żeby dokonał apostazji. W kazaniu wygłoszonym 6 lipca stwierdził: „Nie odszedłem, lekko odpłynąłem małą łódką”.

Jego kłopoty z Kościołem rzymskokatolickim zaczęły się wcześniej. 15 maja watykańska Kongregacja Nauki Wiary nałożyła na niego karę suspensy, zakazując mu pełnienia „wszelkich aktów władzy święceń, wszystkich aktów władzy rządzenia oraz wszystkich uprawnień lub zadań związanych z urzędem”. Zakaz objął również kwestię kierowania domami modlitwy św. Szarbela i inne działania związane z kultem świętego.

Kapłan, znany jako „Padre Jarek”, jest od lat przede wszystkim propagatorem kultu maronickiego mnicha z XIX w. Zasłynął również życzliwie relacjonowaną przez media (także niekatolickie) pielgrzymką na Jasną Górę. Z wózkiem, na którym wiózł kopię obrazu Matki Bożej z Niegowici, parafii, w której się urodził, a w której wikarym był Karol Wojtyła.

Był księdzem bez przydziału, funkcjonującym poza strukturami Kościoła. Formalnie inkardynowany był w słowackiej diecezji rożnawskiej, ale przebywał albo w Rzymie, albo podróżował. Samochód nazywał swoją jedyną parafią. Dziennie – jak mówił – pokonywał po 300 km. Jeździł po całej Europie, głosił rekolekcje, był dopuszczany do koncelebry, zachęcał do zakładania domów modlitwy św. Szarbela.

Nie wszystkim się ta działalność podobała. „Wydział Duszpasterski Kurii Diecezjalnej Siedleckiej oświadcza, że działalność ks. Jarosława Cieleckiego na terenie diecezji siedleckiej nie ma aprobaty Kurii Diecezjalnej Siedleckiej. Wydział Duszpasterski prosi o odwołanie wszelkich ewentualnych spotkań z udziałem ks. Jarosława Cieleckiego” – głosi komunikat z listopada 2013 r. Wcześniej na swoim blogu tamtejszy biskup Zbigniew Kiernikowski napisał, że „prawdopodobnie nie są też uzasadnione jego powoływania się na autoryzacje watykańskie”. W 2015 r. zakaz zapraszania ks. Cieleckiego funkcjonował już w diecezjach kieleckiej, siedleckiej, tarnowskiej i archidiecezji warszawskiej.

Mimo to przez kolejne lata ks. Cielecki podróżował po Polsce właściwie bez przeszkód. Pobożne portale robiące z nim wywiady zadowalały się określeniem, że to ksiądz „na stałe pracujący w Rzymie”. Na jakiej zasadzie działał w Polsce? – Dopóki nie został zawieszony w czynnościach kapłańskich przez Stolicę Apostolską i nie opuścił Kościoła katolickiego, mógł być zapraszany przez poszczególne parafie – tłumaczy abp Stanisław Budzik.

A czy Komisja wskazuje jakieś błędy w treściach głoszonych przez ks. Cieleckiego? – Komisja nie zajmowała się jego nauczaniem. Z inicjatywy przewodniczącego Episkopatu zareagowała na porzucenie przez niego Kościoła katolickiego i postanowiła wesprzeć duchowo polskich czcicieli świętego z Libanu.

Pod skrzydłami

Swój autoportret ks. Cielecki przedstawił w książkowym wywiadzie z Tomaszem Terlikowskim „Padre Jarek od św. Szarbela” z 2018 r. (prawdę powiedziawszy, niespecjalnie hamowany przez rozmówcę). W jego słowach zwracają uwagę dwa elementy: kapłan uwiarygadnia się za pomocą kościelnych autorytetów i chętnie opowiada o dziejących się wokół niego cudach.

Jako chłopak wstąpił do małego seminarium karmelitów, gdzie jego opiekunem stał się o. Rudolf Warzecha, dzisiaj błogosławiony. „Często zabierał mnie do celi św. Rafała Kalinowskiego i tam udzielał mi lekcji” – wspomina. Nie czuł jednak powołania zakonnego i przeszedł do seminarium diecezjalnego. W Krakowie go nie chcieli, przyjęli w Łodzi. Po święceniach trafił do kilku parafii. Po trzech latach „poszedłem na studia na Uniwersytet Świętego Krzyża w Rzymie. Opus Dei mi je zaproponowało, poprosiłem więc biskupa i otrzymałem zgodę”.

W Rzymie spotkał słowackiego biskupa-wygnańca Pawła Hnilicę, od lat 50. XX w. mieszkającego (bez przydziału diecezji) w Watykanie. „On mnie formował, wprowadzał w tajemnicę fatimską (...) pokazywał, że istnieją różne modele kapłaństwa, że nie każdy musi być na parafii”. „On chciał i prosił, żeby mnie inkardynowano do słowackiej diecezji, żebym był mu bliższy. I mój ordynariusz [abp Władysław Ziółek] przekazał mnie Hnilicy”.

Przeciwności ks. Cieleckiemu nie były straszne, choć dziwiło go, że musi walczyć „o terytorium i miejsce, by głosić Ewangelię”. Na szczęście, opowiada, dawniej wspomagali go Jan Paweł II, nazywający go „autorem papieskim”, i Benedykt XVI, pocieszający go po stracie matki, a po nich Franciszek, który kiedyś do niego przyszedł „i pobłogosławił moją ewangelizację i walkę”.

Wróg szatana

„Prowadzę media ewangelizacyjne i informacyjne, kręcę filmy, realizuję programy religijne, publikuję teksty” – tak przedstawia swoje codzienne zajęcia. Ale zaraz przechodzi do cudów. „Podczas ostatniej godziny miłosierdzia wyszła kobieta, opowiadała o swoim dziecku, za które się modliła, a które miało mieć skomplikowaną operację serca. I wyobraź sobie, po modlitwie do o. Szarbela zmiany w serduszku zniknęły” – opowiada Terlikowskiemu. Cielecki wymadlał też upragnione potomstwo, powołania kapłańskie, uzdrowienia, godził rozwodzących się małżonków. Kiedy brakowało mu pieniędzy na mieszkanie, podszedł do niego anioł i wręczył 500 euro. Wszystko to – jak mówi ksiądz – za sprawą św. Szarbela.

Zdarzało się mu mówić językami, których nie znał, ludzie, nad którymi się modlił, padali na ziemię. „Obawiałem się, że jestem opętany i zgłosiłem się do jednego z największych (...) egzorcystów na świecie (...) o. Gabriela Amortha”. Ten powiedział mu, żeby się nie bał, bo to dar, a nie opętanie, a Cielecki przypomniał sobie, że ów dar przepowiedział mu wcześniej znany charyzmatyk z Ugandy ks. John Bashobora.

Szatan jest wrogiem ks. Cieleckiego, bo „on bardzo nie chce tego dzieła”. A straszy go na sposoby zapożyczone z japońskich horrorów. Oto kiedyś, zmęczony prowadzeniem rekolekcyjnych spowiedzi, wszedł do zakrystii wrocławskiego kościoła, a tam „za biurkiem siedziała młoda dziewczyna, miała długie blond włosy spuszczone na twarz”. Powiedziała mu: „Znam cię, a ty mnie”, po czym odgarnęła włosy i pokazała oczy bez źrenic. Z pomocą wezwanych księży Cielecki zdołał uwolnić dziewczynę od złego ducha.

Według niego w samych tylko Włoszech zagrożonych okultyzmem jest 20 mln osób, a wszystko to przez popularność religii Wschodu, astrologii czy bioenergoterapii. Formalnie ks. Cielecki egzorcystą nigdy nie był, niemniej funkcjonował w pewnych środowiskach jako specjalista od tych spraw. Pisał artykuły do czasopisma „Egzorcysta”. ↦

Maryja w chmurze

Padre Jarek przedstawia się też jako doświadczony dziennikarz. „Byłem stałym korespondentem Polsatu, pracowałem dla Radia Fiat w Częstochowie, założyłem agencję informacyjną Vatican Service, miałem programy we włoskich telewizjach". Opowiada, że jego książkę o Niegowici poprawił i zrecenzował sam Jan Paweł II. I że kiedy wydawcy Polsatu odrzucali jego pomysły, dzwonił do Zygmunta Solorza i w rezultacie „wszyscy w newsroomie obrywali i pokornie przyjmowali temat, jaki zgłosiłem".

Na stronie padrejarek.pl istotnie działa zakładka „Vatican Service News". Agencja to dużo powiedziane. Ks. Cielecki udostępnia depesze od grudnia 2016, urywają się na 31 maja 2020. Przeważają krótkie informacje, w większości całkowicie zależne od innych mediów, jak „Vatican News" czy telewizja Trwam. Wybór wydarzeń jest subiektywny: znajdujemy tam np. news o tym, że na stopklatce z transmisji słynnej modlitwy papieża na pustym placu św. Piotra „z chmur wyłania się wyraźnie postać przypominająca Matkę Bożą".

Cudotwórca

Świętego Szarbela ks. Cielecki „odnalazł" przez przypadek, szukając w internecie tematów dziennikarskich. Od 2012 r. przedstawia się jako kaznodzieja głoszący jego kult. Z czasem upodobnił się do niego, zapuszczając długą siwą brodę.

„Nie przemawiał, nie nauczał, nic nie napisał" – czytamy w biografii św. Szarbela. O tym libańskim pustelniku z XIX w. wiadomo niewiele, mimo że postulatorzy zgromadzili w *positio* kilka tysięcy stron świadectw na jego temat. Jego życiorys przypomina schematyczne średniowieczne żywoty świętych. Urodzony w 1828 r. w biednej wiejskiej rodzinie, świętym był „od najmłodszych lat", a dorastał „zachowując równowagę duchową i odznaczając się gorliwością i dobrocią" (cytaty za biografią autorstwa o. Jeana Skandara). Szarbel został mnichem. Przyjął święcenia kapłańskie i już za życia zasłynął cudami. Zmarł w wigilię Bożego Narodzenia w 1898 r. Jego ciało miało nie ulec zepsuciu, sączył się z niego tajemniczy olej, wkrótce jego grób stał się celem pielgrzymek, a on zasłynął jako święty patron-uzdrowiciel. Beatyfikował go w 1965 r. Paweł VI. 12 lat później został kanonizowany. Jako święty jest niezwykle popularny w Libanie.

Domy modlitwy

Podróże ks. Cieleckiego po Europie owocowały licznymi domami modlitwy św. Szarbela. W jakich okolicznościach zawiązywały się te grupy? „Często w wyniku mojej wizyty w jakimś miejscu, pokazu filmu, wspólnej modlitwy, błogosławieństwa relikwiami czy olejem pobłogosławionym w Annaya (...), mszy św. o uzdrowienia" – tłumaczy ks. Cielecki. I podkreśla wsparcie takich biskupów jak abp Wacław Depo z Częstochowy i bp Stanislav Stolárik z Rożnawy.

Według regulaminu napisanego przez kapłana, grupy liczą kilka osób i mają spotykać się na modlitwę w domach prywatnych raz na tydzień: rozpiska, co należy odmówić i w jaki sposób, jest bardzo szczegółowa. Powstanie grupy należało zgłosić mailowo ks. Cieleckiemu, który wtedy przyznawał wspólnocie numer. Lista liczyła 380 pozycji.

Abp. Stanisława Budzika spytaliśmy, czy domy modlitwy znajdują się pod opieką lokalnych parafii albo biskupów miejsca. – Domy są inicjatywą oddolną, stosunkowo nową, która wymaga głębszego rozeznania i duchowej opieki – odpowiada hierarcha. – W komunikacie zaproponowaliśmy im, że mogą znaleźć duchowe wsparcie w Maronickiej Fundacji Misyjnej, której przewodniczącym jest ks. bp Andrzej Siemieniewski, biskup pomocniczy Archidiecezji Wrocławskiej. Sprawa wymaga namysłu i przedyskutowania podczas zebrania plenarnego KEP.

Czy istnieje obawa, że członkowie domów udadzą się śladem ks. Cieleckiego? Jak się dowiadujemy, niektóre wspólnoty już dawno rozluźniły lub zerwały kontakty z założycielem. Końcowe słowa komunikatu biskupów z 6 lipca brzmią: „Ufamy, że członkowie Domów Modlitwy św. Szarbela pozostaną w jedności z Kościołem katolickim, będąc jego wiernymi świadkami".

©℗ MACIEJ MÜLLER
Współpraca ANTONI KUŹMIŃSKI

Święci potępieńcy

JÓZEF MAJEWSKI

Doktryna o grzechu pierworodnym, a zwłaszcza jej tradycyjna wykładnia zawarta w Katechizmie Kościoła Katolickiego, przeżywa dziś poważny kryzys.

Teoria ewolucji mocno wstrząsnęła tradycyjną wykładnią doktryny o grzechu pierworodnym. Jak tę wykładnię pogodzić z ustaleniami ewolucyjnych nauk o początkach rodzaju ludzkiego? Zakłada się w niej, że ludzkość pochodzi od jednej pary prarodziców (monogenizm), gdy tymczasem nauka dowodzi, że wywodzimy się od wielu par (poligenizm). Zakłada się w niej dalej, że pierwsi ludzie byli istotami dojrzałymi intelektualnie i moralnie, nieśmiertelnymi, niepodległymi cierpieniu, bez skłonności do złego, żyjącymi w idealnych warunkach, podczas gdy nauki tego rodzaju wizję uznają za bezsensowną.

Jak ujął to biblista Marcin Majewski: „Jeśli rację mają nauki przyrodnicze, nie było w historii okresu, w którym człowiek doświadczyłby harmonii takiej, jak zobrazowano to w Księdze Rodzaju. W tym kontekście wydaje się, że natura człowieka i świata nie wymaga wyjaśnień w kategoriach pierwotnej doskonałości i upadku. Słabość, grzeszność, cierpienie i śmierć są częścią natury, a skłonność człowieka do zła nie jest czymś zawinionym, lecz jest jego wyposażeniem ewolucyjnym, za które nie ponosi odpowiedzialności".

Tradycyjną wykładnią wstrząsa także egzegeza biblijna. W wykładni tej np. przyjmuje się historyzującą interpretację opowieści o Adamie i Ewie w Księdze Rodzaju, gdy tymczasem wedle egzegetów ma ona charakter w głębokim znaczeniu mitologiczny. Katechizm stwierdza ostrożnie, że język tej opowieści jest „obrazowy", co pozwala przyjąć,

„Ogród Eden" – iluminacja w kalendarzu „Très Riches Heures", francuskim manuskrypcie z pracowni braci Limbourg (1412–1416).

FOT. UNIVERSAL HISTORY ARCHIVE / GETTY IMAGES

że nie traktujemy dosłownie pełzającego tam węża czy tworzenia kobiety z żebra śpiącego mężczyzny. Oznacza to jednak, że podobnie niedosłownie trzeba traktować postaci Adama i Ewy, podczas gdy w Katechizmie akurat tę parę i tylko ją, nie wiedzieć czemu, pojmuje się całkiem dosłownie.

Z egzystencjalnego punktu widzenia jeszcze gwałtowniejszy opór rodzi ludzka miłość. Szczególnie chodzi tu o miłość do dzieci nienarodzonych i do niemowląt nieochrzczonych. Ludzka miłość – choćby matek i ojców, dziadków i babć oraz rodzeństwa tych dzieci – nie może się zgodzić na tradycyjną wykładnię, według której dzieci przed chrztem są – jak w XVI w. ujął to Sobór Trydencki, a dzisiaj wciąż się powtarza – „nieprzyjaciółmi Boga".

W 1998 r. kard. Joseph Ratzinger w komentarzu do listu apostolskiego Jana Pawła II „W obronie wiary", gdzie mowa o trzech poziomach nauczania Magisterium Kościoła (objawionego, ostatecznego i autentycznego), doktrynę o grzechu pierworodnym zaliczył do nauczania objawionego. Jej odrzucenie lub uporczywe negowanie jest zatem herezją. Herezją jednak jest negacja doktryny, ale nie jej wykładni, choćby uświęconej długą tradycją.

Nie ma debaty?

Dramatyczne problemy z tradycyjnym rozumieniem dogmatu o grzechu pierworodnym klarownie doszły do głosu w internetowej rozmowie pewnej osoby z abp. Grzegorzem Rysiem. Najpierw pada niespokojne pytanie: „Interesuje mnie grzech pierworodny u małych dzieci, u niemowlaków. Jak niemowlak może być grzeszny, skoro to jest dziecko moim zdaniem czyste jak łza. Nie jest niczego świadome: nie ma świadomości, że żyje, nie ma świadomości, że – za przeproszeniem – sra pod siebie. Dlaczego to niemowlę jest grzeszne? Co może być grzesznego w dziecku?".

W odpowiedzi arcybiskup napisał: „Bardzo dobre pytanie i bardzo dobre wyczucie. Grzech pierworodny nie ma charakteru osobistej winy. To dziecko nie ma żadnej winy, absolutnie. (...) Zdarzają się takie dramaty, że dzieci umierają. Nikt nie twierdzi, że są potępione, bo umarły w stanie grzechu. Są święte. To jest trudna prawda, ale ona mówi tyle, że w momencie, kiedy człowiek się rodzi, to z racji decyzji podjętej przez pierwszych ludzi rodzi się w stanie nieprzyjaźni z Bogiem [podkreślenia moje – J.M.]. Ale to nie jest jego osobista wina. (...) My możemy być oburzeni, że grzech pierworodny to jest grzech dziedziczny. Ktoś u początku ludzkości narozrabiał, a ja mam konsekwencje tego ponosić. (...) Nie ma mowy o żadnej winie osobistej, dziecko jest niewinne. Nie ma debaty".

A jednak debata jest, bo wypowiedź ta rodzi kolejne pytania. Jak rozumieć świętość dzieci zmarłych bez chrztu, gdy jednocześnie pozostają one „w stanie nieprzyjaźni z Bogiem"? Sobór Trydencki ów stan „nieprzyjaźni" starannie doprecyzował: skutkami grzechu pierworodnego są „utrata łaski i w końcu nienawiść do Boga. W tych, którzy są nim obciążeni, posiada moc, że czyni ich winnymi kary wiecznej, nieprzyjaciółmi Boga, synami gniewu". Jak dzieci nieochrzczone mogą być święte, jeśli grzech pierworodny – tym razem według Katechizmu – „jest pozbawieniem pierwotnej świętości i sprawiedliwości" (nr 404-405, 417)? Co może zostać świętego w takim dziecku bez pierwotnej świętości?

Oto prawdziwy paradoks tradycyjnej wykładni doktryny o grzechu pierworodnym. Okazuje się, że można nie być przyczyną jakiegokolwiek zła, można po prostu nic w ogóle nie zrobić w swoim bardzo krótkim żywocie, z wyjątkiem bycia radością i szczęściem dla rodziców, i do tego jeszcze być świętym – a mimo to (do chrztu) pozostawać „nieprzyjacielem Boga"! Jak zgodzić się na takie rzeczy? ↦

Bardzo łagodne potępienie

To prawda – jak ujął to nieco dalej abp Ryś – że ludzkie grzechy mają konsekwencje nie tylko dla grzeszących: „My byśmy bardzo chcieli, żeby konsekwencje naszych grzechów dotykały tylko nas. Ale to nie jest prawda. To jest tak, że konsekwencje mojego grzechu mogą dotykać bardzo wielu ludzi w życiu. I to nie jest ich wina. To nie jest ich wina, że im na przykład trudniej jest czynić dobro przeze mnie. I to jest właśnie to, co mamy na myśli, mówiąc o grzechu pierworodnym".

Oczywiście – to, co robimy złego, oddziałuje na innych. Winy i grzechy jednych ludzi utrudniają innym czynienie dobra, a nawet ułatwiają im czynienie zła. Problem w tym, że w świeckich sądach ten utrudniający czynienie dobra lub ułatwiający czynienie zła – lecz zupełnie niezależny od winowajcy, bez jego własnej winy – wpływ innych będzie traktowany jako okoliczność łagodząca, a nie podstawa wyroku skazującego, i to na karę wiecznej śmierci. No i przede wszystkim nikomu w tych sądach nie przyjdzie do głowy sądzić i karać wiecznymi mękami niemowlaki.

Tymczasem w tradycyjnej wykładni doktryny o grzechu pierworodnym konsekwencje grzechów innych okazują się okolicznością realnie obciążającą. Sobór Trydencki nie pozostawił tu wątpliwości: „Zaciąga się go [grzech pierworodny] przez pochodzenie, a nie naśladowanie. Przechodzi on na wszystkich ludzi i każdy posiada go jako swój własny". W wykładni tej dzieci bez chrztu nie tylko są sądzone, lecz także karane, a sędzią jest – o zgrozo – sam Bóg. W takiej wizji jasne jest, że wszechwiedzący Bóg stwarza dzieci, które nie mają szans na chrzest, tylko po to, by je następnie potępić.

Nie mam pewności, czy i dzisiaj ktoś nie twierdzi, że dzieci, które umarły bez chrztu, są potępione. Wiem natomiast, że przez wieki właśnie tak nauczano w Kościele. Sobór Trydencki miał się na kogo powołać, gdy orzekał: „Jego [grzechu pierworodnego] zasadniczymi skutkami są: śmierć doczesna i wieczna (...). W tych, którzy są nim obciążeni, posiada moc, że czyni ich winnymi kary wiecznej".

Kluczowe okazały się poglądy św. Augustyna (IV/V w.). Biskup Hippony pisał: „Ten, kto mówi, że nawet dzieci odradzają się w Chrystusie, gdy opuszczają ten świat bez udziału w Jego sakramencie [chrztu], ten zarówno sprzeciwia się nauczaniu apostolskiemu, jak i staje przeciwko całemu Kościołowi, który nie zwleka z chrztem dzieci, albowiem Kościół bez wahania wierzy, iż w przeciwnym razie nie mają one możliwości odrodzić się w Chrystusie". I w innym miejscu: „Kto nie jest z Chrystusem, może być tylko z diabłem". Dzieci, które umarły bez chrztu – uważał Augustyn – „będą ukarane wiecznym ogniem; bo chociaż nie mają grzechu osobistego, zetknęły się poprzez swój brud z grzechem pierworodnym". Czekają je kary, chociaż kary te wobec takich małych „potępieńców" będą „bardzo łagodne", otrzymają „karę najlżejszą ze wszystkich".

Augustynowe nauczanie było powtarzane przez rzesze kaznodziejów, biskupów, nawet papieży. Wciąż oddziałuje ono na teologię i Magisterium Kościoła. Do połowy XX w. pogrzeb dzieci zmarłych bez chrztu – pisał Jean Delumeau – „odbywał się bez księdza i odsuwano je od poświęconej ziemi z tego samego tytułu co inne osoby dotknięte hańbą, niewierzących, heretyków, odstępców, schizmatyków, ekskomunikowanych, zmarłych śmiercią samobójczą, (...) publicznych grzeszników i innych". Cóż za potworna wizja: piekło wypełnione rzeszami dzieci, które odeszły z tego świata, nie otrzymawszy – zupełnie bez własnej winy – odrodzenia w wodach chrztu.

Nadzieja zbawienia dla dzieci

Zbawcza sytuacja nieochrzczonych niemowlaków jawi się tu jako nieskończenie gorsza od tej, w jakiej znajdują się nieochrzczeni dorośli. Ci drudzy – w przeciwieństwie do dzieci – mają szansę na niebo, ponieważ dla nich wymyślono np. chrzest pragnienia.

Jak ujęło to w 1949 r. Święte Oficjum, watykańska poprzedniczka Kongregacji Nauki Wiary: „Ponieważ nie zawsze wymaga się do osiągnięcia wiecznego zbawienia, by ktoś w rzeczywistości został włączony do Kościoła jako członek, przynajmniej jest wymagane, by do niego należał przez życzenie lub pragnienie. To zaś pragnienie nie zawsze musi być wyraźne, jak to jest u katechumenów, lecz wtedy również ma miejsce, kiedy człowiek znajduje się w niewiedzy niemożliwej do usunięcia. Bóg także przyjmuje ukryte pragnienie (*votum implicitum*), nazwane w ten sposób, ponieważ jest ono zawarte w dobrym usposobieniu duszy, dzięki któremu człowiek chce uzgodnić swoją wolę z wolą Bożą". Problem w tym, że nieochrzczone niemowlaki z oczywistych racji nie są w stanie uzgodnić swojej woli z wolą Boga i pragnąć chrztu, choćby w sposób ukryty.

Choć w historii Kościoła i teologii stanowisko Augustyna zdawało się dominujące, nie było jedyne. Począwszy od średniowiecza co bardziej miłosierni teologowie, trwając przy tradycyjnej wykładni doktryny o grzechu pierworodnym, ratowali zmarłe bez chrztu dzieci w ten sposób, że umieszczali ich dusze w tzw. otchłani dzieci (*limbus puerorum*). Tam nie dostępują one zbawienia, ale też nie są potępione. Pozbawione są uszczęśliwiającego widzenia Boga, ale nie muszą z tego powodu cierpieć. Niektórzy teologowie, jak św. Tomasz z Akwinu, sugerowali, że mogą nawet cieszyć się pewnym szczęściem, ale wyłącznie tzw. naturalnym. Podstawowa słabość koncepcji *limbus puerorum* polega na tym, że brak jej oparcia w Piśmie Świętym.

Trzeci i najmłodszy pogląd w sprawie pośmiertnych losów nieochrzczonych dzieci, choć również zakorzeniony w tradycyjnej wykładni, głosi, że można mieć nadzieję na ich zbawienie. Można modlić się o to, by Bóg mimo ich zbrukania grzechem pierworodnym znalazł sposób, aby je przyjąć do swojej wieczności. Takie stanowisko przyjęła w 2007 r. Międzynarodowa Komisja Teologiczna, agenda Kongregacji Nauki Wiary, w dokumencie „Nadzieja zbawienia dla dzieci, które umierają bez chrztu". Trzydziestka teologicznych ekspertów z całego świata po

OGŁOSZENIE

Sąd Rejonowy w Słubicach wzywa wszystkich spadkobierców Jana Rommel, syna Jana i Stanisławy, ostatnio stale zamieszkałego w Słubicach, zmarłego 15 maja 2014 r. w Słubicach, po którym w skład spadku wchodzi zadłużenie wobec Wojewody Lubuskiego, aby w ciągu trzech miesięcy od dnia wskazanego ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku. Sygn akt. I Ns 398/19.

kilku latach debat wyraziła nadzieję, iż „Bóg, który chce, by wszyscy zostali zbawieni, da jakieś miłosierne remedium, aby mogły one zostać oczyszczone z grzechu pierworodnego i dostąpić oglądu uszczęśliwiającego".

Są teraz w Bogu?

Dzisiaj można także mówić o jeszcze jednym stanowisku, któremu dał wyraz Jan Paweł II w encyklice „Evangelium vitae" z 1995 r. Zwracając się do kobiet, które poddały się zabiegowi aborcji, napisał, że wciąż mogą prosić o przebaczenie zarówno Boga, jak i swoje dziecko: „Odkryjcie, że nic jeszcze nie jest stracone, i będziecie mogły poprosić o przebaczenie także swoje dziecko: ono teraz żyje w Bogu" (nr 99). Papież nie ogłosił tu dogmatu, ale sądzę, że jasno i jednoznacznie wyraził głębokie przekonanie, które pomogło wielu rodzinom łatwiej przeżyć trudny czas po stracie dzieci.

Słowa Jana Pawła II były pierwszą w historii nauczania Magisterium Kościoła wypowiedzią wyrażającą wiarę, że dzieci zmarłe bez chrztu dostępują zbawienia. Piszę „były", bo słowa te usunięto z kanonicznej, obowiązującej łacińskiej wersji „Evangelium vitae" (tzw. *editio typica*). Po kilkunastu latach obowiązywania wersji ze zbawieniem nieochrzczonych dzieci nagle zaczęła obowiązywać inna wersja – ta jedynie z nadzieją na zbawienie. Teraz „papież" mówi do kobiet po aborcji: „Możecie z nadzieją powierzyć swoje dziecko temu samemu Ojcu i Jego miłosierdziu".

O zmianie w encyklice poinformowała Międzynarodowa Komisja Teologiczna w przywołanym tu już dokumencie. Zrobiła to dyskretnie, w przypisie, nie informując jednak, że dokonał tego sam Jan Paweł II, a jedynie notując, nie wiedzieć czemu, bezosobowo, iż zrobiła to *editio typica*.

Dlaczego doszło do korekty? W odpowiedzi trzydziestka wybitnych ekspertów teologicznych oznajmiła, że pierwotne papieskie sformułowanie „mogło prowadzić do błędnych interpretacji". Bardzo intrygująca racja. W innych dokumentach Jana Pawła II, ale i innych papieży, choćby Franciszka i Benedykta XVI, czy nawet soborów, także można spotkać sformułowania, które mogą prowadzić do błędnych interpretacji – to normalne w przypadku ludzkich wypowiedzi. Czy i one zostaną poprawione w łacińskich wydaniach kanonicznych? A co powiedzieć o Piśmie Świętym, które pełne jest tego rodzaju sformułowań, czego świadectwem wojny religijne i podziały chrześcijaństwa?

> Oto paradoks tradycyjnej wykładni doktryny o grzechu pierworodnym: można nie być przyczyną jakiegokolwiek zła, można po prostu nic w ogóle nie zrobić w swoim bardzo krótkim żywocie – a mimo to do chrztu pozostawać **„nieprzyjacielem Boga"!**

Kiedy próbuję zrozumieć pierwotną wypowiedź Jana Pawła II, że dzieci zmarłe bez chrztu żyją teraz w Bogu, dochodzę do wniosku, że zakłada ona inną niż tradycyjna wykładnię doktryny o grzechu pierworodnym. Uważam, że w pierwotnej wersji encykliki „Evangelium vitae" można znaleźć klucz do nowej wykładni tej doktryny, której dzisiaj potrzebujemy.

Światłość mocniejsza niż ciemność

Wobec tradycyjnego ujęcia grzechu pierworodnego rodzą się pytania. Czy to możliwe, by święty Bóg obdarował poczęte dziecko – jak naucza Magisterium Kościoła – świętym życiem, ale nie mógł sprawić, aby ta świętość realnie odciskała się na jego osobowym bycie, przemieniała je u źródeł, i pozostawiał je w stanie „nieprzyjaźni"? Czy to możliwe, by nieskończona miłość nieskończonego Boga, która stwarza skończoną malutką istotę ludzką, nie była jednocześnie w stanie przeniknąć do wnętrza tego maleństwa, lecz odbijała się od nieprzenikalnego muru „grzechu" zbudowanego „wokół" dziecka przez inne skończone istoty?

Czy światło Chrystusa, które – jak czytamy w Ewangelii Jana – „oświeca każdego człowieka, gdy na świat przychodzi" (1, 9), nie od razu dociera do człowieka, ginąc w mrocznym cieniu „grzechu"? Czyżby poczęte dzieci nie miały w sobie nic z tej Chrystusowej światłości, świętości i miłości?

Grzech pierworodny to tajemnicza, uniwersalna, sięgająca początków rodzaju ludzkiego sytuacja, jakby przestrzeń ludzkiej winy i grzechu, w której poczynają się ludzie i która od tej chwili oddziałuje na osobowy byt człowieka, współokreślając jego wolność i stosunek do Boga. Tradycyjne rozumienie grzechu pierworodnego, absolutyzując mroczność tej przestrzeni, nie dostrzega innego jej wymiaru: wymiaru uniwersalnej – sięgającej nie tylko początków rodzaju ludzkiego, ale i poza ten początek (!) – sytuacji naznaczonej miłością, w której wszyscy również się poczynamy.

Chodzi o nieskończoną stwórczą i zbawczą miłość Boga. Kapłan w modlitwie na Wprowadzenie przy pogrzebie dziecka nieochrzczonego mówi: „Bóg zna swoje stworzenia od początku ich istnienia i wszystkie ogarnia miłością". Nie ma w naszym życiu ani jednej chwili, by nie ogarniała nas miłość Boga. Ale chodzi tu też o miłość ludzi, kobiet i mężczyzn, skończoną, słabą i grzeszną, lecz opierającą się na Bożej miłości.

Z doświadczenia kochających się małżonków i rodziców nie da się wymazać „prafaktu" miłości, z której wyłania się poczęte dziecko. Nie tylko nasze grzechy mają konsekwencje dla innych ludzi, ale także dobro, które – z łaski Bożej – udaje się nam czynić. Także nasza skończona miłość, a nie tylko grzech, ma wpływ na to, co robią i jak żyją inni ludzie. Zaiste, nikt z nas nie jest samotną wyspą.

Przychodzimy na ten świat w przestrzeni grzechu, ale i miłości, w przestrzeni ciemności, ale i światła. Należałoby powiedzieć: przede wszystkim w przestrzeni miłości i światła Boga. W wierze możemy mieć pewność, że „światłość w ciemności świeci i ciemność jej nie ogarnęła" (J 1, 5).

Światłość Chrystusa, której zło nie przemoże i która jest mocniejsza niż ciemność, naprawdę „oświeca każdego człowieka, gdy na świat przychodzi". W jej świetle można dostrzec, że w poczętym dziecku istnieje jakieś miejsce niepokalane, czyste i święte, bardziej pierwotne niż moce zła i grzechu. Oczami takiej wiary ośmielam się dostrzec tę niepokalaną głębię poprzez mroki ciemności. Nasze poczęcie dokonuje się w przestrzeni grzechu, ale jednocześnie – podpowiada ta wiara – jest niepokalane.

© JÓZEF MAJEWSKI

ŚWIAT

SŁOWO NA „A”

Premier Izraela zapowiada aneksję części Zachodniego Brzegu Jordanu. Na razie do niej nie doszło. Ale Izraelczycy i Palestyńczycy są coraz dalej od pokoju.

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET
Z TEL AWIWU

Zaledwie pięć kilometrów od rozemocjonowanej Jerozolimy, w żydowskim osiedlu Givat Zeev na obszarze Zachodniego Brzegu, turbulencje polityczne wydają się nie mieć większego znaczenia. Dziura w płocie, który oddziela ślepą ulicę osiedla od palestyńskiej wioski Al-Dżib, jak była, tak jest. Wymiana przez dziurę kwitnie: żydowskie matki przynoszą palestyńskim jedzenie, ubranka dla dzieci. Dogadują się na migi: co dla syna, co dla córki. Palestyńskie dzieci machają zza płotu.

Bogna Skoczylas, polska ortodoksyjna Żydówka, która mieszka przy tej ulicy, zachodzi pod płot z synem. Chłopiec karmi palestyńskiego osiołka. Bogna wierzy, że „aneksja” (używając tego słowa osadnicy biorą je w cudzysłów), jeśli nastąpi, nie zmieni relacji z sąsiadami zza płotu.

– Mamy szczęście, że są dobre, choć wiem, że wiele w świecie arabskim zależy od *hamuli*, rodziny żyjącej na danym terenie – mówi Bogna. – Ta tutejsza jest przyjazna, z Izraelczykami łączą ją interesy. Niedaleko naszego osiedla jest taka dziwna strefa, *no man's land*, już nie palestyńska, ale jeszcze nie izraelska. Na domach – ładnych, dużych – Palestyńczycy zawiesili szyldy z hebrajskimi opisami: sprzedaż okien, drzwi, różne naprawy, sklepy. Tu u nas, w strefie C, jest normalna granica. Palestyńczycy przyjeżdżają codziennie do pracy. Mój syn choruje, jego neurologiem jest Palestyńczyk. Wybraliśmy go, bo był najlepszy w okolicy.

Połowa popiera aneksję

Zapowiedziana przez premiera Beniamina Netanjahu już w zeszłym roku aneksja miała dokonać się po 1 lipca. Premier nie mógł liczyć na bardziej sprzyjające okoliczności. Ogłoszony w styczniu przez prezydenta USA „plan stulecia”, mający (w opinii Donalda Trumpa) trwale rozwiązać konflikt palestyńsko-izraelski, dał Izraelowi zielone światło do aneksji. Ma ona polegać na włączeniu do państwa żydowskiego jednej trzeciej ziem palestyńskich na Zachodnim Brzegu, który Izrael okupuje od 1967 r. Chodzi głównie o tereny, na których stoją żydowskie osiedla, a także o strategiczną dolinę rzeki Jordan. Sondaże pokazują, że plan ten popiera połowa Izraelczyków. Władze Autonomii Palestyńskiej odrzuciły go kategorycznie.

Jednak na początku lipca uwaga Netanjahu w całości przeniosła się na walkę z drugą falą epidemii koronawirusa, która nagle ogarnęła Izrael.

– Nikt nie poinformował nas o nadchodzących zmianach. Zresztą nie liczę na wielkie. Może tylko na to, że powstałby tu u nas posterunek policji? No i że okoliczne święte miejsca, także chrześcijańskie, znalazłyby się w Izraelu. Moim zdaniem tak jest lepiej i bezpieczniej dla żydów i chrześcijan. Z drugiej strony, zdaję sobie sprawę, że to nie jest zawarcie pokoju – mówi Bogna Skoczylas.

Do Izraela przyleciała 20 lat temu. Dziś pracuje jako nauczycielka polskiego i hebrajskiego. – Bardzo chciałabym, aby taki dwustronny pokój nastąpił. Obawiam się tylko, że Hamas i Fatah to nie są partnerzy do rozmowy. Pokazało nam to już poświęcenie Izraela: po tym, jak w 2005 r. ewakuował swoją ludność z Gazy, a rakiety Hamasu do dziś spadają na nasze szkoły, dzieci i cywilów dokładnie z tych

AHMAD GHARABLI / AFP / EAST NEWS

Prace budowlane w żydowskim osiedlu Givat Zeev na okupowanym Zachodnim Brzegu, 25 czerwca 2020 r.

miejsc, w których wcześniej były osiedla żydowskie. Swoją drogą, to właśnie wtedy przestałam być lewicowa – dodaje Bogna.

Zmiana semantyczna?

Teść Bogny pochodził z Będzina; ocalał z Holokaustu. Jego syn Eliahu Skoczylas urodził się już w USA, ale po wybuchu wojny w Zatoce Perskiej w 1990 r. zaciągnął się do izraelskiej armii. Jest religijnym prawicowym Żydem, z zawodu programistą. Ma nadzieję, że Netanjahu zrealizuje swój plan.

– To jedynie zmiana prawnego statusu niektórych terytoriów, które od dawna są pod izraelską kontrolą – przekonuje Eliahu. – Zmiana semantyczna, która upraszcza wiele spraw z prawnego punktu widzenia. Zgodnie z konwencjami genewskimi, do których Izrael się odwołuje, wszelkie sprawy prawne, które dotyczą naszego obszaru, czyli C, muszą być rozwiązywane przed trybunałem wojskowym, a nie przed izraelskim sądem. Jeśli auta palestyńskie i izraelskie zderzą się tutaj, sprawę przejmuje wojsko, co prowadzi do komplikacji, denerwujących dla wszystkich, także Palestyńczyków.

– „Aneksja" – Eliahu podkreśla, że używa tego słowa w cudzysłowie – sprawi, że także Palestyńczycy będą podlegać organom cywilnym Izraela, a nie wojsku. Dla nas oznacza to z kolei ułatwienia w codziennym życiu. W tej chwili, by naprawić światła na autostradzie, musimy uzyskać pozwolenie Autonomii Palestyńskiej. A że Autonomia od miesięcy nie współpracuje z izraelskim rządem, takie drobne sprawy czekają na rozwiązanie miesiącami i ostatecznie rozwiązuje je armia. „Aneksja" sprawi, że będziemy mogli naprawiać światła na autostradzie tak łatwo, jak w każdym innym miejscu w Izraelu.

Bogna: – Nie uważam, że „aneksja" uniemożliwi powstanie państwa palestyńskiego. Nawet państwo niespójne terytorialnie może być silne ekonomicznie i etnicznie, i realizować swoje potrzeby narodowe. Chciałabym pokoju i dwóch niezależnych, bezpiecznych sąsiednich państw. To, co uniemożliwia powstanie państwa palestyńskiego, to fakt, że nie ma ze strony istotnych sił politycznych w Palestynie zgody na istnienie Izraela.

Plan wciąż aktualny

Dlaczego, mimo sprzyjających okoliczności do aneksji teraz nie doszło?

Netanjahu zapewnia, że temat wciąż jest omawiany z Amerykanami, a więc to, że się nie odbyła, nie oznacza, że sprawa nie powróci. Wszystko jednak wskazuje, że nie w najbliższym czasie. Izrael stoi u progu drugiej fali epidemii, a rząd próbuje godzić ochronę zdrowia obywateli z ratowaniem podupadającej gospodarki. Netanjahu ma też na głowie własny proces korupcyjny. Dodatkowo, każda ze stron wspierających pomysł aneksji – Amerykanie, Benny Gantz (partner koalicyjny Netanjahu), ortodoksyjni partnerzy w rządzie – ma własną jej wizję. Ciężko zaspokoić wszystkie oczekiwania, a Netanjahu nie ma teraz czasu na próbowanie. Ma też świadomość, że Trump, którego poparcia może być pewny, nie musi wygrać listopadowych wyborów w USA. Jeśli zwycięży Joe Biden, kandydat Partii ↦

Demokratycznej, trzeba będzie się z nim jakoś ułożyć.

Niektórzy izraelscy komentatorzy uważają, że premier posłużył się aneksją jako tematem zastępczym w permanentnej kampanii wyborczej – w ciągu ostatniego półtora roku trzeba było trzech kolejnych głosowań, aby w końcu powstała większość parlamentarna.

– Mamy w Izraelu dwóch Beniaminów Netanjahu. Pierwszy jest bardzo pragmatyczny i wyważony w swojej polityce. Drugi patrzy czasem na historię i wtedy całkiem traci swój pragmatyzm. W ciągu ostatnich dwóch-trzech miesięcy były chwile, gdy Netanjahu chciał i mógł przeprowadzić aneksję, to mogła być jego wielka historyczna spuścizna. Ale pragmatyczny Netanjahu nigdy chyba nie miał poważnego planu aneksji – uważa Anshel Pfeffer, dziennikarz i biograf premiera (jego książka „Bibi. Burzliwe życie i czasy Beniamina Netanjahu" ukazała się także w Polsce). Pfeffer sądzi, że siłą „Bibiego" jest umiejętność żonglowania wieloma politycznymi opcjami. Nigdy do końca ich nie zamyka i dlatego teraz nie powie: aneksji nie będzie. Zostawia otwartą furtkę.

Na razie zapowiedź aneksji sprawiła, że wiele krajów świata wyraziło swój sprzeciw, uznając ją za sprzeczną z prawem międzynarodowym.

Pocięte terytorium

Z sondażu Palestyńskiego Centrum Badań ds. Polityki i Badań Opinii Publicznej wynika, że 88 proc. Palestyńczyków sprzeciwia się aneksji. Do 45 proc. wzrosło wśród nich poparcie dla rozwiązania dwupaństwowego, a 52 proc. popiera zbrojny opór w odpowiedzi na aneksję.

Johnny Mansour, palestyński historyk z izraelskiego uniwersytetu Beit Berl (prosi, by nie nazywać go izraelskim Arabem), nie ma wątpliwości, że choć izraelski rząd zrezygnował na razie z planów, to aneksja wciąż stanowi zagrożenie dla narodu palestyńskiego. Nawet jeśli tylko ta symboliczna, wyobrażona.

– Ona wydarza się ciągle w wyobraźni izraelskiej prawicy, a w dłuższej perspektywie realnie wpływa na sytuację – uważa Mansour. – W tej chwili Palestyńczycy są już gotowi utworzyć państwo na 22 procentach ziemi palestyńskiej, ale działania Izraelczyków w ostatnich dwóch dekadach wyraźnie wskazują na to, że chcą ich pozbawić nawet tego. Wystarczy spojrzeć na mapę osiedli: rozrzucone po Zachodnim Brzegu i połączone drogami, po których mogą jeździć tylko osadnicy, tną powoli terytorium Palestyny. Jej mieszkańcy nie mogą swobodnie przemieszczać się między jednym miejscem a drugim bez natykania się na posterunki wojskowe. Tak działa izraelska okupacja. Takie postępowanie sprawia, że nie ma żadnych szans na realizację porozumienia z Oslo, które mówiło o rozwiązaniu dwupaństwowym – dodaje historyk.

– W tej sytuacji władze Autonomii mają naprawdę trudne zadanie: z jednej strony chcą dalej prowadzić swoich ludzi, a z drugiej nie mają jak utworzyć państwa – ciągnie Mansour. – W Palestynie pojawiają się już głosy, by wymienić kierownictwo Organizacji Wyzwolenia Palestyny. Nie wszystkim podoba się, że jej prezydent Mahmud Abbas upiera się przy pokojowym oporze przeciw okupantowi. Że przeczekuje sytuację, zamiast rozgrzać naród do walki. Wielu wzywa do kolejnej intifady [powstania narodowego – red.].

Jedno państwo, dwa narody?

Aneksja wzmocniłaby głosy wspierające ideę innego scenariusza wyjścia z impasu. Zresztą wśród Palestyńczyków (czy też Arabów) żyjących w Izraelu rośnie już poparcie dla tego nieśmiałego projektu: rozwiązania jednopaństwowego, tj. utworzenia dwunarodowego państwa żydowsko-arabskiego.

– W tej chwili takie rozwiązanie jest oczywiście nierealne. Izraelczycy nie są na to gotowi, to oznaczałoby koniec konceptu syjonistycznego – twierdzi Mansour. – Choć uważam, że żyjemy już w erze postsyjonistycznej. Co to oznacza? Że musimy odnowić program syjonistyczny w inny sposób, biorąc pod uwagę obecność Palestyńczyków na Zachodnim Brzegu i w Gazie.

Jednak w perspektywie aneksji taka idea wydaje się jeszcze bardziej odległa, a sam pokój – jeszcze bardziej nieosiągalny. Mimo tak wielu zmian, w tej części Bliskiego Wschodu to, co najważniejsze, zostaje więc po staremu.

©℗ KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

EAST NEWS

SAEB EREKAT jest wysokiej rangi politykiem partii Fatah (rządzi ona na Zachodnim Brzegu, podczas gdy w Gazie władzę sprawuje konkurencyjny wobec niej Hamas), a od 1995 r. głównym negocjatorem w palestyńsko-izraelskim procesie pokojowym. Saeb Erekat, rocznik 1955, brał też udział w negocjowaniu porozumień z Oslo, które dały początek temu procesowi – dziś będącemu w zawieszeniu. Pod koniec czerwca krewny Saeba Erekata został zastrzelony przez żołnierzy izraelskich na kontroli granicznej w Abu Dis po tym, jak jego auto z impetem wjechało w budkę żołnierzy. Rodzina przekonuje, że Ahmad Erekat nie był terrorystą, i że był to nieszczęśliwy wypadek.

To byłby koniec marzeń

SAEB EREKAT:

Mam czworo dzieci i ośmioro wnucząt. Chcę zapewnić im normalne życie, jakie mają ludzie w Polsce.

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET: Izrael zajął się epidemią. Myśli Pan, że Netanjahu zrezygnuje z aneksji?

SAEB EREKAT: Nie. Znam go od 33 lat. To jasne, że zielone światło od Trumpa jest jego największym osiągnięciem. Netanjahu to taki polityk, który jest przekonany, że bez niego kraj nie ma przyszłości. On wierzy w konflikt. Myśli, że silny Izrael potrzebuje konfliktu, by przetrwać. Jego celem jest też i to, by nadszarpnąć starania o powstanie suwerennego państwa palestyńskiego. Jak na razie świetnie mu się to udaje.

AHMAD GHARABLI / AFP / EAST NEWS

Protest przeciw aneksji w pobliżu Jerycha na Zachodnim Brzegu, 27 czerwca 2020 r.

Co Netanjahu teraz zrobi?

Przygotuje plan aneksji na mniejszą skalę. Powie: poszedłem na ustępstwa, ale Palestyńczycy się nie zgodzili! Proszę pamiętać, że natura umowy między Organizacją Wyzwolenia Palestyny i Izraelem osadza się na układzie z Oslo z 1993 r. Tam uzgodniono wzajemne uznanie dążenia do suwerennej państwowości, kwestię Jerozolimy, granic, osiedli, uchodźców, dostępu do wody, a także, że żadna strona nie może podejmować akcji, które będą przeciwne tym celom. A więc sam fakt, że Netanjahu używa pojęcia aneksji, oznacza złamanie tych postanowień przez Izrael.

Aneksja zniszczy ostatecznie palestyńskie marzenie o państwowości?

Bez wątpienia tak. Dlatego od kilku miesięcy nasz prezydent, nasz minister spraw zagranicznych i ja sam nie robimy nic innego, tylko obdzwaniamy ministerstwa w innych krajach. My naprawdę wciąż dajemy szansę temu pokojowi. Wierzymy, że jeśli wiele krajów połączy się w jeden silny głos i powie jasno „nie" aneksji, jeśli zagrożą sankcjami, to Netanjahu jednak się przejmie. Wzywamy więc Unię Europejską do wypracowania wspólnego stanowiska, wzywamy społeczność międzynarodową do uformowania koalicji, która wesprze nas w dążeniu do wznowienia negocjacji pod parasolem międzynarodowym, aby osiągnąć dwupaństwowe rozwiązanie.

Chce Pan się jeszcze dogadywać z Netanjahu?

Jeśli nie skłonimy premiera Izraela do rezygnacji z planów, jeśli on zabierze teraz choćby kawałek naszej ziemi, to nie zobaczy pani Palestyńczyków i Izraelczyków przy jednym stole przez kolejnych sto lat. To będzie absolutny koniec negocjacji. Poza tym, w tej chwili ten konflikt jeszcze nie jest religijny. Judaizm nigdy nie był i nie będzie dla nas zagrożeniem. Ale David Friedman [ambasador USA w Izraelu – red.], Jared Kushner [zięć Trumpa i autor planu – red.] i Netanjahu jednoczą wysiłki, by sprawić, aby ten konflikt nabrał takiego charakteru. Mówią, że Bóg dał tę ziemię Żydom. Ich działania stają się argumentem dla ekstremistów po naszej stronie, którzy widzą to jako konflikt religijny.

Dlaczego to groźne?

Pcha to cały region w stronę ekstremizmu, przemocy i rozlewu krwi. To się musi skończyć, oni muszą zaprzestać tych planów! W jakim świecie żyjemy, że jeśli jakieś silne państwo ma ochotę, może sobie poszerzyć granice, ot tak? Po to wypracowaliśmy prawo międzynarodowe, aby dla wszystkich było jasne, że to niedopuszczalne. Że problemy rozwiązujemy pokojowo, negocjacjami, a nie dyktatem. Bo jak Netanjahu się zachowuje? Jak dyktator właśnie! Ma tysiące czołgów, ma siłę, której my nie mamy, więc świat go traktuje, jakby był ponad prawem! To groźne dla międzynarodowych relacji i prawa.

Fatah, na co dzień skłócony z Hamasem, właśnie połączył siły, by przeciwdziałać aneksji. Będzie następna intifada?

Aneksja to deklaracja wojny przeciw palestyńskiemu istnieniu. Oczywiście, że będziemy się bronić. Siebie i swoich dzieci, i naszych wnuków. Czy on myśli, że będziemy stać karnie w szeregach i czekać na śmierć? Nie. Będziemy walczyć. Samoobrona to nasze prawo. To Izrael wypowiada nam wojnę, nie na odwrót.

Kiedy ostatni raz spotkał się Pan z Amerykanami i Izraelczykami?

W 2017 r. spotkaliśmy się z nimi 37 razy. Ale potem wyskoczyli z przeniesieniem ambasady USA do Jerozolimy, następnie przedstawili tzw. plan stulecia, o którym dowiedzieliśmy się z mediów. Od dawna negocjują w naszej sprawie bez nas. Co ciekawe, Amerykanie w większości są przeciwni tej decyzji. Czy mimo to Trump kiedyś wycofa się z tej myśli? Chciałbym, aby tak było, wzywam go do tego. Ale nie mam złudzeń, że to zrobi.

Ma Pan problemy zdrowotne i jest obecnie w żałobie. Jeszcze ma Pan do tego wszystkiego siłę?

W zeszłym tygodniu straciłem krewnego. Został zastrzelony przez izraelską straż graniczną. Miał 26 lat, jechał na ślub swojej siostry. To zło się dzieje! A my chodzimy na cmentarze, żeby grzebać nasze dzieci. A potem słyszę, jak Mike Pompeo [sekretarz stanu USA – red.] mówi, że idzie za Jezusem. Jezus taki nie był! Jezus był za pokojem, za sprawiedliwością. Ten plan jest diabelski. Wie pani, ja zawsze postrzegałem moją pracę jako ocalanie życia i Palestyńczyków, i Izraelczyków. Mam czworo dzieci i ośmioro wnucząt. Chcę zapewnić im normalne życie, jakie mają ludzie w Polsce. Jak mógłbym się zmęczyć?

Rozmawiała

©℗ KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

Jak się rodzi Nowa Turcja

AGNIESZKA ROSTKOWSKA
ZE STAMBUŁU

Wojskowy zamach stanu, który udaremniono cztery lata temu, stał się nad Bosforem legendą: to na niej ekipa prezydenta Erdoğana buduje zbiorową tożsamość.

„To był największy atak na Turcję od czasów I wojny światowej" – grzmi na pierwszej stronie prorządowy dziennik „Yeni Şafak". Sprzedawca w kiosku przewraca oczami. To jego jedyna odpowiedź na pytanie klienta, czy na pewno wziął ze stojaka tylko jeden egzemplarz. Gazeta jest tak opasła, że zajmuje całą przegródkę, w której zazwyczaj mieszczą się wszystkie sprzedawane w ciągu całego dnia egzemplarze. Same dodatki zajmują 120 stron.

„Sabri Gündüz ucałował swoje śpiące w kołysce dziecko i wybiegł bronić ojczyzny. Zdrajcy otworzyli do niego ogień. Trafili w nogę, w tętnicę. W karetce ratownicy zrobili mu opaskę uciskową z tureckiej flagi. »Tylko ta flaga trzymała mnie przy życiu« – wspomina Gündüz. W szpitalu spędził pięć miesięcy. Przeszedł 46 operacji. Ale nogi nie udało się uratować. »Trudno, żebym był smutny z takiego powodu. Bez nogi da się żyć, bez ojczyzny nie«" – to jedna z historii, którą można przeczytać na łamach „Yeni Şafak".

Oprócz wspomnień bohaterów podobnych do Gündüza gazety publikują przebieg zdarzeń minuta po minucie. A także sylwetki ofiar i zestawienia ich ostatnich słów. Oraz portrety zdrajców i analizy relacji zachodnich mediów, jak czytamy – skandalicznie nierzetelnych.

Tak co roku wyglądają specjalne wydania gazet na rocznicę wojskowego zamachu stanu, do którego doszło w Turcji nocą z 15 na 16 lipca 2016 r. Rocznicę puczu – albo precyzyjniej: rocznicę jego stłumienia – uczyniono już świętem państwowym: to Dzień Demokracji i Jedności Narodowej.

Tamten piątek

Pytania o tę noc sprawiają, że puls przyspiesza, wilgotnieją oczy. Gdy o niej opowiada, Yasinowi drżą dłonie. Huku lecących tuż nad miastem myśliwców F-16 nie zapomni nigdy. Był tak głośny, że szyba w kuchni poszła w drobny mak. Chłopak rzucił się na ziemię i doczołgał za kanapę. Jego przyjaciele za nim.

W noc zamachu stanu na domówce w Ankarze świętowali 30. urodziny Yasina. Imprezę przerwał odgłos przelatujących samolotów, a zaraz potem bombardowań. Kuląc się za kanapą, włączyli telewizor. Nie wierzyli własnym oczom. Rozdzwoniły się telefony, znajomi krzyczeli im, żeby robić zapasy żywności, bo nie wiadomo, co będzie. Mówili, że Stambuł to istne piekło.

W sam środek tego piekła rzuciła się Melek, niewiele młodsza od Yasina. Na wiadomość, że wojsko próbuje obalić rząd, wybiegła z rodziną z domu. Ulicą jechały czołgi. Jej mama i siostra zerwały się do biegu. Chciały się rzucić pod czołgi, zatrzymać swoimi ciałami. Melek ledwo je dogoniła. Złapała za ręce i uczepiła się ich całym ciężarem ciała. Powstrzymała siłą.

W tamtą piątkową noc to Ankara i Stambuł były głównym teatrem działań puczystów, niewielkiej frakcji w tureckiej armii. Wcześniej wojskowi przeprowadzili w Turcji trzy zamachy stanu: w roku 1960, 1971 i 1980, a w 1997 byli o krok od kolejnego. Za każdym razem wierzyli, że wypełniają podstawowy obowiązek tureckiej armii, jakim jest stanie na straży demokracji i świeckości państwa.

Tym razem jednak zamachowcy się przeliczyli. Armia jako całość ich nie poparła, a na ulice wyszli zwolennicy prezydenta Recepa Tayyipa Erdoğana. On sam ich do tego wezwał, przez telefon. Jego apel przekazała rodakom prezenterka telewizji CNN Türk, trzymając na wizji smartfon, z ekranu którego na żywo przemawiał prezydent.

80 milionów serc

Później przyszło kolejne wezwanie. Znane od wieków, śpiewne, przejmujące do głębi. Spłynęło z góry, z minaretów.

AYTUG CAN SENCAR / ANADOLU AGENCY / AFP / EAST NEWS

Obchody trzeciej rocznicy stłumienia puczu. Stambuł, 15 lipca 2019 r.

W całym kraju z meczetów popłynęła *sela*: wezwanie na nabożeństwo pogrzebowe. Ma ono także drugie znaczenie: mobilizuje do walki, wzywa na świętą wojnę.

„250 osób zostało męczennikami za demokrację" – bilans tej jednej nocy wyklejono w wielkim formacie na murze przed stambulskim hotelem Hilton. Po angielsku, bo zatrzymują się w nim głównie obcokrajowcy. Liczba ofiar w rzeczywistości była większa. Ginęli nie tylko cywile. Życie straciło też kilkudziesięciu spiskowców, wśród nich kilku młodych kadetów. Rząd nie podaje ani ich liczby, ani nazwisk, aby nie zostali w jakikolwiek sposób upamiętnieni. Pochowano ich na nieoznakowanym „cmentarzu dla zdrajców", który powstał na obrzeżach Stambułu.

Dalej na murze wywieszono zdjęcia zniszczeń, których dokonały samoloty puczystów: obrócone w ruinę siedziby sił specjalnych, komendy policji i ośrodka agencji satelitarnej, dymiący pałac prezydencki, wyłomy w murach parlamentu. Umieszczono też reakcję Turków na pucz, tłumy dzierżące tureckie flagi. „Zjednoczyło się 80 milionów serc" – napisano. To tyle, ile jest mieszkańców Turcji. Nie szkodzi, że w trakcie oraz bezpośrednio po puczu większość obywateli została w domach. Tak ma to zostać zapamiętane.

Pamięć przechowywana jest też w gablotach. W Ankarze za szybami pozamykano leje po bombach. Wyrwa w asfalcie przed pałacem prezydenckim urosła dzięki temu do rangi eksponatu, otoczonego dodatkowo barierką. „Zdrajcy, zdrajcy, zdrajcy" – słucham, jak powtarzają przed nią kilkuletnie dzieci, jakby recytowały wyliczankę.

W stambulskiej dzielnicy Eyüp gigantyczną gablotę wystawiono wprost na chodniku. Pośrodku zmiażdżony samochód. Jeden z tych, po których przejechał czołg. A w muzeum wybudowanym przy wjeździe na most Bosforski – po puczu przemianowany na most Męczenników – zwiedzający zobaczą smartfon prezenterki CNN Türk, z ekranu którego Erdoğan wzywał Turków do wyjścia na ulice. A także zakrwawione telefony tych, którzy wtedy wyszli i już nie wrócili.

Nieśmiertelność dla bohatera

W tym roku, wyjątkowo, za sprawą epidemii koronawirusa, rozmach zaplanowanych obchodów jest mniejszy. Można jednak przypuszczać, że w kolejnych latach świętowanie 15 lipca na Taksimie, centralnym placu Stambułu, będzie trwać cały dzień. Tak było poprzednio.

Ci, którzy brali w nim udział, przychodzili należycie przygotowani. Jak ten staruszek, który na plecach miał pelerynę z tureckiej flagi. Z flag miał też spódnicę. Wsparty o kulach, cierpliwie czekał na swoją kolej. Był następny, ale trochę to trwało, zanim 40-letni Yusuf skończył swój wpis. Kaligrafował literkę po literce, powoli zapisując nimi całą stronę. Kolejka za nim rosła, ale nikt się nie niecierpliwił. Wpis do księgi pamiątkowej trzeba przecież złożyć z należytą starannością. Księgę umieszczono na specjalnym podwyższeniu. Za nią, na wielkim billboardzie, widniały nazwiska poległych za ojczyznę.

– Jestem z Niğde – Yusuf z dumą przedstawił mi się miejscem urodzenia. Dopiero później podał imię i wyjaśnił, że od ponad 20 lat mieszka w Stambule. – Niğde to teraz niezwykle ważne dla naszego kraju miejsce – dodał z powagą.

To jasne. Przecież stamtąd pochodził Ömer Halisdemir. Postawny i wysoki, jak na podoficera przystało, Halisdemir do zdjęć pozował najczęściej w bordowym wojskowym berecie. Czasem uśmiechnięty, częściej poważny – wtedy jego twarz nabierała surowego, stanowczego wyrazu. W armii służył przez 17 lat, na koniec w elitarnym oddziale sił specjalnych w Ankarze. Tym, którego siedzibę chcieli zająć puczyści.

Halisdemir otrzymał rozkaz, aby ich zatrzymać. Trzykrotnie postrzelił jednego z dowódców spiskowców, generała Semiha Terziego. Śmiertelnie, przez co zamachowcom posypała się struktura dowodzenia. W ten sposób w wieku 43 lat został narodowym bohaterem. Od puczystów dostał za to dwanaście kul w plecy. Zabiła go dopiero trzynasta. Odbierając mu życie, jednocześnie dała mu nieśmiertelność.

W rocznicę puczu Halisdemir wita przybyłych na Taksim. Wyprostowany, w mundurze i z karabinem, pozwala się otaczać i dotykać. Z jego woskową figurą naturalnych rozmiarów zdjęcie chce mieć każdy, ledwo można się dopchać. Niektórzy oprócz zdjęcia zabiorą też do domu jedną z jego podobizn. W ozdobnej ramie, w formie breloczka, talerza bądź magnesu na lodówkę. Na straganach – rozstawionych na Taksimie z okazji dorocznego święta dzielnicy, Festiwalu Beyoğlu – jest ich pełno, dorzucono je do oferty pamiątek. Prócz portretów najlepiej schodzą czołgi: wytapiane z czerwonego szkła jako wisiorki, a nawet jako całe zestawy z ołowiu, w których żołnierzyków zastąpiono cywilami.

Pośrodku wystawa, złożona ze zdjęć (tu ranni, tam wybuch radości z pokonania puczystów) oraz z obrazów: Halisdemir kubistyczny, Halisdemir realistyczny, Halisdemir symboliczny, przeciwstawiany wampirzej karykaturze Fethullaha Gülena – wroga, który według władz Turcji stał za tamtą próbą puczu.

Czystka dla wroga

Postać Gülena mogłaby zrodzić się w umyśle pisarza bądź reżysera owładniętego manią spiskowej teorii dziejów. Ale że rzeczywistość jest ciekawsza niż fikcja, to zrodziła go turecka ziemia. ↦

↦ To 79-letni religijny myśliciel, który dorobił się własnych mediów, instytucji finansowych oraz ogólnoświatowej sieci szkół i uniwersytetów, a w samej Turcji wpływów, o jakich większość polityków może pomarzyć.

Nad Bosforem wierzy się, że jego zwolennicy zinfiltrowali kluczowe sektory państwa, takie jak armia i wymiar sprawiedliwości. „Musicie poruszać się w arteriach systemu niezauważeni, do chwili, gdy uzyskacie pełną władzę w kraju, musicie poczekać, aż czas się dopełni, a warunki dojrzeją" – to fragment przemówienia, które Gülen miał wygłosić do zwolenników tuż przed wyjazdem do USA, gdzie przebywa od 1999 r.

Turcy wierzą, że członkowie jego ruchu stworzyli państwo w państwie. Członkostwo jest nieformalne, ale i tak do niedawna miało być gwarancją nietykalności. „Każdy, kto odważy się ich dotknąć, spłonie" – pisał dziennikarz śledczy Ahmet Şık.

Erdoğan, choć wystąpił przeciwko Gülenowi, nie spłonął. A Gülen obserwuje dziś upadek swojego imperium.

Już następnego dnia po puczu rozpoczęto czystki – w armii, wymiarze sprawiedliwości, szkolnictwie, mediach. Na celowniku znaleźli się najpierw spiskowcy i ich sprzymierzeńcy, a potem sieć zarzucano coraz szerzej i głębiej. W jej drobne oczka łapali się przede wszystkim biurokraci związani z ruchem Gülena, a później Kurdowie, lewicowcy i inni przeciwnicy Erdoğana. Stąd też szybko pojawiły się sugestie, że próba zamachu stanu została ukartowana przez samego prezydenta. Oscar za reżyserię i rolę pierwszoplanową – żartowali Turcy na ulicach.

Jednak kiedy Erdoğan cztery dni później wprowadził stan wyjątkowy, mało komu było już do śmiechu. Przedłużany co trzy miesiące na kolejny okres, obowiązywał on przez dwa lata. Zmienił oblicze Turcji tak gruntownie, że w dniu jego zniesienia krytycy prezydenta jedynie wzdychali z rezygnacją. Kończy się tymczasowy stan wyjątkowy, zaczyna permanentny – mówili.

On jest sułtanem!

Co roku 15 lipca tureckie flagi przykrywają cały Stambuł. Są na minaretach budowanego przy Taksimie meczetu, na fasadach budynków, przystankach, sklepowych witrynach, a nawet na kasownikach i bramkach do środków komunikacji, tego dnia bezpłatnej.

Dotychczas główne świętowanie zaczynało się o godzinie 21 na moście Męczenników. Przez Üsküdar, dzielnicę po azjatyckiej stronie, skąd najbliżej do mostu, już wcześniej ciągnęły tłumy. Rodziny z dziećmi, grupki przyjaciół, pary. Niesiono flagi, podobizny Erdoğana, wznoszono okrzyki: „O sultan! O sultan!" („On jest sułtanem!"). Określenie, po które zazwyczaj sięgają krytycy prezydenta, tym razem było wyrazem poparcia i dumy. Jeszcze głośniej wybrzmiewało „Ya Allah, bismillah, Allahu akbar", Bóg jest wielki. Słowa te wykrzykiwała grupa młodych mężczyzn, maszerując szybkim krokiem w zwartym szyku. Chwilę później intonowała je grupka rozbawionych dziewczyn w chustach. Wielki Bóg co rusz powracał i niósł się po oficjalnie świeckiej Turcji.

Potem na rozstawionej na moście scenie rozpoczynało się wyczytywanie imion ofiar tamtej nocy. Ich podobizny wyświetlano na ekranach. Po każdym imieniu zgromadzeni odpowiadali: „Burada!" (Obecny!). Tłum gęstniał, parł do przodu, byle bliżej sceny, skąd zaraz miał przemawiać Erdoğan. Ścisk był taki, że trudno o oddech. Jakieś dziecko dostawało histerii, podawano je nad głowami w kierunku wozu strażackiego. Ktoś krzyczał o doktora.

Erdoğan w końcu przemawiał. O narodzie, który obronił Turcję, o zdrajcach, którzy zostaną ukarani. Zbici w masę ludzie powoli i uparcie przesuwali się do przodu, niemal miażdżąc sobie wzajemnie żebra. Ale takiej nocy nie czuło się bólu.

Nowa Turcja

Dobiegała północ. Jeden z mężczyzn, cały owinięty w wielką flagę, wracał do domu na dachu pędzącego dolmuşa, tutejszego minibusa, rodzaju dzielonej taksówki. Trzymał ręce w górze i krzyczał jak dziecko na kolejce górskiej.

Inni nie spieszyli się z powrotem. Całe rodziny gramoliły się na wozy opancerzone, ustawione specjalnie na rocznicę, aby zrobić sobie na nich zdjęcie. Kupowano T-shirty i opaski na głowę z półksiężycem i gwiazdą, po zakończeniu uroczystości mocno przecenione. Niektórzy rozsiadali się na trawnikach, by dojeść zapewnione przez władze kanapki. Ktoś rozkładał gazetę jak piknikowy koc. W świetle latarni wielki tabloidowy nagłówek zdradzał treść artykułu: historie rodzin, które nazwały swoich synów na cześć Ömera Halisdemira.

Emocje miały opaść dopiero następnego dnia. Jednak nie wygasnąć zupełnie. Pucz będzie wracał przy każdej dyskusji o Nowej Turcji – nazwanej, lecz niezdefiniowanej nowej rzeczywistości, która odmieniła życie Turków, zanim zdążyli się zorientować.

© AGNIESZKA ROSTKOWSKA

Autorka przygotowuje reporterską książkę o Nowej Turcji pt. „Wojownicy o szklanych oczach", która ukaże się jesienią nakładem Wydawnictwa Poznańskiego.

Pomnik Ömera Halisdemira – podoficera poległego w walce z puczystami – w jego rodzinnej wsi Çukurkuyu, w regionie Niğde, 2018 r.

AGNIESZKA ROSTKOWSKA

REUTERS / FORUM

JURAJ PIVOVARČI / CC BY-SA 3.0

Od lewej: piłkarze Artmedii Balázs Borbély i Peter Burak świętują zwycięstwo 5:0 nad Celtic Glasgow w Lidze Mistrzów, 27 lipca 2005 r. Pozostałości po macierzystym stadionie Artmedii, 2012 r.

Taki miły klubik

DARIUSZ KAŁAN Z BRATYSŁAWY

Prowincjonalna Artmedia Petržalka na początku XXI wieku zadziwiła piłkarską Europę. W jej niespodziewanych sukcesach – i równie niespodziewanym upadku – odbijają się losy samej Słowacji.

Piętnaście lat temu przy Starym Moście, który łączy centrum Bratysławy z Petržalką – jedną z najgęściej zaludnionych dzielnic mieszkaniowych w Europie – stał sobie stadion piłkarski. Grała na nim Artmedia: mały klub, który na początku stulecia wzleciał tak wysoko – i upadł tak boleśnie – jak żaden przed nim.

Mecz najgenialniejszy

Kiedy pytam troje przechodniów o ten stadion, wszyscy wskazują właściwą drogę, choć obecnie to pole zarośnięte chwastami. Do dziś pamięta się też, że w sezonie 2005-06 Artmedia jako druga drużyna ze Słowacji awansowała do Ligi Mistrzów – i jako pierwsza wygrała tam mecz. Że ograła europejskie marki: FC Porto, Partizana Belgrad i Celtic Glasgow. Tę ostatnią drużynę upokorzyła u siebie wynikiem 5:0. Pamięta się o tym, choć Artmedia już nie istnieje, a jej następczyni FC Petržalka błąka się po drugiej lidze.

Gdy w lipcu 2005 r. Artmedia gromiła Celtic, Samuel Marec – dziennikarz i autor książki „Futbol: Prawdziwa historia" – pracował na zmywaku w Glasgow. – W moim pokoju był telewizor, ale włączyłem go dopiero, gdy wygrywaliśmy 1:0. Bo Celtic wydawał się nie do przeskoczenia, dwa lata wcześniej dotarł do finału Pucharu UEFA. To był najgenialniejszy mecz w historii naszej piłki. A to, co się działo później, nie miało żadnego sensu – mówi mi Marec drżącym głosem.

Sukcesy Artmedii (w latach 2003-08 zdobyła także dwa mistrzostwa, trzy wicemistrzostwa i dwa Puchary Słowacji) nie miały sensu o tyle, że była klubem bez wielkiej historii. Silnie związanym z Petržalką, na którą mieszkańcy innych dzielnic Bratysławy patrzą z przymrużeniem oka jako na zalaną betonem gigantyczną sypialnię. Nie to co firmy z długą i bogatą tradycją oraz wiernymi kibicami, jak sąsiedzi zza miedzy Slovan i Inter czy Spartak Trnawa.

Marec uważa, że to właśnie prowincjonalność Artmedii była jej największym atutem. Swojacy, którzy porwali się z motyką na słońce. To działało na wyobraźnię fanów, zmęczonych mafijnymi powiązaniami działaczy i radykałami na trybunach. – Oglądałem kiedyś mecz Artmedii w pubie w Bańskiej Bystrzycy. Czyste szaleństwo – wspomina Marec. – Tak jak w hokeju, gdy w czasie mistrzostw świata staje życie w całym kraju i wszyscy wspierają naszych. W piłce nożnej to się nie zdarza. Na prowincji kluby z Bratysławy nie cieszą się wielkim szacunkiem.

– Było w Artmedii coś czystego – zamyśla się Marec. – Taki miły rodzinny klubik, który o 10 rano grał mecze na tym swoim malutkim stadionie. A potem się szło na piwo i obiad, jak na wsiach.

Grupa dobrych chłopaków

Magnesem byli piłkarze. Z robotniczych albo chłopskich rodzin. Żadnych gwiazdorów. Nikt z tego zespołu nie zrobił zresztą wielkiej kariery. Kapitan i mózg tamtej ekipy, Ján Kozák junior, nie poradził sobie w Anglii. Inny lider, Balázs Borbély, przepadł w Niemczech. Obrońca Pavol Staňo przez prawie 10 lat grał w Polsce. Największy zaś talent, napastnik Juraj Halenár, który przeszedł do historii ↦

strzelając trzy gole Celtikowi, dwa dni po swoich 35. urodzinach odebrał sobie życie w Parku Vrakuńskim. Zadłużony i uzależniony od alkoholu i automatów. Znaleziono go z ranami kłutymi na nadgarstku i klatce piersiowej. Obok leżał nóż kuchenny.

– Byliśmy jak rodzina – mówi mi Peter Petráš, były obrońca Artmedii. Dziś pracuje w sztabie szkoleniowym Tatrana Preszów. – Cieszyliśmy się z każdego treningu i meczu.

Jego zdaniem w sukcesach Artmedii nie trzeba doszukiwać się żadnej tajemnicy. – Po prostu w odpowiednim momencie zebrała się grupa dobrych chłopaków i trenerów, którzy umieli nami pokierować – przekonuje.

Trenerów, czyli byłych reprezentantów Czechosłowacji: Vladimíra Weissa i jego asystenta Michala Hippa. – Weiss był twardy, ale umiał motywować zawodników. Stosował metodę kija i marchewki – opowiada mi Pavol Spál, dziennikarz działu sportowego dziennika „Sme". Niedługo potem duet Weiss-Hipp doprowadził do największego sukcesu reprezentację Słowacji. Z nimi u steru awansowała ona do Mistrzostw Świata 2010, gdzie po sensacyjnej wygranej z obrońcami tytułu Włochami (3:2) prześlizgnęła się do drugiej rundy.

Futbol w cieniu przełomu

Ale Artmedii pomogły też problemy bardziej znanych rywali.

Koniec komunizmu oznaczał odcięcie kurka z pieniędzmi od państwowych firm kolosów, które wcześniej finansowały kluby – i w efekcie upadek lub stagnację wielu marek znanych w Europie. W końcu to Slovan w 1969 r. zdobył Puchar Zdobywców Pucharów (po pokonaniu FC Barcelony 3:2) i regularnie dostarczał zawodników silnej w latach 70. reprezentacji Czechosłowacji. Spartak Trnawa na przełomie lat 60. i 70. XX w. dwa razy docierał do ćwierćfinału i raz do półfinału ówczesnego odpowiednika Ligi Mistrzów. Inter Bratysława zaś w roku 1963 i 1964 wygrał Puchar Intertoto, jedną z pośledniejszych rozgrywek na kontynencie.

Po 1989 r. majątek piłkarski został rozdzielony tak jak inne dobra upaństwowione przez komunistów, czyli za tanie kredyty albo symboliczną koronę. Oficjalnie chodziło o to, żeby trafił w rodzime ręce, a nie do międzynarodowych korporacji. W praktyce najsmaczniejsze kąski zabrali przyboczni Vladimíra Mečiara – pierwszego premiera niepodległej od 1993 r. Słowacji i charyzmatycznego trybuna, który zresztą przez pewien czas sprawował funkcję ministra prywatyzacji i szefa Funduszu Majątku Narodowego.

Było w Artmedii coś czystego, rodzinnego. Rano grali na swoim malutkim stadionie, a potem szli na wspólny obiad, jak na wsi.

W taki sposób na znaczeniu traciły kluby święcące triumfy za komunizmu, a zyskały przykładowo FC Koszyce, który to klub przygarnął Alexander Rezeš, minister transportu w rządzie Mečiara. Rezeš to klasyczny przykład oligarchy wyhodowanego przez Mečiara: ten inżynier, całe zawodowe życie związany z koszycką hutą stali, dzięki koneksjom politycznym trafił do jej rady nadzorczej – i z dnia na dzień stał się milionerem.

Mecenas i kat

Artmedia na szerokie wody wypłynęła już po upadku Mečiara. Ale także ona miała swojego mecenasa: Ivana Kmotríka. Obecnie to jedna z najpotężniejszych osób w słowackim futbolu – i nie tylko tam. Z majątkiem szacowanym na 160 mln euro zamyka listę „Forbesa" 20 najbogatszych ludzi na Słowacji.

Jego przygoda z Artmedią, której podobno kibicował od dziecka, zaczęła się w 1993 r. Dwa lata później 36-letni Kmotrík wykupił 13 proc. akcji firmy Grafobal (producenta opakowań) i przekształcił ją w czołowe przedsiębiorstwo poligraficzne w tej części Europy. Działał też w branżach zdrowotnej, rolniczej, żywnościowej, nieruchomości, lotniczej, medialnej i energetycznej.

Na Artmedii nigdy nie oszczędzał. Wykupywał najlepszych piłkarzy i zapewniał im warunki lepsze niż gdziekolwiek indziej. Miał dobrą rękę do ludzi. Era sukcesów w lidze i Europie zaczęła się od sprowadzenia trenera Weissa i czeskiego menedżera Petra Kašpara. – Czasem bardzo surowy, czasem brat łata. Osobiście wspominam go jako skutecznego motywatora – opowiada były piłkarz Petráš. – Jednak wielka szkoda, że skończyło się tak, jak się skończyło.

Bo Kmotrík był zbawcą Artmedii – ale także jej katem. W lipcu 2008 r., czyli ponad dwa lata po legendarnej Lidze Mistrzów, wykupił pakiet większościowy Slovana Bratysława. Dla Artmedii oznaczało to początek wegetacji. Samuel Marec nie gryzie się w język. – On zniszczył i upokorzył Artmedię. Wszystkich graczy przeniósł do Slovana, czyli jej największego rywala – mówi. – Niewychowany, wulgarny, głupi człowiek. Dziennikarze sportowi się go boją. Dlatego tak mało się pisze o jego skandalach.

Petr Kašpar, który razem z Kmotríkiem budował Artmedię i dziś współpracuje z nim w Slovanie, ocenia, że jego rola w słowackim futbolu jest „jednoznacznie pozytywna". Odejście z Petržalki tłumaczy ambicją właściciela. – Co mogliśmy zrobić w Artmedii, zrobiliśmy – przekonuje dziś. – Żeby dać dobre porównanie: w Artmedii był trener, ja, dyrektor generalny i księgowa. W Slovanie na klub pracuje armia ludzi. Mamy stadion z prawdziwego zdarzenia. To dwa różne światy.

Takich już nie będzie

Właśnie w kontekście nowego stadionu przez media przewija się nazwisko Kmotríka.

Do niedawna Słowacja była jedynym krajem z Grupy Wyszehradzkiej bez reprezentacyjnego stadionu w stolicy – kadra grała w Trnawie, oddalonej od Bratysławy o niecałe 50 kilometrów. Kmotrík postanowił upiec dwie pieczenie na jednym ogniu: w dzielnicy Tehelné Pole wybudował dla Slovana nowoczesny obiekt z takim zamiarem, że będzie z niego korzystała także reprezentacja.

Ale od początku towarzyszyły temu kontrowersje. Umowa między Kmotríkiem a ministerstwem edukacji z 2013 r. mówi, że w przypadku chęci odsprzedania stadionu skarb państwa, który wspomógł budowę dotacją w wysokości 27,2 mln euro, ma prawo do pierwokupu za ok. 75 mln euro, czyli szacowaną cenę budowy. Tyle że ostatecznie kosztowała ona łącznie ponad 100 mln euro (w skład kompleksu wchodzą też centrum handlowe, garaże i biura). Tyle właśnie Kmotrík domaga się od państwa.

Przez lata żył dobrze z partią Kierunek-Socjalna Demokracja (Smer-SD), która

rządziła krajem łącznie przez dwanaście lat, aż do marca tego roku. Na mecze Slovana przychodzili ówczesny premier Robert Fico i prezydent Ivan Gašparovič. Telewizja Kmotríka TA3 była oskarżana o wspieranie Ficy w wyborach prezydenckich w 2014 r. Jedną z ostatnich decyzji rządu Smeru była właśnie zgoda na odkupienie stadionu po zawyżonej cenie. Jednak po zmianie władzy i pojawieniu się koronawirusa temat został zamrożony. Obie strony uznały, że mają inne priorytety.

– Kmotrík to słowacki Roman Abramowicz, ale w mniejszym wydaniu – komentuje Pavol Spál, nawiązując do rosyjskiego oligarchy i właściciela Chelsea FC. – Jest bardzo wpływowy, chce żyć dobrze ze wszystkimi. Jak każdy biznesmen.

Kmotrík zabiega też o inny dyskusyjny projekt: 30-piętrowy gmach Green Park w miejscu dawnego stadionu Artmedii. Niedaleko Parku Janka Kráľa tuż przy Dunaju, czyli w jednej z najlepszych lokalizacji Bratysławy. Budowie sprzeciwiają się stołeczny ratusz i burmistrz Petržalki, ale w zeszłym roku zgodę wydał starosta powiatowy, który podlega ministerstwu spraw wewnętrznych. Nowy rząd, a konkretnie minister transportu i budownictwa, w połowie czerwca tę zgodę cofnął.

Zdaniem Marca jest coś symbolicznego w tym, że na miejscu po stadionie Artmedii Kmotrík chciał stawiać nowoczesny kompleks biurowy. – Takich klubów jak Artmedia już chyba nie będzie – mówi. – W lidze karty rozdaje Slovan. Finansowo i infrastrukturalnie znajduje się on na innej planecie niż rywale, ale nie może sobie poradzić z faszyzującymi fanatykami na trybunach. Jego meczom daleko do rodzinnej atmosfery Artmedii.

– W naszym futbolu nadal funkcjonuje model z lat 90. XX stulecia, chociaż jest on czystszy, mniej polityczny – mówi Marec. – Niemal każdy klub ma swojego mecenasa. Tyle że są to zwykle lokalni przedsiębiorcy, a nie oligarchowie związani z władzą.

W tym sensie 61-letni dziś Kmotrík jest reliktem tamtej epoki.

Reliktem, który radzi sobie nadspodziewanie dobrze. © DARIUSZ KAŁAN

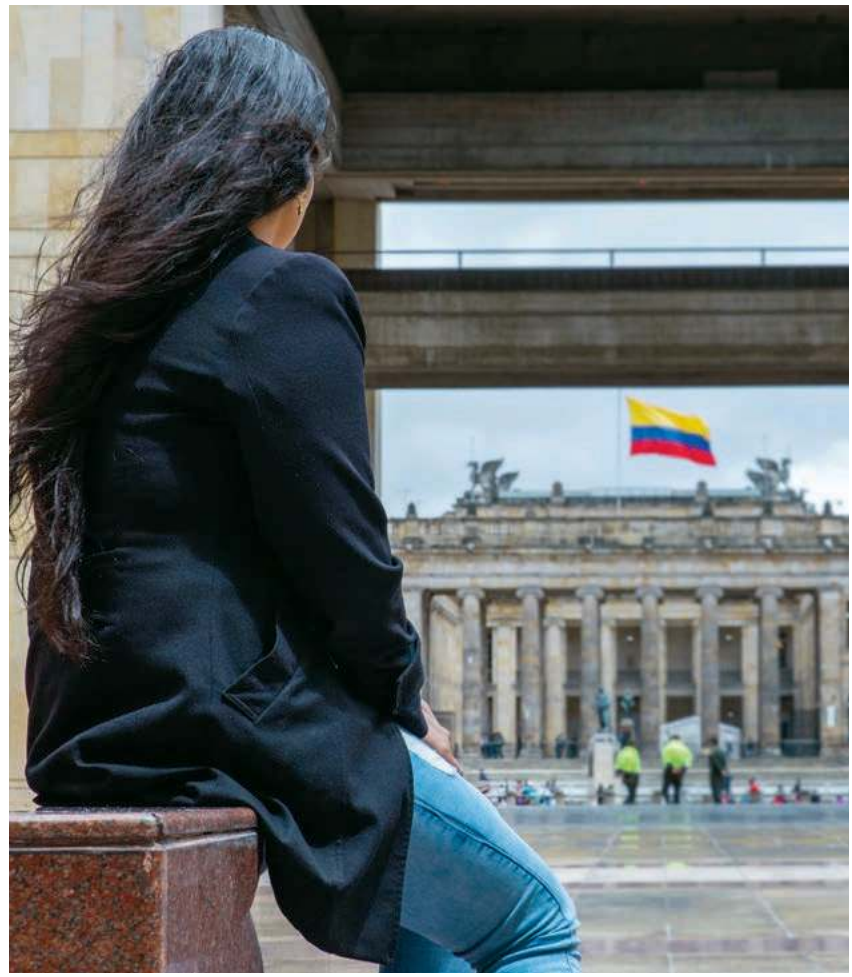

LAURA MARTÍNEZ VALERO / WOMEN'S LINK WORLDWIDE

Helena pod Pałacem Sprawiedliwości, siedzibą kolumbijskiego Sądu Najwyższego. Bogota, 2018 r.

Kobiety guerilli

EWA KLEWAR Z MEDELLÍN (KOLUMBIA)

Podczas wojny domowej w Kolumbii w partyzanckich organizacjach mogło dochodzić nawet do tysiąca przymusowych aborcji rocznie. Ich ofiary zdecydowały się mówić dopiero niedawno.

Przemoc seksualna to prawdopodobnie najbardziej przemilczany rodzaj przestępstw w historii kolumbijskiego konfliktu" – pisał pod koniec ubiegłego roku kolumbijski dziennik „El Espectador". Informował, że wyroki w takich sprawach zapadały jedynie dziesięć razy, choć wojna domowa ciągnęła się tutaj przez ponad pół wieku.

Ostatnie miesiące pozwalają mieć nadzieję na zmianę. Prawdy i zadośćuczynienia domagają się byłe członkinie partyzanckich organizacji, w tym FARC – Rewolucyjnych Sił Zbrojnych Kolumbii, najsłynniejszej tutaj lewicowej guerilli, która w 2016 r., po 52 latach walki, podpisała z rządem traktat pokojowy.

Pielęgniarz

Héctor Albeidis Arboleda, pseudonim „Enfermero" (po hiszpańsku: „Pielęgniarz"), nie krył oburzenia. „Jestem ↦

↦ ofiarą spisku. Nie jestem pielęgniarzem ani lekarzem, nigdy nie byłem członkiem FARC, ELN ani ERG. (...) Nie miałem prawdziwej obrony. Moja prawniczka nie dopełniła obowiązków i pozbawiła mnie tej możliwości" – mówił mediom po tym, jak w maju sąd skazał go na 40 lat więzienia.

Według wymiaru sprawiedliwości i czterdziestu kobiet, które zdecydowały się złożyć zeznania, w latach 1997-2004 Arboleda dokonał setek przymusowych aborcji na kobietach, które służyły w różnych organizacjach partyzanckich: FARC, ELN i ERG. Wiele z jego ofiar było niepełnoletnich. Część należała do mniejszości: rdzennych grup bądź społeczności afrokolumbijskiej.

Z zeznań kobiet, które miały do czynienia z Arboledą. Dziewczynę o pseudonimie „Chiqui" zmuszono do aborcji trzykrotnie (trzecia była najbardziej traumatyczna, w piątym miesiącu ciąży). Inna, pseudonim „Xiomara", w ciążę zaszła w wieku 13 lat. Zeznała, że nie wiedziała wtedy nawet, co to oznacza. Arboleda miał ją poinformować, że nie może urodzić, i uśpić do zabiegu. Kolejna, pseudonim „Margarita", na przymusowy zabieg musiała dotrzeć pieszo, zajęło jej to dwa dni. Pamięta kilka minut bólu i wiadro krwi. Anonimowa ofiara – mając 12 lat, została zmuszona do relacji seksualnych z dowódcą oddziału, który później wysłał ją do „Pielęgniarza". Prokuraturze udało się przekonać sąd, że praktyki Arboledy były torturą, stosowaną systematycznie jako kara za zajście w ciążę w szeregach guerilli.

Do zadań Arboledy należało też szkolenie partyzantów w zakresie pierwszej pomocy i farmakologicznego przerywania ciąży. Na co dzień mieszkał w Pereirze, mieście na wschód od Bogoty, gdzie faktycznie studiował pielęgniarstwo. Do obozów guerilli wzywany był w razie potrzeby.

Helena

Symboliczna dla krótkiej i wciąż świeżej historii walki o sprawiedliwość dla kobiet, które w szeregach grup partyzanckich stały się ofiarami przemocy seksualnej, może być sprawa Heleny. Jej zeznania były częścią pierwszego w Kolumbii raportu o łamaniu praw kobiet w FARC. Międzynarodowa organizacja Women's Link Worldwide przedstawiła ten dokument jesienią 2019 r. przed Specjalną Jurysdykcją na rzecz Pokoju (powołana na mocy porozumienia rządu i FARC, instytucja ta ma m.in. zadośćuczynić ofiarom wojny domowej).

> Na opowiedzenie swojej historii Helena czekała 10 lat. Tyle czasu zajęło jej przełamanie strachu, wstydu i poczucia winy. **Jest szansa, że jej historia doda odwagi innym.**

Helena miała zaledwie 14 lat, gdy siłą wcielono ją do partyzantki. „Powiedziano nam, że musimy być ostrożne, tam nie wolno było mieć dzieci. Dawano nam zastrzyki antykoncepcyjne. Jeśli któraś zaszła w ciążę, musiała poddać się aborcji i publicznie wyrazić samokrytykę. To był rozkaz" – opowiedziała dziennikowi „El Espectador". Według jej relacji kobiety, które nie chciały poddać się zabiegowi, były rozstrzeliwane.

Helena nie rozumiała, jak działa antykoncepcja. Rozumiała jednak, że nie można zadawać pytań. Mając 19 lat, zaszła w ciążę. Znała zasady, ale miała nadzieję, że w jej przypadku będzie inaczej. Z upływem miesięcy coraz bardziej wierzyła, że dowódcy zrobią wyjątek i pozwolą jej urodzić. Gdy zdecydowano o aborcji, na środki farmakologiczne było za późno. Helenę poddano zabiegowi cesarskiego cięcia.

Po 11 latach od tych wydarzeń, w grudniu 2019 r., Sąd Konstytucyjny uznał Helenę za ofiarę konfliktu zbrojnego, siłą wcieloną do partyzantki, za ofiarę gwałtu, poddaną terapii antykoncepcyjnej bez jej zgody, oraz za ofiarę przymusowej aborcji i wysiedlenia. Wyrok ten ma duże znaczenie również dlatego, gdyż podważył wcześniejszą decyzję Urzędu ds. Wsparcia i Zintegrowanej Reparacji dla Ofiar: odmówił on włączenia Heleny do rejestru ofiar, argumentując, że nie może nią być członkini nielegalnej grupy (tym samym Helenie odmówiono dostępu do oferowanego przez państwo wsparcia psychologicznego i opieki medycznej).

Na opowiedzenie swojej historii kobieta czekała 10 lat. Tyle czasu zajęło jej przełamanie strachu, wstydu i poczucia winy. Istnieje szansa, że jej historia doda odwagi innym. Media podają, że w czasie wojny domowej w partyzanckich organizacjach mogło dochodzić nawet do tysiąca przymusowych aborcji rocznie. Dawni dowódcy FARC twierdzą natomiast, że aborcje wykonywano jedynie za zgodą kobiet.

Szarości

Uzasadniając wyrok, Sąd Konstytucyjny napisał: „Obowiązkiem państwa jest zagwarantowanie opieki i specjalistycznego wsparcia dla kobiet, dziewcząt, nastolatek i starszych kobiet, ofiar przemocy seksualnej ze strony uzbrojonych podmiotów. Oznacza to obowiązek udzielenia ofiarom natychmiastowej, zintegrowanej, specjalistycznej pomocy uwzględniającej ich sytuację, w czasie potrzebnym dla przezwyciężenia fizycznych i psychicznych skutków będących efektem agresji, jakiej doświadczyły".

Zaangażowane w sprawę organizacje pozarządowe uważają to za precedens. – To niezwykle ważny wyrok – mówi mi Juliana Laguna Trujillo, prawniczka z Women's Link Worldwide. – Sąd przyznał, że przymusowe aborcje i terapia antykoncepcyjna były formą przemocy ze względu na płeć. Otwiera to drogę do uznania przemocy mającej miejsce wewnątrz nielegalnych grup zbrojnych za zbrodnię wojenną. Uznano, że kobiety i dziewczęta, które jej doświadczyły, mają prawo do sprawiedliwości i zadośćuczynienia.

Tym samym sąd uznał, że również osoby należące do partyzantki, mającej na swym koncie liczne zbrodnie, mogą być uznane za ofiary konfliktu. – Temat jednoczesnej roli ofiary i oprawcy rodzi wiele napięć – przyznaje Juliana Laguna Trujillo. – Uważamy jednak, że gdy autonomia reprodukcyjna kobiet jest naruszana, państwo musi zareagować.

– To prawda, że kobiety będące członkiniami guerilli miały aktywną rolę w tym konflikcie – prawniczka uprzedza kolejne pytanie. – Jednak to, że były bojowniczkami, nie pozbawia ich uniwersalnych praw reprodukcyjnych. Mogą być ofiarami i jednocześnie odpowiadać

przed wymiarem sprawiedliwości za inne czyny. Tu nie chodzi o rozróżnienie na czarne i białe, między nimi jest wiele szarości.

Trujillo zwraca uwagę na jeszcze jeden aspekt decyzji sądu: przypomniał on opinii publicznej, że czas rozliczeń wymaga wyjścia poza uproszczone rozróżnienie na dobrych i złych. Zmusił do dostrzeżenia, że oprawca może też być ofiarą. A także, że aby zakończyć konflikt, trzeba wsłuchać się w setki indywidualnych historii.

Motywacje

Szacuje się, że kobiety stanowiły około 30-40 proc. FARC. Jak trafiały do partyzantki? Literatura badająca kolumbijski konflikt wymienia kilka powodów: chęć zemsty na innej grupie zbrojnej, nadzieję na poprawę sytuacji ekonomicznej, trudną sytuację w domu rodzinnym. Wyłania się z tego obraz guerilli jako szansy na ucieczkę, na lepsze życie. Niewątpliwie jest on do pewnego stopnia trafny – rekrutacja ludzi z trudnych środowisk to taktyka, jaką zbrojne grupy w Kolumbii stosują do dziś. Ale nie jest to obraz kompletny.

Dla jakiejś części kobiet decyzja o wstąpieniu do guerilli była powodowana pragnieniem udziału w rewolucji. Alfredo Molano, socjolog i reporter dokumentujący historię tego konfliktu, w swych książkach często oddawał głos kobietom. Była wśród nich Melisa: od młodości zaangażowana w ruchy społeczne, w organizacjach studenckich z równym zapałem potępiała wykładowców, co „jankeski imperializm". Chciała być częścią dziejącej się na jej oczach historii. Opuszczając dom, by dołączyć do FARC, zostawiła matce pożegnalny list, w którym pisała: „Być członkiem rewolucji to najwyższa rzecz, do jakiej człowiek może aspirować".

Wśród tysięcy historii bojowniczek guerilli są też i takie, jak ta Heleny. To opowieści o dziewczętach wcielanych siłą. Pochodzących z ubogich rodzin i mieszkających w regionach, gdzie instytucje państwa są niemal nieobecne. Tam nie ma możliwości szukania pomocy. Według szacunków Wysokiego Komisarza ds. Pokoju w Kolumbii w ciągu ostatnich 18 lat ponad 14 tys. nieletnich wcielono przymusowo do nielegalnych grup zbrojnych.

Ryzyko

Juliana Laguna Trujillo ma nadzieję, że kobiety guerilli doczekają się sprawiedliwości. Gdy pięć lat temu zaczynała pracę nad tym tematem, dla większości opinii publicznej był on niemal nieznany. Teraz jest inaczej, dyskusja dotarła do mediów, zapadają wyroki. – Naszym celem jest uzyskanie pewności, że ta historia nie będzie się powtarzać. Musimy zacząć od nazwania zbrodni. A także przyznania, że ryzyko wciąż istnieje – opowiada.

Bo historie kobiet należących do partyzanckich grup w Kolumbii to nie tylko przeszłość. Choć po podpisaniu umowy pokojowej FARC przeniosła swą działalność z lasów do polityki, rekrutacja do pozostałych zbrojnych grup wciąż trwa. Szczególnie teraz, w okresie pandemii. Nieletni, mieszkający z dala od głównych miast, bez stałego dostępu do internetu, przy zamkniętych szkołach pozbawieni edukacji, mający dużo wolnego czasu – stali się łatwym celem. Dołączenie do guerilli może go wypełnić, a obiecane pieniądze mogą być wsparciem dla rodzin w pogarszającej się sytuacji ekonomicznej [o sytuacji w Kolumbii patrz „TP" nr 20 – red.]. Szczególnie aktywne są tutaj ELN oraz grupy, które po podpisaniu pokoju odłączyły się od FARC, a także organizacje paramilitarne i gangi narkotykowe.

W czerwcu organizacja Women's Link Worldwide opublikowała kolejny raport, dotyczący głównie FARC i ERG. Mowa jest w nim także o gwałtach na kobietach należących do ludności cywilnej, dokonywanych przez zwalczające partyzantów grupy paramilitarne.

Jeszcze jeden niewielki krok na drodze do pokoju. © EWA KLEWAR

Wojna domowa w Kolumbii

JEJ POCZĄTKI sięgają połowy XX stulecia. W 1948 r. w stołecznej Bogocie zamordowany został liberalny polityk Jorge Eliécer Gaitán. Był to początek najbardziej krwawej fazy starć między rządzącymi wówczas konserwatystami a zwolennikami liberałów. Konflikt ten, znany jako La Violencia (Przemoc), trwał do końca lat 50.; jego bilans to 200 tys. zabitych, głównie wśród ludności wiejskiej.
Z powstałych w tym okresie grup samoobrony, do których należeli także opowiadający się po liberalnej stronie chłopi, narodziły się organizacje partyzanckie. Najważniejsza z nich przyjęła w 1966 r. nazwę FARC: Rewolucyjne Siły Zbrojne Kolumbii. Zainspirowana lewicową rewolucją kubańską, FARC chciała reprezentować interesy zapomnianych przez władze mieszkańców wsi. Odwoływała się do ideologii komunistycznej, wzywała do reformy rolnej.
W tym samym okresie powstała też partyzancka Armia Wyzwolenia Narodowego (ELN); później, już w latach 90., wyodrębniła się z niej Guevarystowska Armia Rewolucyjna (ERG).
Po drugiej stronie tworzono oddziały paramilitarne, głównie w latach 80. Działające z cichym przyzwoleniem rządowego wojska, finansowane przez posiadaczy ziemskich i przedsiębiorców, podjęły się likwidacji lewicowych partyzantek.
Wtedy do konfliktu dołączył kolejny uczestnik: gangi narkotykowe. Pieniądze z narkobiznesu przyciągały wszystkie walczące strony.
FARC kilkukrotnie próbowała dojść do porozumienia z rządem. Unia Patriotyczna, partia założona w 1985 r. przez członków FARC, miała umożliwić zastąpienie partyzanckich walk legalną polityką. Próba zakończyła się fiaskiem i wymordowaniem ok. 3 tys. działaczy Unii przez siły paramilitarne.
Wreszcie w 2016 r. prezydent Juan Manuel Santos podpisał z FARC traktat pokojowy.
Mimo to konflikt trwa na wielu „frontach". Porozumienie z rządem doprowadziło do rozłamu w FARC – przeciwnicy złożenia broni kontynuują działalność w mniejszych oddziałach. Aktywna jest wciąż ELN, odpowiedzialna m.in. za ubiegłoroczny zamach bombowy w Bogocie. Broni nie złożyło też wielu członków organizacji paramilitarnych, walczących z guerillą o wpływy i pozostających w bliskich związkach z narkotykowymi gangami.
© EK

HISTORIA

ESBECJA W LIKWIDACJI

30 lat temu, w lipcu 1990 r., Czesław Kiszczak odszedł z funkcji szefa MSW w rządzie Mazowieckiego, a jego miejsce zajął Krzysztof Kozłowski. Służbę Bezpieczeństwa czekała rewolucja.

TOMASZ KOZŁOWSKI

Powołanie rządu Tadeusza Mazowieckiego 12 września 1989 r. było zwiastunem nadchodzących zmian. Wprawdzie parasol ochronny nad Służbą Bezpieczeństwa wciąż roztaczał Czesław Kiszczak – zachował on w nowym gabinecie funkcję ministra spraw wewnętrznych – jednak było jasne, że to stan przejściowy.

Wiedział o tym sam Kiszczak, który błyskawicznie przystąpił do reformowania swojego resortu: miał zamiar przebudować SB, zanim Solidarność zrobi to za niego.

Resort się sypie

Nieco wcześniej, w lipcu 1989 r., SB liczyła ponad 24 tys. funkcjonariuszy. Teraz, w ciągu kilku miesięcy, Kiszczak „magicznie" zredukował ją do zaledwie kilku tysięcy. Dokonał tego, przenosząc masowo esbeków do milicji (wiosną 1990 r. zamieni się ona w policję) lub do innych komórek MSW. Wielu esbeków uciekło też – bądź zostali wypchnięci – na emerytury i renty. Kiszczakowi przyświecał jeden cel: przekonać nowego premiera i obóz solidarnościowy, że służby specjalne nie są już zagrożeniem.

Ministerstwo, które uchodziło za wszechmocne, zaczęło się rozpadać. Funkcjonariusze, którzy widzieli dla siebie szansę w cywilu – odchodzili. Ci, którzy nabyli uprawnienia – przechodzili na emeryturę. Resort trzeszczał. Milicjanci byli wściekli na esbeków, których upychano w ich jednostkach. Sami esbecy byli rozżaleni: ich zdaniem Polska Zjednoczona Partia Robotnicza i wojsko zręcznie uciekły od odpowiedzialności, a oni zostali rzuceni opinii publicznej na pożarcie.

Krzysztof Kozłowski, który wiosną 1990 r. został pierwszym solidarnościowym wiceministrem w MSW, opowiadał, jak wyglądała ówczesna sytuacja: „To, co się dzieje na Rakowieckiej [w głównej siedzibie resortu – red.], jest rzeczą straszliwą. Jestem nadzorcą procesu rozkładu. Lecą generałowie, pułkownicy. Ten proces obejmuje wszystko i wszystkich. Milicja przestaje cokolwiek robić. Sypie się".

Zacieranie śladów

Jedyne zadanie, do którego udało się resort zmobilizować, polegało na zacieraniu śladów przeszłości. Jeszcze przed powołaniem rządu Mazowieckiego przystąpiono do akcji niszczenia kompromitującej dokumentacji.

Jak Polska długa i szeroka palono akta w kotłowniach i lasach, przepuszczano przez niszczarki albo mielono w papierniach. W skali całego kraju usunięto 50-60 proc. wszystkich materiałów operacyjnych. Rozkład między poszczególnymi województwami nie był równomierny, np. w Gdańsku – mateczniku Solidarności – zniknęło aż 95 proc. akt. Właśnie: zniknęło, bo niekoniecznie zostały one zniszczone. Do dziś nie wiemy, ile było przypadków kradzieży dokumentów, które opisano jako zniszczone.

Poczucie tymczasowości trwało na Rakowieckiej długo – i tak naprawdę zakończyło się dopiero w połowie 1990 r., gdy w miejsce SB przystąpiono do organizowania Urzędu Ochrony Państwa i rozpoczęto procedurę weryfikacji funkcjonariuszy. Ostatnim akordem tej tymczasowości było odejście z ministerstwa samego Kiszczaka. Odtąd nowe kierownictwo miało wolną rękę przy budowaniu nowej struktury. Ministrem został Krzysztof Kozłowski, a szefem UOP Andrzej Milczanowski.

ADAM LACH / EAST NEWS

Wystawa „Twarze wrocławskiej bezpieki", przygotowana przez IPN. Rynek we Wrocławiu, lipiec 2007 r.

Jakie pułapki na nich czekały? Czy w toku likwidacji SB i tworzenia UOP popełniono błędy, których można było uniknąć?

Porażka weryfikacji

W trakcie tworzenia nowych służb zrezygnowano z „opcji zerowej", czyli wyrzucenia wszystkich starych funkcjonariuszy i budowania instytucji od podstaw. W efekcie między SB a UOP zachodziła personalna ciągłość. Tego wstydliwego faktu starano się jednak nie nagłaśniać. Kierownicy poszczególnych delegatur UOP zapewniali opinię publiczną, że służby stawiają na młodych ludzi. Jeden z nich zapewniał nawet, że w jego zespole byli esbecy stanowią jedynie 30 proc. kadry. To nie odzwierciedlało jednak rzeczywistości. W 1991 r. Urząd Ochrony Państwa zatrudniał ok. 5 tys. funkcjonariuszy, z czego 90 proc. wywodziło się z SB. Pięć lat później wciąż byli trzonem służby: stanowili dwie trzecie zatrudnionych.

To nie oznaczało, że w 1990 r. dokonano przeniesienia „jeden do jednego". Przypomnijmy: w lipcu 1989 r. SB liczyła 24 tys. ludzi, podczas gdy UOP z założenia był pięć razy mniejszy. O ile więc do weryfikacji stanęło 14 tys. osób, z czego 10 tys. zweryfikowano pozytywnie (tj. uznano za zdatnych do pracy w UOP), o tyle jedynie połowa z nich mogła w ogóle liczyć na pracę w Urzędzie.

Sama weryfikacja była jednak porażką. Decyzja o jej wdrożeniu wynikała w dużej mierze ze względów wizerunkowych: chciano przekonać opinię publiczną, że w nowych służbach pozostaną tylko ludzie „czyści". Całą procedurę prowadzono pośpiesznie, komisje weryfikacyjne – pracujące w województwach (było ich wtedy 49) i centrali – opierały się na niepełnych materiałach, a ich członkowie rzadko dysponowali jakąkolwiek wiedzą o realiach funkcjonowania SB.

Po fakcie okazało się, że właściwie nikt nie był zadowolony z tej procedury. Najbardziej – rzecz jasna zwolennicy „opcji zerowej". Ale także nowe kierownictwo UOP, które było przekonane, że przez weryfikacyjne sito nie przeszło wielu ludzi wartościowych (z pragmatycznego punktu widzenia Urzędu), i że część ↦

↦ tych z wynikiem pozytywnym w istocie miała poukrywane w swoich szafach różne „trupy". Sam Kozłowski podsumował sprawę krótko: „Dla mnie weryfikacja nie była potrzebna". Argumentował, że obciążonych esbeków i tak by nie przyjął do pracy, a tych, którzy mogli służyć III RP, było więcej niż etatów w UOP (jak się okazało, przyjął jednak również obciążonych).

Pytanie o „opcję zerową"

Czy „opcja zerowa" była wtedy realna? Na rozwiązanie tego typu pozwoliły sobie po 1989 r. dwa kraje z Europy Środkowo-Wschodniej: Niemcy Wschodnie oraz Czechosłowacja.

W pierwszym przypadku sprawa była prostsza: Stasi (Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwa) zlikwidowano, a po zjednoczeniu Niemiec, które z formalnego punktu widzenia było przyłączeniem terenu NRD do Niemiec Zachodnich, zadania wywiadu i kontrwywiadu przejęły służby zachodnioniemieckie. Jednak nie wszyscy funkcjonariusze Stasi zostali zwolnieni – zachowano niewielką ich grupę, np. część oficerów wywiadu zajmujących się wcześniej Polską.

Także w przypadku Czechosłowacji zdecydowano się zostawić część funkcjonariuszy, szczególnie tych zajmujących się sprawami technicznymi. Do nowej służby nie przyjęto jednak wyłącznie cywili czy policjantów kryminalnych, lecz również oficerów wywiadu wojskowego i tych pracowników czechosłowackiej bezpieki, których usunięto ze służby podczas czystek po roku 1968. Do dziś nie wiadomo, czy „opcja zerowa" wyszła Czechom na dobre. Jaroslav Bašta – opozycjonista, a po 1989 r. polityk i dyplomata – twierdził, że „opcja zerowa" dramatycznie obniżyła poziom pracy wywiadu i kontrwywiadu (zdają się to potwierdzać ujawnione analizy NATO).

W przypadku Polski nie bez znaczenia był też fakt, że nowi sojusznicy – szczególnie Amerykanie – optowali za tym, aby daleko idące zmiany kadrowe nie obejmowały wywiadu. Oficerowie Departamentu I MSW (tj. wywiadu cywilnego PRL) już w 1990 r. nawiązali współpracę z CIA, obejmującą wymianę informacji. Z czasem ta relacja się pogłębiała: polskie służby oddawały nowym sojusznikom liczne przysługi, np. w czasie operacji „Pustynna Burza" czy prowadząc działania na terenie Iranu. Dawni esbecy wiedzieli, ile zawdzięczają Amerykanom – i wydaje się, że nie zawiedli ich zaufania.

Warszawscy esbecy palili akta m.in na terenie jednostki ZOMO w Szczęśliwicach. Po tym, jak młodzi milicjanci poinformowali o tym media, udało się uratować część dokumentów. Na zdjęciu: odkopywanie nadpalonych akt.

Na wolnym rynku

Patrząc z perspektywy 30 lat wydaje się, że ówczesna rezygnacja z „opcji zerowej" była uzasadniona. Na tej decyzji zaważyło przekonanie, że nie można zupełnie zrezygnować z usług i wiedzy ludzi z SB, nawet jeśli wcześniej trudnili się „brudną robotą". Sam Kozłowski, który zanim został ministrem, był przekonany o potrzebie wyczyszczenia resortu, stopniowo zmieniał zdanie, gdy poznawał specyfikę służb.

Jedną z przyczyn rezygnacji z „opcji zerowej" była też obawa, że funkcjonariusze wyrzuceni gremialnie poza nawias służby mogą być niebezpieczni. Jak ujął to Krzysztof Kozłowski: „Stanowią potencjalne zagrożenie, i to w sferze gospodarczo-gangowej". Jednak w roku 1990 i tak pojawiło się na rynku wielu esbeków: emerytów, zweryfikowanych negatywnie i tych, którzy zwyczajnie porzucili służbę. Czym się zajęli? Zdecydowana większość znalazła pracę w zakładanych przez kolegów agencjach ochrony, detektywistycznych i windykacyjnych (60 proc. wydawanych licencji dostawali dawni pracownicy MSW). Na wolnym rynku esbeków ceniono jako fachowców z wiedzą i umiejętnościami. Plusem miał być też ich brak skrupułów.

Elita dawnych służb, cywilnych i wojskowych, skorzystała z okazji i „skolonizowała" kilka branż – jak obrót tzw. produktami specjalnymi, rynek paliw i energii, wywiadownie gospodarcze, inwestycje zagraniczne (zwłaszcza na terenie byłego Związku Sowieckiego), a także informatyzacja lub telekomunikacja wojska, organów bezpieczeństwa i administracji. Było to możliwe dzięki ich specyficznym umiejętnościom, jak też poufnej wiedzy, którą zdobyli wcześniej w trakcie pracy w resorcie.

Stare nawyki w nowych realiach

Jednak ceną za rezygnację z „opcji zerowej" było utrwalenie się wśród nowych-starych funkcjonariuszy UOP mechanizmów, które można nazwać wasalnymi. O ile w publicystyce politycznej i naukowej powtarzana jest teza, jakoby służby specjalne zza kulis kierowały życiem politycznym w Polsce lat 90., o tyle faktycznie było na odwrót: nawet jeśli nowi-starzy funkcjonariusze mieszali się do spraw politycznych, robili to zwykle na zlecenie politycznych patronów albo po to, aby zaskarbić sobie ich łaski.

Nastąpiło tu przeniesienie mechanizmów znanych z komunizmu, gdy funkcjonariusze SB szukali protektorów w strukturach PZPR, a służby specjalne były wykorzystywane nie tylko do prześladowania opozycji, lecz także do walk frakcyjnych w partii komunistycznej. Podobnie po 1990 r. wielu dawnych oficerów SB, teraz w UOP, zaczęło zabiegać o patronat ze strony Andrzeja Milczanowskiego oraz jego politycznego zwierzchnika – Lecha Wałęsy.

Zalążki takich praktyk widoczne były od początku. Już na przełomie lat 1989/90 wielu esbeków zaczęło oferować swoje

usługi ekipie solidarnościowej: przekazywali informacje o kolegach i *know-how* funkcjonowania instytucji. Konstanty Miodowicz, solidarnościowy szef kontrwywiadu UOP, tak mówił o jednym z esbeków: „Powinien być poniekąd automatycznie zweryfikowany negatywnie (...) Wiem jednak od członków komisji weryfikacyjnej, iż służył im obfitymi informacjami o swoich dotychczasowych towarzyszach. Nie tylko obfitymi, lecz i szczegółowymi. Złośliwi twierdzili, że denuncjacjami chce sobie kupić miejsce w nowej formacji bezpieczeństwa. Ponieważ jednak komisja nie prowadziła działalności komercyjnej, powiedzmy zatem, że pan [Andrzej] Anklewicz rzetelnie zapracował na to, co otrzymał". A otrzymał on szansę na wieloletnią karierę po 1989 r. w MSW i administracji – bez względu na to, czy rządziła prawica, czy lewica.

Dawni esbecy okazali się apolitycznymi fachowcami w tym sensie, że byli gotowi zaoferować swe usługi każdej władzy. „Środowisko służby posiadało silnie rozwinięty instynkt wasalny, czyli zawsze musiało mieć pana, na którego się orientowało" – podsumowywał swoje doświadczenia Zbigniew Siemiątkowski, minister koordynator służb specjalnych w czasach rządów postkomunistów.

„Szkielety" z szaf

Niektórzy ludzie służb wdrażali też w latach 90. metody, które wcześniej stosowali wobec opozycji. Najbardziej znana jest historia pułkownika Jana Lesiaka. Ten esbek, odpowiedzialny m.in. za inwigilację Jacka Kuronia, został negatywnie zweryfikowany. Odwołał się, a jego prośbę o zatrudnienie w UOP poparł... Kuroń (uważał on Lesiaka za esbeka, który nie był gorliwy i nie przekraczał granic prawa – dlatego zgodził się za niego poręczyć). W III RP Lesiak stosował te same metody, którymi posługiwała się SB: inwigilował opozycję parlamentarną, zbierał kompromitujące informacje z życia osobistego polityków i osób z ich otoczenia, wykorzystywał techniki operacyjne do dezintegracji partii politycznych.

Do dziś nie jest wyjaśniona historia Anastazji Potockiej, aferzystki i autorki książki „Erotyczne immunitety", opisującej jej seksualne przygody z politykami. Siemiątkowski wspomina, że związane z jej działalnością materiały także znajdowały się w posiadaniu zespołu Lesiaka: „Jej zdjęcia z różnymi ważnymi osobami sceny politycznej świadczące o dużym stopniu zażyłości z nimi, a także rozliczone faktury za ubrania z butików, opłacone pieniędzmi z funduszu operacyjnego jednego z oficerów. O ile pamiętam, z funduszu operacyjnego było też opłacane jej mieszkanie".

> Gdy nowi-starzy funkcjonariusze służb specjalnych mieszali się po 1990 r. do polityki, **robili to zwykle na zlecenie politycznych patronów** lub po to, aby zaskarbić sobie ich łaski.

Podobnie do dziś nie są znane kulisy afery Inter-Ams: chodziło o firmę, która dostawała zlecenia na komputeryzację urzędów, a która miała cieszyć się protekcją ówczesnego premiera Waldemara Pawlaka (po sukcesie wyborczym postkomunistów objął on ten urząd z ramienia koalicji PSL-SLD). Plotki, że w tę rozgrywkę były zaangażowane służby specjalne, krążyły od lat. Premier z czasów PRL Mieczysław Rakowski notował w dzienniku: „Zacharski [oficer wywiadu MSW i UOP – red.] powiedział, że jeśli go nie przestaną szarpać, to on zacznie mówić o sprawach, które zniszczą koalicję [PSL-SLD]. Chodzi zapewne o umoczenie Pawlaka w Inter-Armo [autor błędnie zapisał nazwę – red.]. Nic nowego. Na ile sobie przypominam, to Zacharski już wcześniej mówił nam, że Kwaśniewski zachęcał go do »ugotowania« Pawlaka".

Wątpliwe dziedzictwo

Przejęcie kontroli nad służbami przez polityków związanych z Solidarnością nie było równoznaczne z wprowadzeniem systemu kontroli, który jest charakterystyczny dla liberalnych demokracji. Politykom zależało na tym, aby UOP był lojalny, niekoniecznie apolityczny. Utwierdzili mechanizmy wasalne z poprzedniej epoki, kiedy lojalność wobec patrona była kluczowa dla kariery. I jeżeli nowe służby specjalne coś odziedziczyły po SB, to właśnie tę cechę. Wielu polityków nie tylko korzystało z sytuacji, w której służby zabiegały o poparcie, lecz pogłębiało jeszcze tę patologię. Świadomie bądź nie podkopując w ten sposób i tak niskie poczucie niezależności tych instytucji.

Pytanie, czy po 30 latach udało się pożegnać z tym wątpliwym dziedzictwem, z punktu widzenia historyka – analizującego dokumenty i relacje – musi pozostać na razie bez odpowiedzi.

© TOMASZ KOZŁOWSKI

Autor jest historykiem, pracuje w IPN. Redaktor serii „Opozycja i opór społeczny w Polsce po 1956 roku" oraz autor książek: „Anatomia rewolucji. Narodziny ruchu społecznego Solidarność w 1980 roku" i „Koniec imperium MSW. Transformacja organów bezpieczeństwa państwa 1989–1990".

TOMASZ WIERZEJSKI / FOTONOVA

POŻEGNANIE

W ostatnich paru tygodniach straciliśmy dwoje przyjaciół

Ś.† P.

Hannę Baranowską
i Ojca Stanisława Opielę SJ

zasłużonych i oddanych członków
Rady Fundacji Rodziny Józefa Piłsudskiego.

Żegnamy ich z głębokim żalem i wdzięcznością
za wieloletnie zaangażowanie i pracę.

Krzysztof Jaraczewski i Joanna Onyszkiewicz – Fundatorzy,
wraz z Radą i Zarządem Fundacji

Rycina na stronie przedtytułowej drugiego wydania „Encyklopedii Britannica", 1788 r.

POŻEGNANIE Z BRITANNICĄ

Dziesięć lat temu zakończono jej druk i na stałe przeniesiono ją do internetu, gdzie sromotnie przegrywa z Wikipedią. Co pozostało po 250-letniej „królowej encyklopedii"?

ŁUKASZ LAMŻA

SCIENCE MUSEUM / SSPL / FORUM

Britannica" jest nieodrodnym dzieckiem XVIII w. – a było to piękne stulecie dla encyklopedii! W 1728 r. ukazała się „Cyclopaedia", w 1751 r. rozpoczęła się publikacja francuskiej „Encyclopédie", a w 1768 r. w Edynburgu opublikowano pierwszy tom „Encyclopædia Britannica". Ta wielka trójca – do której czasem dołącza się „Brockhaus Enzyklopädie" z 1798 r. – do dziś wyznacza standardy encyklopedii powszechnej. Były to dzieła przełomowe. Choć istniały wcześniej rozmaite vademeca, dykcjonarze i traktaty, były one pisane „przez uczonych dla uczonych". Nie miały stanowić przystępnego kompendium, tworzonego z myślą o masowym odbiorcy, lecz raczej „piękny wykład" – systematyczny, ale nieprak-

tyczny. Z różnych względów (jak choćby dostępność maszyn drukarskich czy poziom analfabetyzmu) nie oferowano też ich w masowej sprzedaży.

„Cyclopaedia", „Encyklopédie" i „Britannica" powstały w duchu pozytywistycznym: miały dostarczyć każdemu człowiekowi wszelakiej wiedzy, jakiej mógłby potrzebować, w możliwie najbardziej dostępnej formie. Wszystkie trzy encyklopedie ułożono w porządku alfabetycznym, dotychczas zarezerwowanym dla słowników, który pozwala na szybkie odnalezienie poszukiwanej treści. Wszystkie trzy zawierały też potężną dawkę artykułów na tematy, których nie tknęliby „uczeni encyklopedyści" jeszcze parę wieków wcześniej – jak maszyny rolnicze, rodzaje drewna i metody jego obróbki, techniki wytopu metali albo budowa kanalizacji miejskiej. Encyklopedie te napisano też w językach narodowych, a nie łaciną.

Jak wizyta u golibrody

„Britannicę" wymyśliło dwóch Szkotów: księgarz Colin Macfarquhar i rytownik Andrew Bell. W połowie lat 60. XVIII w. ukazał się ostatni, 17. tom francuskiej „Encyclopédie", a starzejąca się dwutomowa „Cyclopaedia" od dłuższego czasu nie miała nowych wydań. Macfarquharowi i Bellowi zamarzyła się „encyklopedia brytyjska": równie monumentalna jak jej pierwowzór zza Kanału Angielskiego, tylko lepsza – bo własna. Zlecenie na jej wykonanie otrzymał młody naturalista i antykwariusz William Smellie.

Smellie przyjął nowatorską strategię: encyklopedia miałaby się ukazywać w 100 „odcinkach", z których każdy stanowiłby cienką książeczkę kosztującą sześć pensów (lub osiem, na lepszym papierze). Sześciopensówką można było wówczas opłacić golibrodę (golenie plus układanie peruki) albo kolację dla jednej osoby z zimnego mięsa, porcji chleba i pinty portera. Co więcej, artykuły w „encyklopedii brytyjskiej" miałyby nie tylko referować fakty, ale stanowić przystępne dydaktycznie wprowadzenie we wszystkie dziedziny wiedzy. To było *novum* – i do dziś znakiem rozpoznawczym „Britanniki" są właśnie owe długie artykuły przeglądowe, pisane nierzadko przez najznakomitszych specjalistów na świecie.

Pierwsza taka książeczka, zwana po prostu „numerem", ukazała się 10 grudnia 1768 r., a kolejne drukowano co tydzień. Do 1771 r. ukazało się zgodnie z planem sto numerów „Britanniki", które połączono ostatecznie w trzy tomy. Pierwotny projekt przerósł nieco możliwości Smelliego i zatrudnionych przez niego autorów: tom pierwszy obejmuje hasła na litery A-B, tom drugi: C-L, a w tomie trzecim upchnięto całą drugą połowę alfabetu: M-Z.

Zainteresowanie było spore, sprzedano wszystkie 3 tys. egzemplarzy. Bez zwłoki rozpoczęły się prace nad wydaniem drugim, które ukazywało się w latach 1777–1784. I tak już od tego czasu biło serce „Britanniki": odmierzane dekadami dzielącymi kolejne wydania, pomiędzy którymi trwał nieustanny mrówczy wysiłek redaktorów i autorów.

Głos stłumiony, oczy mętne

„Britannicę" od początku zdefiniowano jako projekt „wiecznie nieukończony", a każdy dodruk zawierał zwykle nieco inną wersję artykułów. Kolejne wydanie obwieszczano dopiero wtedy, gdy wskutek narastających zmian powstała już niejako nowa encyklopedia. Dość powiedzieć, że ostatnie, piętnaste wydanie nosi datę 1974–2010 i zastąpiło wydanie czternaste, datowane oficjalnie na lata 1929–1973. W praktyce jednak w latach tych wydrukowano wiele różnych wersji „Britanniki".

Pewne hasła wymagają częstszej aktualizacji niż inne, ale w XX w. złotą zasadą redakcji stała się rewizja każdego tekstu przynajmniej dwa razy na dekadę. Decyzja ta wymusiła konieczność zatrudniania stałego grona redaktorów; w momencie zamykania wydania piętnastego „Britannica" zatrudniała ich 19. Lista samych autorów (którzy przy poszczególnych hasłach wymienieni są poprzez dyskretnie ukryte inicjały) zajmuje 220 stron druku: od „A." (Morys George Lyndhurst Bruce, czwarty Baron Aberdare, autor książki „The Story of Tennis" – który napisał dla „Britanniki" jedną z sekcji artykułu „Sport"), po „Z.Z." (profesor Zeng Zungu, geograf z uniwersytetu w Nankinie, współautor artykułu „Nankin"). To grono wąskich ekspertów. 98 proc. z tej wielotysięcznej rzeszy brało udział w powstawaniu tylko jednego hasła; zaledwie 18 miało swój wkład w pięć artykułów lub więcej.

Znawcy i miłośnicy „Encyklopedii Britannica" mówią o kolejnych wydaniach jak o rocznikach szlachetnych win. Wydanie drugie, przykładowo, cieszy się ↦

mieszaną reputacją: choć lepiej zbalansowane niż pierwsze, jest ponoć w jednych miejscach napisane zbyt pospiesznie, a w innych nazbyt poetycko. Co więcej, błąd paginacji sprawił, że bezpośrednio po stronie 7099 znajduje się strona 8000 – to dopiero przyczynek do legendy „Britanniki"! Inna ciekawostka: jeden z redaktorów tego wydania, farmaceuta James Tytler, postanowił uzupełnić artykuł na temat powietrza o 20-stronicowy esej na temat balonów na gorące powietrze, które silnie go wówczas fascynowały. W drugim wydaniu w artykule „Miłość" znalazł się też następujący słynny passus, powielany przez sto lat, aż do wydania dziewiątego (1875–1889): „W miarę jak rośnie siła miłości, westchnienia stają się głębsze, a serce i puls dotknięte zostają przez drżenie; oblicze staje się naprzemiennie blade i czerwone; głos jest stłumiony; oczy mętne; występuje zimny pot i braki snu, przynajmniej do godzin rannych; zaburzone są wydzieliny, następuje utrata apetytu, hektyczna gorączka, melancholia, a być może i szaleństwo, jeśli nie śmierć".

Wiejskie wartości

Ów osobisty ton, nadawany przez kolejne pokolenia autorów, z czasem został przez redaktorów „Britanniki" z dumą zaakceptowany. Artykuł na temat układu w Dayton – porozumienia z 1995 r. kończącego wojnę w Bośni i Hercegowinie – napisał Bill Clinton, jeden z sygnatariuszy tego dokumentu, a artykuł „Rad" w 1926 r. napisały wspólnie Maria i Irena Curie. Są to krótkie, konkretne teksty, których autorzy potraktowali powierzone im zadanie z powagą i poczuciem odpowiedzialności. Pozostawianie przestrzeni ekspertom i nieingerowanie w ich teksty może jednak doprowadzić do mieszanych rezultatów. Albert Einstein, zaproszony przez redaktorów wydania trzynastego (1926) do napisania artykułu na temat czasoprzestrzeni, przysłał ostatecznie trudny esej, będący wykładem nie tylko zasadniczych idei teorii względności, ale również jego filozoficznej wizji świata.

W długiej historii „Britanniki" zdarzyły się też nieliczne przypadki nadużycia zaufania przez zaproszonych do współpracy autorów. George Gleig, pastor Szkockiego Kościoła Episkopalnego, w swoich artykułach na tematy teologiczne i metafizyczne, pisanych do wydania trzeciego (1788–1797), systematycznie przemycał niechęć do Newtonowskiej teorii grawitacji, promując w zamian wizję, zgodnie z którą przyciąganie grawitacyjne to w istocie przejaw działania elementu ognia.

Miłośnicy „Britanniki" mówią o kolejnych wydaniach **jak o rocznikach szlachetnych win.** Wydanie drugie uznaje się za lepiej zbalansowane. Do trzynastego pisali Einstein i Skłodowska-Curie.

Redaktorzy wydania piętnastego podjęli kontrowersyjną decyzję, aby oddelegować artykuły długie – z reguły te bardziej autorskie i osobiste – do osobnej sekcji, którą nazwali „Macropaedia". Te krótsze trafiły zaś do 12-tomowej „Micropaedii", zawierającej 65 tys. artykułów, na które nałożono początkowo twardy limit 750 słów, później nieznacznie zluzowany. Stanowi ona zwięzły zbiór faktów: prawdopodobnie coś takiego, czego spodziewa się po encyklopedii polski czytelnik, przyzwyczajony choćby do wydawnictw PWN-u.

17-tomowa „Macropaedia" zawiera około 700 artykułów, najdłuższe liczą powyżej stu stron. W tomie 25. znajdziemy m.in. „Gry liczbowe" (13 stron), „Okultyzm" (23 strony), „Akceleratory cząstek" (9 stron), „Trucizny i zatrucia" (22 strony), „Literaturę polską" (6 stron). „Macropaedia" nie jest więc tworem w żadnym sensie zupełnym – zawiera hasło „Peru", ale nie ma „Panamy". Jest „Picasso", ale nie ma „Pollocka". Najsensowniej jest chyba pomyśleć o niej jako o zbiorze 700 wykładów spisanych przez 700 wybitnych profesorów. Ci zaś – jak to profesorzy – jedni przynudzają, inni porywają. Są tacy, którzy żmudnie wymieniają wszystkie daty i nazwiska, inni zaś próbują wyłuskać z nich tylko te najważniejsze, w rezultacie pomijając część z tych, które wymieniliby ich koledzy po fachu.

Czytelnik „Macropaedii" może doznać olśnienia w najmniej spodziewanych momentach. Wspomniany artykuł na temat literatury polskiej jest po prostu poprawny i próżno w nim szukać jakiejkolwiek wyjątkowej perspektywy, na którą autorzy (pośród nich Julian Krzyżanowski) najzwyczajniej się nie silili. Trafiają się jednak czasem perełki, jak ten krótki obrazek otwierający biografię Henry'ego Forda: „Ford był siłą kreatywną przemysłu o bezprecedensowym rozmiarze i bogactwie, który w ciągu zaledwie kilku dekad na stałe zmienił charakter ekonomiczny i społeczny Stanów Zjednoczonych. Gdy młody Ford opuścił farmę swego ojca w 1879 r. i wyjechał do Detroit, zaledwie 2 z 8 Amerykanów mieszkało w miastach; gdy zmarł w wieku 83 lat, proporcja ta wynosiła 5 z 8. Gdy tylko Ford zdał sobie sprawę z tego, jak potężną rolę w zajściu tej przemiany odegrał on i jego automobil Model T, zapragnął jedynie tego, aby ją odwrócić, a przynajmniej tego, aby powrócić do wiejskich wartości swych chłopięcych lat. Henry Ford jest więc doskonałym symbolem przemiany z rolniczej ku przemysłowej Ameryce".

Widok znikąd

W chwili pisania tego artykułu Wikipedia zajmuje 14. pozycję rankingu Alexy najczęściej odwiedzanych stron w internecie. Strona domowa „Britanniki" (britannica.com) nie znalazła się nawet w pierwszej pięćsetce. Skoro globalna społeczność jest na tyle spragniona wiedzy, że encyklopedia dorównuje popularnością Facebookowi i Google'owi, to dlaczego właściwie nie jest nią „Britannica"?

Zacznijmy od spraw oczywistych. Wikipedia od samego początku była darmową encyklopedią internetową i tak też funkcjonuje w świadomości powszechnej. „Britannica" zadebiutowała w sieci wcześniej – w 1994 r., siedem lat przed Wikipedią. Przez długie lata jej treść była jednak dostępna wyłącznie za płatną subskrypcją. Choć dziś można już swobodnie korzystać za darmo z zasobów „Britanniki" *online* – stanowiącej nowy twór, niepodzielony już na „Micropaedię" i „Macropaedię" – jest za późno, żeby zmienić nawyki miliardów internautów.

Druga sprawa oczywista: autorzy Wikipedii – którymi są tysiące anonimowych użytkowników internetu – piszą głównie o tym, co ich interesuje. Jest to zatem encyklopedia „od zwykłego człowieka dla zwykłego człowieka". Choć więc dzisiaj – w epoce Wikipedii dojrzałej – również bardzo niszowe i hermetyczne tematy są zwykle przynajmniej pobieżnie omówione (a niektóre z nich zaskakująco głęboko), jej siłą są niezliczone drobiazgowo opracowane artykuły na temat filmów, se-

GETTY IMAGES

Małżeństwo aktorów amerykańskich June Allyson i Dick Powell na zdjęciu reklamującym nowe wydanie „Encyklopedii Britannica" w USA, 1947 r.

riali, gier komputerowych i zespołów muzycznych, a także wszystkich wsi i miast globu, lokalnych bohaterów i stacji kolejowych. Cóż, wikipedyści nigdy nie musieli liczyć się z ograniczeniami objętości, które zmuszały redaktorów „Britanniki" do trudnych decyzji, co jest bardziej, a co mniej ważne. Ponadto hasła w Wikipedii powstają i są aktualizowane w skali godzin i minut. Gdy pisałem niniejszy artykuł, świat okrążała właśnie smutna wiadomość o śmierci Ennia Morriconego, fenomenalnego kompozytora muzyki filmowej. Wikipedia doniosła o tym w ciągu minut (!), a artykuł na jego temat dorównuje długością temu, który „Britannica" poświęca całej historii muzyki zachodniej. Serwis britannica.com w ogóle nie zawiera hasła na temat Morriconego.

Trudno pozbyć się wrażenia, że redakcja „encyklopedii brytyjskiej" nie pochyla się nad zjawiskami młodszymi niż kilkadziesiąt lat, traktując je jako niegodne zainteresowania efemerydy. Wspomniany artykuł na temat historii muzyki Zachodu z obsesyjną szczegółowością referuje wszystkie epizody z XVI-wiecznych dziejów muzyki dworu burgundzkiego, jednak gdy tylko przekroczona zostaje data II wojny światowej, entuzjazm autorów wyraźnie spada. Choć kartkowana przeze mnie wersja wydania piętnastego pochodzi z 1991 r., próżno szukać w niej dłuższych wzmianek o czymkolwiek, co nastąpiło po roku 1960. Sekcja na temat muzyki elektronicznej referuje głównie musique concrète lat 50. i ubolewa nad postępującą „dehumanizacją muzyki", a króciutka, pisana z wyraźnym niesmakiem sekcja „Popular music" wymienia jednym tchem jazz, bebop, punk i new wave, dumając nad nowo odkrytą miłością muzyków do instrumentów perkusyjnych.

Wikipedia stała się z czasem „widokiem znikąd", pozbawionym typowego dla „Britanniki" indywidualnego sznytu. Doskonale pamiętam złote lata polskiej Wikipedii, tuż po jej powstaniu w 2001 r., kiedy każdy mógł edytować ją zgodnie ze swym uznaniem. Niektóre moje żenująco wręcz osobiste obserwacje, zwłaszcza te w artykułach na temat historii sztuki, które namiętnie wówczas pisałem, potrafiły wisieć w internecie latami, zanim nie zostały litościwie przez kogoś zredagowane. Obecnie Wikipedia zorganizowana jest na sposób hierarchiczny i biurokratyczny, a edycje bywają wstrzymywane, jeśli nie spełniają wymagań redaktorów. Jedną z fundamentalnych reguł jest zaś zasada neutralnego punktu widzenia.

896 pokemonów

Co więcej, sam ilościowy rozrost społeczności wikipedystów oznacza w praktyce, że jakikolwiek w miarę popularny artykuł jest wspólnym dziełem setek, jeśli nie tysięcy osób. W przypadkach kontrowersyjnych dochodzi czasem do wielomiesięcznych debat, bywa, że nad jednym słowem: dyskusja wikipedystów na temat tego, jak najlepiej określić narodowość Nikoli Tesli, rozciągnęła się na 12 lat i zajmuje obecnie 300 stron znormalizowanego maszynopisu; ostatecznie Tesla występuje na angielskiej Wikipedii jako „serbsko-amerykański wynalazca, urodzony w Cesarstwie Austrii na terenie obecnej Chorwacji". Jest to znakomita strategia na powstanie artykułu „doskonale nijakiego": trudno oczekiwać, że wskutek tysięcy drobnych edycji dokonywanych przez setki średnio kompetentnych autorów wyłoni się jakakolwiek spójna, mądra synteza, wykraczająca poza zreferowanie poszczególnych faktów. Z drugiej strony, same te fakty są po drodze sprawdzane i dodawane przez setki osób. To właśnie dzięki „potędze masy" każdego spośród 896 pokemonów Wikipedia opisuje w osobnym artykule.

Zaryzykowałbym stwierdzenie, że Wikipedia dobrze zastępuje „Micropaedię". Gdy trzeba szybko sprawdzić jakiś fakt, trudno pobić coś, co wygenerowała na przestrzeni 20 lat społeczność setek tysięcy osób pracujących bez żadnych ograniczeń objętościowych. Prawdziwa potęga „Britanniki" tkwi jednak w tym, co w ostatnim jej wydaniu wydzielono jako „Macropaedię": która służy nie do szybkiego sprawdzania faktów, lecz powolnego smakowania wiedzy ludzkiej, w całej jej rozległości i głębi. „Macropaedia" służy nie do czytania, lecz wertowania, więc jej internetowe wcielenie jest tylko bladym cieniem jej istoty. Jej ostatnie wydanie z każdym kolejnym rokiem staje się już tylko coraz bardziej przestarzałe i to bodaj ostatni moment, żeby poczytać „Britannicę" nie ze względów historycznych albo sentymentalnych, tylko po to, aby – jak tego chciał William Smellie – „poznać, jeśli tylko tego zapragnie, podstawowe zasady Rolnictwa, Astronomii, Botaniki, Chemii etcetera, etcetera".

© ŁUKASZ LAMŻA

Z ODDECHEM

NIE TAK TO MIAŁO WYGLĄDAĆ

Wszystko w moim kraju zamknięto. Niewiele można kupić, a zarobić na te zakupy w ogóle nie sposób. Ludzie zachodzą w głowę: lepiej umrzeć od wirusa czy z głodu?

ALEXIO RASHIRAI Z RUSHINGI (ZIMBABWE)

Pozwólcie, że opowiem Wam o moim życiu. Urodziłem się jako czwarte dziecko. Poza mną było nas w domu jeszcze siedmioro – trzy siostry i czterech braci. Mój ojciec był robotnikiem rolnym, pracował na państwowej posadzie. Umarł w 2005. Matka zajmowała się domem i uprawiała poletko. Nadal żyje w naszym rodzinnym domu w powiecie Rushinga, przy granicy z Mozambikiem.

Kiedy w 1967 r. pojawiłem się na świecie, kraj nosił jeszcze nazwę Rodezji, a rządził nim biały premier Ian Douglas Smith. Dwa lata wcześniej – widząc, jak Wielka Brytania, Francja i Belgia przyznają niepodległość swoim koloniom, a władzę w nich przejmują czarni – biali osadnicy z Rodezji sami ogłosili niepodległość od Londynu. Ale wolnością mieli się cieszyć tylko oni, choć było ich najwyżej ćwierć miliona. My, ponad cztery miliony czarnych, mieliśmy jak dawniej pracować na plantacjach.

Dzięki rządowej pensji, którą mojemu ojcu wypłacano regularnie, mogliśmy sobie pozwolić na przyzwoite posiłki. Codziennie był chleb. Ojcu starczało na kupno podstawowych rzeczy, a my, wszyscy bracia i siostry, uczyliśmy się w porządnej, państwowej szkole. Dziś stać na to niewielu z tych, którzy żyją z państwowej pensji. Każdy, kto pamięta tamte czasy, westchnie, że w porównaniu z dzisiaj życie w Rodezji było cudowne.

Oczywiście, nie wszystko było wspaniałe. Biali rugowali czarnych z ich ziemi i zamykali w rezerwatach. Zawłaszczali ogromne obszary na farmy i pastwiska, podczas gdy nam zostawały spłachetki, na których mogliśmy uprawiać warzywa na własny użytek. Rolnictwem na wielką skalę zajmowali się biali farmerzy, tylko oni zaopatrywali kraj w żywność i na tym zarabiali. Inna rzecz, że Rodezja nigdy nie musiała sprowadzać żywności z zagranicy. Wprost przeciwnie: sprzedawała wołowinę całemu światu.

Wolność

Przez Rushingę wiódł szlak, którym z Rodezji do obozowisk w Mozambiku przekradali się partyzanci. Przechodzili też tędy zmierzając pod osłoną nocy do kraju, na jakąś akcję

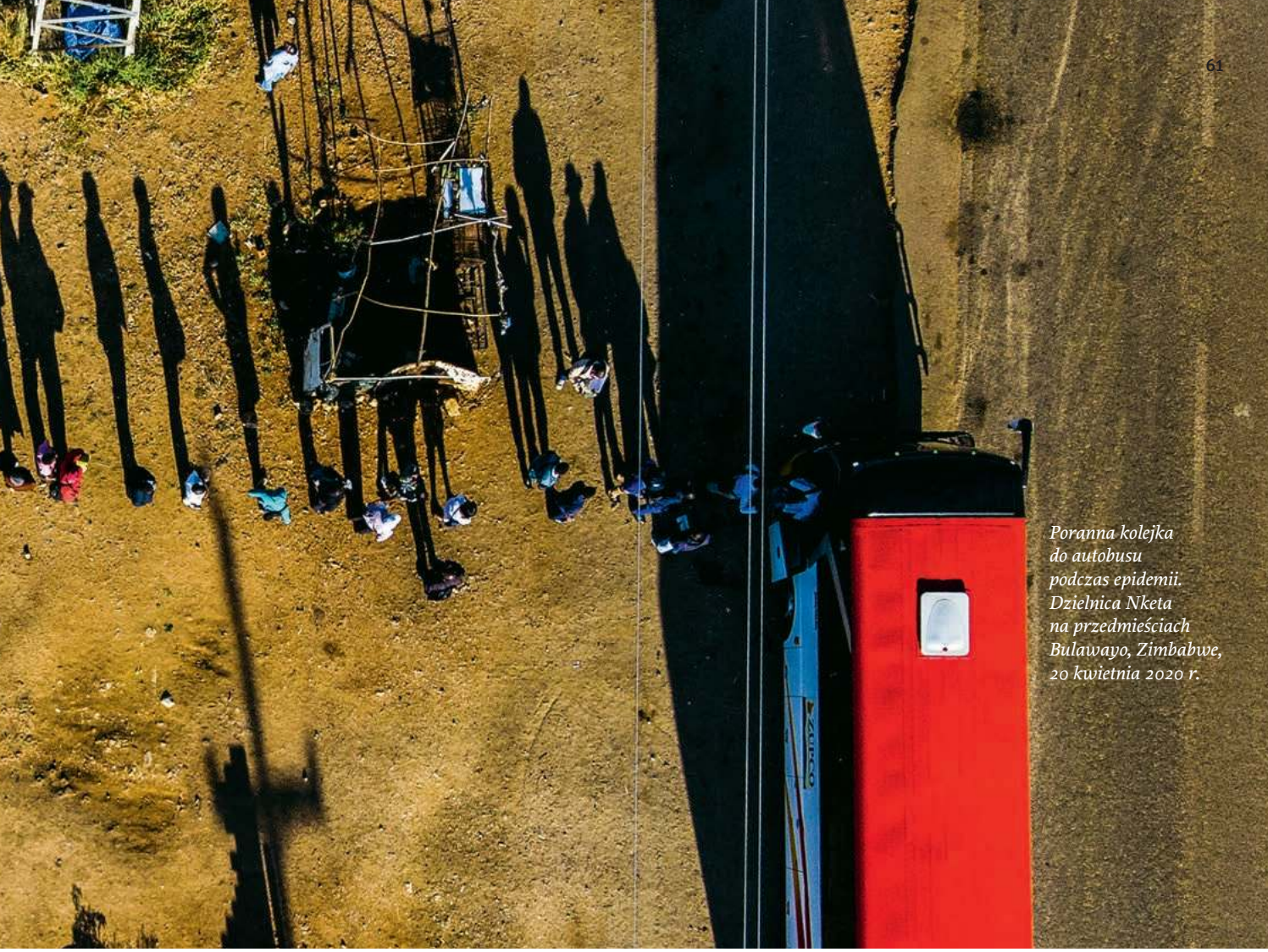

Poranna kolejka do autobusu podczas epidemii. Dzielnica Nketa na przedmieściach Bulawayo, Zimbabwe, 20 kwietnia 2020 r.

ZINYANGE AUNTONY / AFP / EAST NEWS

zbrojną. Aby zagrodzić im drogę, wojsko postawiło na pograniczu pola minowe i chłopi stracili tu wiele sztuk bydła.

Pamiętam, jak partyzanci budzili nas w środku nocy waleniem w drzwi i żądali od ojca pieniędzy. Albo zabierali go ze sobą, żeby kupował im buty i ubrania. Gdyby policjanci czy wojskowi przyłapali go na tym, zabiliby go albo wtrącili do więzienia. Więzienie groziło nawet za to, że nie doniosło się władzom na partyzantów. Z powodu bliskości granicy i obecności partyzantów w Rushindze obowiązywała godzina policyjna. Po szóstej wieczorem nie wolno było wychodzić z domu. Wojsko straszyło, że będzie strzelać bez ostrzeżenia, i rzeczywiście zabiło wtedy w Rushindze wielu ludzi.

Czasem partyzanci budzili nas w nocy i zabierali do buszu. Opowiadali, jak wspaniale będzie się żyło, gdy wygrają wojnę, że staniemy się wolnymi ludźmi i wszyscy będą mieć pracę. Kazali śpiewać pieśni. Nieraz zdarzało się, że tym śpiewem ściągaliśmy wojsko. Partyzantom zawsze udawało się uciec, od kul żołnierzy ginęli zwykli ludzie. Nazajutrz wojsko ogłaszało, że podczas nocnej potyczki zabiło rebeliantów.

Kiedy w 1980 r. wojna się skończyła i ogłoszono, że Rodezja będzie odtąd Zimbabwe, a rządzić będzie polityczny przywódca partyzantów Robert Mugabe, ludzie w Rushindze z radości przez całą noc tańczyli i pili. Miałem wtedy trzynaście lat i chodziłem do szkoły.

Faktura za wolność

Mój kraj był wtedy spichlerzem Afryki. Kiedy w latach 80. nasi biedniejsi sąsiedzi z Zambii, Malawi czy Mozambiku głodowali, Zimbabwe słało im tony kukurydzy na ratunek. Dziś jest na odwrót. Biali farmerzy, których przegnano z Zimbabwe, gospodarzą w Zambii i zbierają całe tony kukurydzy. Kiedyś mieliśmy najniższy na południu Afryki wskaźnik analfabetyzmu i najniższy wskaźnik śmiertelności wśród dzieci, a inflacji nigdy nie mierzyło się w dwucyfrowej skali. Co więc się stało? Co poszło nie tak?

W 1997 r., kiedy Mugabe kazał ministrowi finansów Herbertowi Murerwie wypłacić z państwowego skarbca pieniądze weteranom wojny wyzwoleńczej z lat 60. i 70. jako nagrody i zadośćuczynienie za dawne wyrzeczenia. Weterani wynieśli Mugabego do władzy, a potem byli jego polityczną bazą. Ale po kilkunastu latach, gdy gospodarka zaczęła niedomagać, zażądali spłaty długu. Przewodził im Chenjerai „Hitler" Hunzvi, który choć twierdził, że był partyzantem, lata wojny domowej spędził za granicą, studiując medycynę w Rumunii, Polsce i Wielkiej Brytanii. Kiedy wrócił, zatrudnił się jako lekarz, ale szybko spostrzegł, że podburzając weteranów przeciwko Mugabemu i stając na czele buntu może zrobić karierę w polityce.

Gospodarka nie miała się już tak dobrze jak dawniej, podwyżek domagali się też związkowcy, którzy demonstrowali

↦

↦ na ulicach i ogłaszali strajk za strajkiem. Zmuszony do wyboru między weteranami a związkowcami, Mugabe postawił na tych pierwszych.

Wtedy były ich jeszcze setki tysięcy. Każdemu, kto był zapisany do związków kombatanckich i miał legitymację poświadczającą udział w wojnie wyzwoleńczej, chimurendze, trzeba było wypłacić po 50 tys. dolarów zimbabweńskich – wtedy równowartość ok. 4 tys. dolarów amerykańskich.

Tamten dzień wspomina się do dziś w Zimbabwe jako „czarny piątek". Wartość pieniądza spadła natychmiast o 77 proc. Zapytano potem Mugabego, czy nie obawiał się, że swoją decyzją zniszczy gospodarkę. Roześmiał się: „A czy słyszał kto, żeby jakieś państwo zbankrutowało?".

Kraj bez pieniędzy

Następnego roku Mugabe podjął kolejną fatalną decyzję. Nie uprzedzając parlamentu posłał 13 tys. żołnierzy na wojnę do Konga, żeby pomóc tamtejszemu prezydentowi Laurentowi-Désirému Kabili w starciu z rebeliantami. Tamta kampania przeszła do historii jako największa wojna współczesnej Afryki. Od kul, z głodu i chorób zginęło ok. 5 mln ludzi, w walkach wziął w niej udział tuzin ościennych państw. Zimbabwe, obok m.in. Angoli i Namibii, wspierały Kabilę; Uganda, Rwanda i Burundi – rebeliantów.

Kabila za pomoc płacił górniczymi koncesjami. Mugabe liczył, że powetuje sobie straty poniesione na nagrody dla weteranów, ale na wojnie obłowili się tylko generałowie. Dla państwa wyprawa do Konga okazała się bardzo kosztowna, a armia straciła mnóstwo drogiego sprzętu. Zagraniczni rewizorzy wykryli potem, że z pieniędzy, jakie Mugabe pożyczył od Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Banku Światowego na reformę gospodarki, prawie 2 mld dolarów, poszły na wojnę w Kongu. W większości zostały rozkradzione. Zirytowało to zachodnie banki, które odtąd odmawiają kredytów dla Zimbabwe. Tym bardziej że rząd nie spłacił starych.

Marzenia

Zawsze marzyłem o tym, żeby zostać dziennikarzem. Albo pisarzem. A najlepiej i dziennikarzem, i pisarzem. W szkole nauczyciel angielskiego chwalił moje wypracowania. Czasami czytał je całej klasie i mówił, że chciałby, aby wszyscy tak umieli pisać. To był biały nauczyciel.

Poszedłem na dziennikarskie studia w Harare. Chciałem pisać o tym, dlaczego ludziom dzieje się krzywda i jak temu zaradzić. Ale trudno było o stałą pracę w prasie. W tamtych czasach uczelnie i całe szkolnictwo w Zimbabwe należały do najlepszych w Afryce i co roku wypuszczały tłumy dobrze wykształconych absolwentów – zbyt wielu, żeby dla wszystkich starczyło pracy. Tym bardziej że gazet nigdy nie było u nas za wiele, a z czasem władze zaczęły zamykać redakcje, które nie chciały chwalić rządu.

Pozostawało mi szukać zarobku jako wolny strzelec. Chyba nigdzie w Afryce nie pracowało tylu wolnych strzelców, co w Zimbabwe, więc redakcje płaciły im grosze. A najczęściej nie płaciły w ogóle, przekonując, że zapłatą będzie to, że opublikują nazwisko dziennikarza i potem będzie mu łatwiej upchnąć gdzieś następny tekst. Nie narzekałem więc, gdy po studiach udało mi się zaczepić w biurze UNICEF-u. Pisałem artykuły o ich działalności w Zimbabwe.

Nieposłuszeństwo

A sprawy w kraju miały się coraz gorzej. Związkowcy stworzyli nową, najsilniejszą od lat opozycyjną partię, która po raz pierwszy od niepamiętnych czasów zaczęła zagrażać władzom.

Kiedy Mugabe obejmował władzę w Zimbabwe, był wynoszony pod niebiosa zarówno w kraju, jak na Zachodzie. Chwalono go tak, jak po latach Nelsona Mandelę za dążenie do narodowej zgody. Rzeczywiście, przejmując władzę Mugabe nie odebrał białym ziemi, domów – niczego. Zostawił im wszystko, pod warunkiem, że nie będą się wtrącać do polityki. Teraz jednak kraj pogrążał się w kryzysie, Mugabe skończył 75 lat, wydawał się zmęczony i zagubiony. Opozycja była silna jak nigdy dotąd. Biali uznali, że należy pozbyć się starego przywódcy, zanim jego rządy doprowadzą do katastrofy.

Mugabe też nie próżnował i w lutym 2000 r. przeprowadził plebiscyt w sprawie zmiany konstytucji – chciał do niej wpisać m.in. prawo do konfiskowania farm białych. Odszkodowanie za nie miała płacić Wielka Brytania. Mugabe był pewny swego – wygrał w końcu wszystkie wcześniejsze wybory i głosowania. Tym razem ludzie posłuchali opozycji i odrzucili nową konstytucję. Wszyscy w Zimbabwe czekali na czerwiec i nowe wybory parlamentarne, które, wiele na to wskazywało, Mugabe mógł przegrać i stracić władzę.

Ani myślał poddawać się bez walki. Wezwał partyzanckich weteranów, a ci skrzyknęli się w bojówki i zaczęli najeżdżać i gromić białe farmy. Rząd zaczął je jedna po drugiej nacjonalizować. Wszyscy zrozumieli, że tak Mugabe mści się na białych za to, że przeciwko niemu wystąpili.

Mugabe wygrał tamte wybory i wszystkie następne. Za każdym razem jego bojówki terroryzowały kraj, a urzędnicy fałszowali wyniki głosowania. Ale to wybory z 2000 r., pogromy białych farmerów i konfiskata ich ziemi były gwoździem do trumny gospodarki. Wielkie farmy nastawione na produkcję przemysłową były podstawą rolnictwa, a ono podstawą gospodarki, głównym źródłem dochodów. Teraz rozparcelowano je na kawałki pomiędzy małorolnych, czarnych chłopów albo rozdano rządowym dygnitarzom. Nie mając pojęcia o pracy na ziemi, pozwalali, by busz zarastał dochodowe niegdyś farmy i przerabiali je na prywatne parki safari. Upadły plantacje kukurydzy i tytoniu, hodowle bydła poszły pod nóż, a w sklepach zaczęło wkrótce brakować mleka i mięsa, których zawsze było pod dostatkiem. Ostateczny upadek nastąpił w 2002 r. gdy rząd zakazał 4,5 tys. białym farmerom uprawiać ziemię.

Złote czasy

Dla mnie, dziennikarza, były to jednak najlepsze czasy w życiu. Burze w polityce i chwilowa odwilż sprawiły, że łatwiej było upchnąć artykuły w miejscowych gazetach, a w 2000 r. poznałem w Harare reportera z polskiej gazety, który przyjechał do Zimbabwe pisać o wyborach. Po wyborach wyjechał, ale za jakiś czas zadzwonił, czy nie zgodziłbym się pisać korespondencji dla jego gazety. Przeczytał je polski ambasador z Harare i któregoś dnia zadzwonił i zaprosił na rozmowę. Zapytał, czy skoro piszę o Zimbabwe do polskiej gazety, nie mógłbym pisać o Polsce do gazet w Zimbabwe. Powiedziałem, że nigdy nie byłem w Polsce i niewiele o niej wiem. Odparł, żebym się niczym nie martwił i że dostarczy

mi wszystkich potrzebnych informacji i książek. Zimbabweńczycy z ambasady nazywali go „Chikwepa", „Faja", bo bez przerwy palił fajkę. Ilekroć go wspominam, widzę, jak siedzi w fotelu, w chmurze tytoniowego dymu.

Miałem 33 lata i w moim życiu wszystko zaczynało się powoli układać. Wreszcie przyzwoicie zarabiałem, w dodatku w dolarach, co w czasach galopującej inflacji w Zimbabwe miało dodatkową wartość. Urodziła mi się wtedy córka, której daliśmy na imię Aneisuishe, co w moim języku znaczy „Bogu miła", bo tak dobrze nam się wtedy wiodło. Myślałem nawet o domu w Harare, gdzie moglibyśmy wszyscy zamieszkać, ja, żona, dzieci. Póki nie stać mnie było na dom, wynajmowałem w Harare mieszkania, a żeby było taniej – pokoje. Żona zostawała wtedy z dziećmi w Rushindze. Żyliśmy jak koczownicy, raz tu, raz tam, to razem, to znów oddzielnie.

Wszystko zawaliło się jednak wraz z kryzysem i marzenia diabli wzięli. Polska gazeta przestała zamawiać korespondencje, ambasadę zamknięto. „Przez ten kryzys nic się już między naszymi krajami nie dzieje" – powiedział mi ambasador.

ARCHIWUM PRYWATNE

Alexio Rashirai, Rushinga, 23 kwietnia 2020 r.

Kiedyś Zimbabwe stawiano innym za przykład. Gdy dorosłem, **kraj był już bankrutem i pośmiewiskiem.**

Lepiej już nie będzie

Kiedy byłem nastolatkiem, śniłem o przyszłości. Zimbabwe stawiano innym za przykład. Gdy dorosłem i chciałem spełnić młodzieńcze marzenia, kraj był już bankrutem i pośmiewiskiem.

Bez pracy i zarobku stoczyliśmy się w biedę gorszą niż ta, jaka panowała w krajach zniszczonych wojnami. Ze sklepów zniknęły towary. Na korupcji, przemycie i czarnym rynku dorabiali się ludzie bliscy władzy. Reszta klepała biedę.

Żeby przeżyć, musiałem zapomnieć o dziennikarstwie, którego nikt już nie potrzebował, i zająć się kontrabandą. Przekradałem się przez pola minowe na granicy z Mozambikiem albo przez rzekę Limpopo – ale tylko w porze suchej, kiedy woda opadała – na granicy z RPA. Kupowałem tam towary i przekupując pograniczników wracałem, żeby sprzedać je z zyskiem w Zimbabwe albo wymienić na rzeczy, których potrzebowałem. Czasem, jak inni, pędziłem samogon.

Już wtedy połowa z 15 mln moich rodaków żyła z pomocy zagranicznej. Jedna czwarta wyjechała pracować na obczyźnie, głównie, jak mój brat, do RPA. Lekarze zatrudniali się tam jako pielęgniarze, inżynierowie jako kelnerzy, nauczycielki jako sprzątaczki. A w Zimbabwe zaczął nam grozić głód jak w Somalii czy Sudanie.

Jesienią 2017 r. wojsko odsunęło w końcu Mugabego od władzy. Miał wtedy 93 lata, wkrótce umarł. Jego następcą został Emmerson Mnangagwa. Obiecywał wielkie zmiany. Ale jak mogło się zmienić, skoro po Mugabem nastał człowiek, który przez cały okres jego panowania był jego „prawą ręką"? Ministrem sprawiedliwości, bezpieczeństwa, finansów, obrony, a na koniec wiceprezydentem. Jak mógł to wszystko naprawić ktoś, kto był tej katastrofy współwinny? Obiecywał, że będzie walczył z korupcją – ale rządzi już dwa i pół roku, a nikogo za nią nie ukarano. Mówi to, bo chce omamić przywódców Zachodu, żeby darowali mu niespłacone długi i pożyczyli nowe pieniądze.

Nasz minister finansów napisał do Banku Światowego, że jeśli nie pożyczy Zimbabwe pieniędzy, gospodarka się zawali i rząd znów będzie musiał drukować pieniądze, które natychmiast staną się bezwartościowe. Już raz, na początku lat dwutysięcznych, przez to przechodziliśmy. Ale taki list to i tak nowość, bo dotąd władze tłumaczyły wszystko „przejściowymi kłopotami" i spiskiem Zachodu, któremu „nie w smak była polityka władz, przywracających sprawiedliwość dziejową".

Zamknięty krąg

A teraz przyszła epidemia. Wszystko w kraju zamknięto. Niewiele można kupić, a zarobić na te zakupy w ogóle nie sposób. Ludzie zachodzą w głowę: lepiej umrzeć od wirusa czy z głodu?

Straciliśmy już nadzieję, że za naszego życia sprawy przybiorą lepszy obrót, staramy się przetrwać kolejne dni. Jeśli w tym roku nie skończy się susza i znów zbiory będą gorsze od poprzednich, będziemy głodować.

Kiedy wybuchła epidemia, wróciłem z Harare do Rushingi. Na wsi łatwiej przetrwać, w mieście wszystko zaraz podrożało. Uprawiamy dynie, warzywa, zbieramy w buszu rośliny, które nadają się do jedzenia. Niektórzy hodują kury – wypuszczają je z kurnika do buszu i pilnują, żeby się nie pogubiły albo żeby ich nikt nie ukradł. Problemem jest brak wody. Mamy tu tylko jedną studnię, a od czasów mojego dzieciństwa mieszkańców przybyło. Wspólnie ustalono, że każdemu obejściu przysługuje pięć wiader wody dziennie.

I tak moje życie zatoczyło koło. Piszę ten artykuł na telefonie komórkowym w mojej starej chacie, ulepionej z gliny i krytej strzechą. Staram się nie wracać pamięcią do tego, co było, bo i nie bardzo jest do czego. Niewiele w życiu zdobyłem, nie ma się czym chwalić. Nie spełniłem marzeń i więcej ich nie snuję. Nie mam żadnych planów na przyszłość. Najpewniej zostanę tu w Rushindze do końca moich dni.

Boli mnie tylko myśl, że się starzeję i gdybym jutro miał umrzeć, nie zostawię moim dzieciom po sobie dosłownie niczego. Nie za bardzo wiem, co powiedzieć córce, kiedy mówi, że chce wrócić do szkoły, a potem iść do liceum i na studia, żeby zostać dziennikarką telewizyjną w BBC albo Al-Dżazirze. „Jak tylko dostanę tę pracę – mówi mi – kupię nam dom, a tobie samochód".

© ALEXIO RASHIRAI

Współpraca WOJCIECH JAGIELSKI

SPOWIEDŹ CHULIGANA

ANDRZEJ GRABOWSKI, AKTOR:

Im człowiek starszy, tym bardziej docenia dobro w najprostszej postaci i więcej tego dobra potrzebuje.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Dziś inaczej rozśmiesza się ludzi?

ANDRZEJ GRABOWSKI: Jak powiem, że nigdy nie było to łatwe, będę miał rację. Jak powiem, że dzisiaj jest trudniej, też będę miał rację. I w ogóle zawsze będę miał rację, jak powiem, że rozśmieszać jest o wiele trudniej, niż doprowadzać do wzruszeń.

Proszę sobie przypomnieć ten sam dowcip opowiedziany przez kilka osób. Jeden opowie go tak, że jest on bardzo śmieszny, drugi w taki sposób, że czujemy zażenowanie. Albo spektakle „Zemsty" – ten same postaci i dialogi napisane przez Fredrę w jednym wykonaniu zachwycają, w drugim – są żałosne. Na czym to polega?

Na charyzmie wykonawców?

Istnieją wybitni aktorzy, nazwijmy ich dramatycznymi, którzy nie maja tego czegoś, co jest potrzebne do komedii: naiwnej prostoty. Kiedy gra się Papkina, byłoby dobrze nie mrugać do widowni: „słuchajcie, ja nie jestem taki głupi jak ta postać, jestem bardzo inteligentnym aktorem i dlatego potrafię zagrać głupka", tylko jest się głupkiem i wtedy robi się autentycznie śmiesznie. A wracając do przykładu z dowcipem: jeśli opowiada się go za bardzo grając – a to kobieta mówi piskliwie, a to mężczyzna grubo – wtedy przestaje być śmieszny.

Czyli chodzi o podtekst?

O wartość naddaną. Serial „Świat według Kiepskich", w którym gram Ferdynanda, jest tak głupim serialem, że aż nadgłupim. I ta nadgłupota czasem bywa mądrością. Bardzo myli się ten, kto sądzi, że nas, twórców tego serialu – scenarzystów, aktorów, reżysera, kostiumologów – śmieszy sytuacja, w której Ferdynand kopie w tyłek człowieka o nazwisku Paździoch. My robimy to dlatego, że głupota w całym serialu jest pewną konwencją. To jest tak, jakby posądzić Erazma z Rotterdamu, który dawno temu napisał „Pochwałę głupoty", że jest niemądrym człowiekiem.

Kiedy Pan powiedział o naiwnej prostocie, miałam przed oczami Charliego Chaplina i Bustera Keatona, bohaterów mojego dzieciństwa.

Ja jeszcze lubiłem Flipa i Flapa, oglądało się te filmy w telewizji. Ale rzadko, często tego nie puszczali. Proszę zauważyć: czy Buster Keaton cokolwiek udaje? On nawet twarzą nie rusza, nie robi jednej miny. To samo Charlie Chaplin – w tych swoich filmach grał, ale tak, by nie było widać, że gra. Tworzył postać w tym meloniku, w tych za krótkich spodniach, z tą laseczką, z tym kaczym chodem.

Gdy dziś widzę aktora, który komediowo gra komedię, to wcale nie jest mi do śmiechu, tylko myślę: „człowieku, przestań".

Często Pan tak myśli?

Czasem.

Pan mówi, że rzadko w Pana młodości telewizja emitowała nieme amerykańskie kino, ale za to często oglądało się Kabaret Starszych Panów – rodzimy przykład subtelnego humoru.

Fantastyczna sprawa. Ale trzeba dodać, że Kabaret był wykonywany przez wybitnych aktorów, którzy potrafili stworzyć postaci charakterystyczne. Wiesław Michnikowski śpiewający głosem staruszka o wesołym życiu staruszka jest nie do zastąpienia przez żadnego innego aktora, nawet jeśli będzie on wesołym staruszkiem.

Nie do zastąpienia jest też Barbara Krafftówna, która śpiewa naiwnym głosikiem: ,,W czasie deszczu dzieci się nudzą"...

Do tego dochodziła umiejętność grania w cudzysłowie. Czyli bycia naiwnie naturalnym w tym cudzysłowie.

Co się jeszcze Panu podobało z dawnych kabaretów?

Piwnica pod Baranami i Jama Michalika – bo moja młodość to Kraków. Pod Barany chodziło się po to, żeby odetchnąć troszeczkę świeższym powietrzem niż pod Komitetem Wojewódzkim. Ten kabaret nie był *stricte* polityczny, ale aluzje – jedną, drugą, trzecią – publiczność przyjmowała z entuzjazmem. Jama Michalika była kabaretem bardziej literackim, teksty pisali Tadeusz Kwiatkowski, ↦

KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI / FORUM

ANDRZEJ GRABOWSKI (ur. 1952 r.) jest aktorem filmowym, teatralnym, kabaretowym i telewizyjnym, stand-uperem oraz wokalistą.

↦ Jacek Stwora oraz Bruno Miecugow – mój dobry znajomy mimo sporej różnicy wieku.

Ale w ogóle cechą kabaretów z lat 60., 70. i 80. było to, że można było wyjść na scenę, stanąć przed mikrofonem, powiedzieć „kiełbasa" i publiczność natychmiast reagowała.

Bo?

Bo „kiełbasa" to był manifest przeciwko Układowi Warszawskiemu, przeciwko Komitetowi Centralnemu, Wojewódzkiemu, Powiatowemu i w ogóle przeciwko ustrojowi. Więc mówiło się trzy razy „kiełbasa", schodziło się ze sceny i dostawało gromkie brawa. W słowie „kiełbasa" była zawarta i odwaga, i ironia.

A publiczność umiała czytać między słowami.

Dzisiaj gdyby wyjść w kabarecie na scenę i powiedzieć trzy razy „konstytucja", efekt byłby prawdopodobnie taki sam.

No dobrze, a co Pan robi, by utrzymać uwagę publiczności mówiąc godzinny stand-up? Jest Pan wtedy bez kostiumu i rekwizytu.

I kompletnie sam. Zależy, gdzie ja ten stand-up wykonuję: czy w małym klubie, w którym mieści się 50 osób, czy w amfiteatrze w trakcie kabaretonu. Czy stand-up zamawia palestra, która organizuje sobie jubileusz, a ja mam świadomość, że publicznością będą sędziowie i adwokaci, czy to będzie występ w trakcie powiatowej uroczystości, na scenie w otwartej przestrzeni, kiedy może przyjść każdy, a obok kręcą się karuzele. Przecież w ten sposób też pracuję, choć raczej staram się tego unikać.

W każdym z występów mówię mniej więcej to samo, różnica tkwi w tym, gdzie i jak postawię akcent, np. gdy opowiadam anegdotę o „Kiepskich". Badania wykazały, że „Kiepskich" oglądają przede wszystkim ludzie z wykształceniem podstawowym i wyższym, ci ze średnim raczej ich odrzucają, twierdząc, że dla nich to za głupie. Ci z podstawowym, niczego im nie odbierając, śmieją się z tego, że kopię Paździocha w tyłek. Ci z wyższym też się z tego śmieją, tylko nie dlatego, że kopię Paździocha w tyłek i to jest śmieszne samo w sobie, tylko dlatego, że twórcy wybrali ten środek wyrazu – konwencję paranoi.

Pan go kopie już od dwudziestu lat.

Początkowo nie znosiłem grania w „Kiepskich" – wiedziałem, że publiczność nie złapie tej estetyki od razu. Protestowałem przeciwko odcinkowi, który miał być kręcony jako jeden z pierwszych. To był rok 1999: Kiepscy wybierają się z wizytą do Rzymu na imieniny Jana Pawła II. Mówiłem wtedy: „Przecież ludzie nas zjedzą". Nie chcieliśmy też kpić z Kościoła i wiary; żarty żartami, ale ktoś mógłby się poczuć obrażony. Gdyby to był nie pierwszy, ale setny odcinek, wtedy publiczność wiedziałaby, że nie naśmiewamy się z Jana Pawła, tylko z grupy, która by chciała odwiedzić papieża, złożyć mu życzenia i jeszcze w takim stylu, w jakim robiliby to Kiepscy.

Pani wspomniała, że za PRL-u publiczność łatwiej odczytywała aluzyjność tekstu i grania. Wzięło się to stąd, że była cenzura, że polscy twórcy – teatralni i filmowi – robili wszystko, by powiedzieć to, co chcieli, nie mówiąc o tym wprost.

Fantastyczne ćwiczenie dla umysłu.

Dobre, bo celebrujące niejednoznaczność. Przypuszczam, że cenzorzy nie byli na tyle ograniczeni, by tego nie rozumieć, tylko czasami doceniali twórczy kunszt.

Dzisiaj cenzury nie ma, za to istnieje autocenzura, która sprawia, że ludzie nie mówią, bo się boją. Albo całkowicie puszczają im hamulce autocenzury i słowami walą na odlew – wtedy brakuje przestrzeni, w której publiczność odszukiwałaby zawoalowaną intencję autora.

W kabarecie mówi się dziś bez finezji.

Ale przecież nie będziemy chwalić cenzury. Brak cenzury jest czymś wspaniałym, chodzi tylko o wybór środków, jakimi chce się przekazywać sensy. Za komuny nie można było powiedzieć, że Gierek jest głupi. A dzisiaj można tak mówić o rządzących, np. że Kaczyński jest głupi. Chociaż zaczyna to być...

No jakie?

W czasach prezydentury Lecha Kaczyńskiego podczas stand-upu opowiadałem historyjkę, jak Lech Wałęsa kiedyś powiedział, że mamy idiotę prezydenta. Mówiłem, że rządzący mają teraz problem, nie wiedzą, czy oskarżyć go o obrazę głowy państwa, czy o zdradę tajemnicy państwowej. I z tego dowcipu śmiali się wszyscy, także ci, którzy popierali Lecha Kaczyńskiego. Dzisiaj nie wiem, czy potrafiłbym to samo powiedzieć o Jarosławie.

Mógłby się Pan narazić?

Dobry przykład: kiedy zagrałem postać prezesa Jarosława Kaczyńskiego w filmie „Polityka" Patryka Vegi, miałem w Krakowie otwierać salę, własność Urzędu Miasta, przeznaczoną na wytworne bankiety, spotkania i konferencje. Poproszono mnie, bym wystąpił ze stand-upem. Wśród gości miała być delegacja z kurii. Jak się ci z kurii dowiedzieli, że będzie występował Andrzej Grabowski, który gra prezesa Kaczyńskiego – działo się to tuż przed premierą „Polityki" – powiedzieli, że nie przyjdą. No i organizatorzy odmówili mnie, by przyszli tamci, na których im zależało.

Czyli cenzura w białych rękawiczkach.

Łatwiej ocenzurować rezygnując z czyjegoś występu, a w zamian wziąć sobie aktora, który wyrecytuje „Inwokację". Ale to też może być uznane za politycznie niewłaściwe, bo niby dlaczego w Krakowie o Litwie...? To może koncert Jankiela? Też nie, bo Jankiel przecież Żyd. To może o kawie powiedzieć? Ale kawa nie jest teraz tania, więc nie denerwujmy lepiej ludzi. No to może „Janko Muzykant"? Ale tam są biedni ludzie, a u nas nie ma biedy. I tak będzie się eliminowało, bo w tekście zawsze znajdzie się fragment coś sugerujący i może ktoś sobie pomyśli, że to szkodzi.

Pan już doświadczył podobnej sytuacji – mówię o spektaklu Teatru Telewizji „19. Południk" z 2003 r., wstrzymanym przed emisją. Zagrał Pan prezydenta Czopa. Rzecz dzieje na początku XXI w. – najpierw Polacy decydują w referendum o niewstąpieniu do Unii, potem prezydentem zostaje wybrany Bartłomiej Czop, człowiek niebezpieczny, cham, demagog i prymityw. Urzędowanie rozpoczyna od brutalnego wyrzucenia z Belwederu eksprezydenta, który chce mu przekazać insygnia władzy. Potem obraża ambasadorów Rosji i Niemiec oraz wciela w życie program walki z przestępczością, likwidując kilkuset skazanych na wysokie wyroki kryminalistów w sfingowanym wypadku.

Ostatnio na YouTubie pokazywałem znajomemu fragment tego spektaklu i pomyślałem, że to nigdy nie było łagodne, ale dziś nie sądzę, by Telewizja Polska zwana publiczną zdecydowała się „19. Południk" wyemitować.

Wtedy telewizja też nie puściła...

Kiedyś na imprezie w Warszawie spotkałem byłego premiera Leszka Millera. Podszedł do mnie i mówi: „Panie Andrzeju, coś panu opowiem. Pamięta pan »19. Południk«? Wyście to nakręcili przed referendum w sprawie przystąpienia do Unii. Przyszedł do mnie Robert Kwiatkowski, szef telewizji, i mówi: »Słuchaj, mam problem. Juliusz Machulski zrobił spektakl, po obejrzeniu nie wiem, co z tym zrobić«. Zadzwoniłem do prezydenta Olka Kwaśniewskiego i opowiadam, co i jak. Zebraliśmy się w trójkę: prezydent, premier i szef telewizji, i oglądaliśmy »19. Południk«, choć kasety z tym spektaklem na Stadionie Dziesięciolecia były już sprzedawane, bo to, co zakazane, błyskawicznie dostaje się w czarny obieg. Po obejrzeniu doszliśmy do wniosku: tak, oczywiście puścić, tylko po referendum. Bo populistyczne poglądy zawsze chwytają wśród ludzi, którzy takich poglądów oczekują i w ogóle nie myślą, że ktokolwiek może widzieć sprawy inaczej. Dobrze jest powiedzieć wyborcom: »Będzie wam się dobrze żyło, będziecie bogaci, zdrowi i szczęśliwi, jak tylko ja będę przy władzy«".

To akurat jest niezmienne: w czasie obecnej kampanii prezydenckiej mówi to przecież każda ze stron.

Przerażający jest rodzaj populizmu prezydenta Czopa. Jankowi Englertowi jako ambasadorowi Niemiec mówiłem: „Pańscy koledzy zburzyli nam Warszawę", na co on odpowiadał: „Moi koledzy?". Więc Czop wskazuje na Janka Frycza, który grał premiera Sławka, mówiąc: „A co, moi?". Ciary przechodzą, gdy Czop rzuca pomysł, by zrobić publiczne egzekucje, bo będzie się to dobrze sprzedawało w telewizji, reklamodawcy zapłacą duże pieniądze, a ludzie będą mieli widowisko.

Którego polityka chciałby Pan jeszcze zagrać?

Z Teatru 6. Piętro dostałem parę lat temu propozycję, by zagrać Stalina w sztuce chilijskiego dramaturga Gastona Salvatore. Bardzo ciekawa akcja: w środku nocy Stalin każe sprowadzić do swojego mieszkania Icyka Sagera, aktora grającego Króla Leara, i zaczyna z nim rozmowę, która z sympatycznej przemienia się w niebezpieczną grę o życie.

Badania wykazały, że „Kiepskich" oglądają przede wszystkim ludzie z wykształceniem podstawowym i wyższym. **Ci z wykształceniem średnim ich odrzucają, twierdząc, że dla nich to za głupie.**

Stalin miał 164 cm wzrostu, Pan jest co najmniej 20 cm wyższy.

Dlatego nie zdecydowałem się na tę rolę. Poza tym byłem wtedy młodszym, choć 145-kilogramowym facetem z dwoma sztucznymi biodrami. I nadal je mam, ale schudłem, a to różnica wyraźnie odczuwalna, jak się nosi 100 kilo, a nie 145. Ta sztuka wymagała też ode mnie sprawności fizycznej – były sceny, w których miałem skakać z pieca. Obawiałem się, czy biodra to wytrzymają.

No dobrze, ale jakiego polityka chciałby Pan zagrać?

Wiem, że kompletnie się do tego nie nadaję fizycznie, i publiczność, znając mnie z dotychczasowych ról, mogłaby mnie nie zaakceptować, ale chętnie bym się wcielił w Dalajlamę.

Dlaczego?

Znam jego poglądy i wydaje mi się, że to dobry człowiek...

I to jest powód?

Kiedyś Janek Nowicki, mój wielki przyjaciel, gdy go zapytałem, jak mu jest z Anią, jego żoną, odpowiedział po prostu: „Ona jest dla mnie dobra i ja jestem dla niej dobry". Wtedy jeszcze wyraźniej do mnie dotarło, że nic więcej nie potrzeba, by być szczęśliwym.

Tyle że dobro w sztuce jest dużo trudniejsze do pokazania niż zło.

Pewnie, że o wiele łatwiej zagrać bandytę. Proszę sobie wyobrazić, że pani gra dziennikarkę w „Pitbullu" , gdzie byłem Gebelsem. Kręcimy scenę, w której pani przeprowadza ze mną wywiad. Co ja wtedy robię? Bez cienia minoderii, prawie bez mrugania oczami, z lodowatym wzrokiem, odpowiadałbym monotonnie na pani pytania. A teraz proszę sobie wyobrazić, że rozmawia pani ze mną jako z Kiepskim. Ile ja musiałbym rzeczy podczas tego wywiadu zrobić – ile razy coś by mi spadło, ile razy bym kichnął, ile razy bym zakaszlał, ile razy bym sięgnął po chustkę do nosa, bo bym się spocił. Jakie ja bym tam musiał stroić miny i ile bym musiał na twarzy wyrazić odczuć. To kolejna różnica między rolą dramatyczną a komediową.

Jeszcze jedna, moja ulubiona odsłona Pana aktorstwa: Pan mówiący wiersze Jesienina w monodramie „Spowiedź chuligana".

Jedyny spektakl, gdzie prezentuję siebie.

Co to znaczy, że prezentuje Pan siebie?

To znaczy, że nie uznaję się za człowieka na tyle ciekawego, by opowiadać o sobie. Wolę skryć się za kogoś, wymyślić postać i ją zaprezentować w roli.

Mówię wiersze Jesienina, który przecież popełnił samobójstwo będąc znacznie ode mnie młodszy – miał wtedy 30 lat.

A mimo krótkiego życia pięć razy zdążył się ożenić, w tym z Isadorą Duncan.

Plus hektolitry wypitej wódki, setki awantur, podróże – niezmiernie barwne życie. I fantastyczna umiejętność analizowania swojego doświadczenia: namiętności, dzikości, alkoholizmu, miłości do Rosji, do zwierząt i do ludzi. W jego wierszach jest prostota, pod którą kipi głęboka filozofia. I ta jego ambiwalencja wobec kobiet – zachwyt i obrzydzenie, tkliwość i złość. Twórczość Jesienina porównuję do agresywnej poezji Charlesa Bukowskiego, tyle że to są zupełnie inne czasy; zmienił się sposób pisania.

Nie widzę Pana jako Stalina, ale widzę jako Charlesa Bukowskiego! ↦

↦ Czasami myślałem, by zrobić monodram z jego poezji. Ale teraz będę grał u Janka Kolskiego w filmie „Republika dzieci". Główną rolę gra dziecko, są korowody elfów i postaci baśniowych. Film o dzieciach, ale z przesłaniem dla wszystkich. Moja postać to anioł Rafał – stróż tego dziecka. Będę miał skrzydła, na których sobie polatam. Będę leniem, któremu się nic nie chce i co rusz namawia dziecko, by sobie odpoczęli. Będę popijał wódeczkę z piersiówki i zazwyczaj zwalał się przy lądowaniu. Mam wyglądać menelowato, tu łysy, tam kępka – dlatego zapuszczam włosy i brodę.

Spróbuję jeszcze namówić Janka Kolskiego, by anioł Rafał z Panem Bogiem od czasu do czasu porozmawiał, tyle że po łacinie. I żebym się trochę zacinał. A jak coś mi się nie uda, to powiem: „*fiat voluntas tua*". Albo jak znowu pociągnę z piersiówki, to zwracając się do góry powiem: „*mea culpa, mea culpa, mea maxima culpa*". A gdy na skrzydełkach uda mi się porządnie wylądować, podziękuję: „*Deo gratias*".

Intryguje mnie Pana miłość do Jesienina. Pana ukochany wiersz?

„Wiele myśli przemyślałem w ciszy, / Wiele pieśni o sobie złożyłem. / Na tej ziemi, co jęk zewsząd słyszy, / Jam szczęśliwy po prostu, że żyłem".

To fragment „Odchodzimy sobie pomalutku", Jesienin napisał go, jak miał 29 lat.

Opowiem pani historię. Przez rok z Agnieszką Wolny-Hamkało, poetką i pisarką, prowadziłem w telewizji program literacki, który nazywał się „Hurtownia książek". To był piękny okres w moim życiu, ale i bardzo męczący, ponieważ przy mojej zawodowej intensywności musiałem wygospodarować czas i nocami czytać trzy książki tygodniowo. I kiedyś omawialiśmy Jesienina w tłumaczeniu Adama Pomorskiego. Przyzwyczajony do tłumaczeń Broniewskiego czy Kamieńskiej, zawartych w dwujęzycznym tomie Wydawnictwa Literackiego, nie potrafiłem przyjąć nowego tłumaczenia.

Do programu zaprosiliśmy jako gościa Janusza Głowackiego, świetnego dramaturga i pisarza, wielkiego kpiarza i ironistę. Pomyślałem, że przecież to człowiek, który nie będzie aż tak kochał Jesienina i że się poróżnimy. Okazało się, że jest zupełnie inaczej. Pamiętam, że rozmawialiśmy o wierszu, który Jesienin napisał własną krwią przed popełnieniem samobójstwa. Pada tam piękna fraza: „W życiu ludzkim – śmierć to rzecz nie nowa / A i życie samo – nic nowego". I Agnieszka, urodzona pod koniec lat 70., powiedziała o tym geście napisania wiersza krwią, że jest pretensjonalny. Z Głowackim rzuciliśmy się na nią, że nie potrafi wejść w tamten klimat, że jest z innego pokolenia, że jest bardziej realistką i dziś to nie są czasy, kiedy poeta był kimś wyjątkowym.

Szczególnie poeta rosyjski.

Gdy Jesienin z Isadorą popłynął do Nowego Jorku, nie wychodził z hotelu, tylko pił wódkę od świtu do świtu, bo nie mógł znieść, że nie jest noszony na rękach.

A ja wczoraj byłem w Kielcach. I pojechałem do Oblęgorka, zobaczyć, jak teraz wygląda pałacyk Sienkiewicza. Jest fantastycznie utrzymany i otoczony parkiem. Pomyślałem, że minęły czasy, kiedy naród potrafił zrobić zbiórkę i wielkiemu pisarzowi ofiarować dworek. To się działo w 1900 r. – pisarze byli doceniani.

A w 1924 r. Stefanowi Żeromskiemu ówczesny prezydent Rzeczpospolitej przyznał mieszkanie na Zamku Królewskim w Warszawie.

A Jurek Pilch, mój przyjaciel od czasów studiów, musiał się przeprowadzić z Warszawy do Kielc, bo tam mógł kupić mieszkanie przystosowane do wózka inwalidzkiego, z którego w pewnym momencie musiał już korzystać.

I żadne polskie miasto nie chciało mu podarować mieszkania.

Jurek zadzwonił do mnie kilka miesięcy przed śmiercią, jeszcze z Hożej, i pyta, czy nie znam agenta od nieruchomości, bo w jego kamienicy jest zbyt wąska winda, by mogła pomieścić wózek, więc musi szukać nowego lokum.

A mieszkanie Olgi Tokarczuk zostało okradzione zaraz po tym, jak dostała Nobla. Taka jest różnica między docenianiem artystów kiedyś i dzisiaj.

Ale dlaczego Jesienin jest Panu tak bliski?

Najprawdopodobniej dlatego, że po trochu jak i on życie prowadziłem... W jego wierszach odnajdywałem cząstkę siebie. Miłością do Jesienina zaraził mnie mój profesor ze Szkoły Teatralnej, Stanisław Mrazek, który w rozmaitych „jesieninowskich" okolicznościach recytował jego wiersze. Kilkunastu z nich nauczyłem się na pamięć słuchając doktora Mrazka. Potem w czasie spotkań towarzyskich sam wychodziłem na stół i recytowałem Jesienina. W Tarnowie robiłem spotkania z Jesieninem.

W roku 1991 grałem „Spowiedź chuligana" w Teatrze STU. Kilka lat temu Krzysiek Jasiński wpadł na pomysł, byśmy na nowo wystawili Jesienina, wykorzystując fragmenty z tamtego spektaklu. To miała być opowieść o młodym i starym Jesieninie. W latach 90. wyglądałem jeszcze jako tako, ale już cztery lata temu byłem mocno starszym panem. Krzysiek wykorzystał zdjęcia mnie samego z młodości i późniejszych okresów. Życie Jesienina i życie Grabowskiego przenikały się. Czasy się pomieszały: stary Jesienin, młody Grabowski, młody Jesienin, stary Grabowski.

Kiedy Pan patrzy na swoje zdjęcia z młodości, co Pan myśli?

Że wtedy, kiedy myślałem, że jestem już stary, byłem bardzo młody.

Z wiekiem zaczął Pan coś bardziej doceniać?

Dobro w najprostszej postaci. Im człowiek starszy, tym więcej tego dobra potrzebuje. I już wie, że dobro oddawane ludziom, zwierzętom, w ogóle wszystkiemu, co go otacza, później do niego wróci. Zacytuję jeszcze raz Jesienina (to przekład Anny Kamieńskiej):

„Odchodzimy sobie pomalutku / W tę krainę, gdzie cisza i błogość. / Może czas już i mnie zbywszy smutku / Zbierać marny dobytek – i w drogę! // Ukochane brzozowe zagaje! / Ziemio ty! I wy, równinne piachy, / Wobec tych, co idą w wieczne kraje, / Trudno smutek skryć uśmiechem błahym. // Nazbyt mocno kochałem na świecie / Wszystko to, co duszę w ciało stroi. / Pokój wam, osiki, co szepczecie / Liść rozplótłszy nad odbiciem swoim. // Wiele myśli przemyślałem w ciszy, / Wiele pieśni o sobie złożyłem. / Na tej ziemi, co jęk zewsząd słyszy, / Jam szczęśliwy po prostu, że żyłem. // Że kobiece całowałem piersi, / Gniotłem kwiaty i trawy w parowie, / I że zwierząt, braci naszych mniejszych, / Nigdy pałką nie biłem po głowie". Uwielbiam ten fragment.

© Rozmawiała
KATARZYNA KUBISIOWSKA

ANDRZEJ

Stasiuk:
Kraina dzieciństwa

Burzyło się, pieniło, przelewało i bulgotało. Jak w jakiejś nieco chłodniejszej Amazonii. Obfitość wychodziła z gruntu i się płożyła nieumiarkowanie, bezczelnie, wszetecznie. Bo to koniec czerwca i ulewy jedna za drugą. Strumienie wód z niebios i zielone spienione soki z ziemi w górę łodygami, badylami, witkami i źdźbłami jak chłodna, słodkawa krew. Znajdowałem zjazdy nad rzekę i szukałem miejsca na obóz.

W końcu znalazłem na rozległych łęgach na wschodnim brzegu. Dobre miejsce, bo w urwisku osiadła kolonia brzegówek. Dziesiątki jaskółek w nieustannym wirze czyściły powietrze z komarów. Zjeżdżałem tam przed zmrokiem, gdy słońce kryło się już za linią drzew za rzeką. Złoty blask opadał na województwo mazowieckie, a tutaj, w podlaskim, robiło się już ciemnozielono i cieniście. Nic dziwnego, bo prawdziwymi granicami krain są rzeki. Pogoda potrafi stanąć u ich brzegów. Potrafi zatrzymać się burza. Wczołgiwałem się do mokrego namiotu. Kołysał mnie chór żab i plusk ryb. O świcie budziła mnie wilga. W porannym świetle mogłem patrzeć, jak czaple i gęsi suną nad zielonym nurtem.

To była kraina dzieciństwa. Przyjeżdżałem tu w latach 60. i 70. minionego wieku. To były rodzinne strony ojca. Spędzałem wakacje w domu dziadków, w domu wujostwa. Chłopiec z miasta, ale przyjmowany jak swój przez niezliczone ciotki, wujenki, babki cioteczne, krewniaków. Nigdy nie mogłem pojąć skomplikowanej sieci tych klanów zasiadających za stołami na Przemienienie Pańskie, bo wtedy w parafii był odpust. Byłem chłopcem z miasta, ale wszystkich pokuśnych, słodkich i zakazanych rzeczy doświadczyłem właśnie tam. Pierwszy raz się upiłem do nieprzytomności, pierwszy raz dotknąłem dziewczęcego ciała, pierwszy raz widziałem nagą, bezinteresowną przemoc. I wszystko zanurzone w półciemnym świetle wiejskiego starowiecza. Jakbym zaglądał do wnętrza baśni. W głąb opowieści, w głąb obrazu, od którego nie można oderwać wzroku i który pozostanie w umyśle, w sercu i pod skórą aż po ostatnie dni.

W letnie miesiące rzeka opadała i na drugą stronę można było przejść brodząc po pas, po chłopacką pierś. Od jednej szarozłotej łachy do następnej. Z tamtego brzegu na ten, gdzie teraz stał namiot. Dotknąć jaskółczego urwiska i wrócić z duszą na ramieniu, bo przecież pod powierzchnią czaiły się legendarne, niewidzialne wiry i sumy wielkie jak człowiek. Ale nurt był senny, łagodny i ciepły. Pieścił szczeniackie, blade ciała, które dopiero w czasie sianokosów i żniw miały zbrązowieć i zdziczeć od słońca.

W nocy, w półśnie usłyszałem potężny plusk w rzece. Myślałem, że to sum z tamtych lat. Sum wielkości człowieka. Rano poszedłem na brzeg. To oderwał się kawałek skarpy podmytej wysokim, szybkim nurtem.

Przez kilka dni wędrowałem po okolicy. Po wsiach przycupniętych tak nisko, jakby chciały naśladować rzekę. Węszyłem za starowieczem. Za zapachem zwierząt, za ciepłą zbutwiałością drewna, za ciemnością po zmroku, w której mało co pełga. Za wyobrażeniami, które nigdy się nie spełnią, ale żyją wbrew czasowi. Wiedziałem, że tego już nie ma, ale przecież przeświecało przez wszystkie moje dni i teraz wypływało na powierzchnię jak ciepły nurt rzeki, który wpada do chłodnego morza.

Rozglądałem się. Wszystko było bardzo podobne, ale całkiem się zmieniło. Zniknęły spłachetki, szachownice pól rozpełzłe po łagodnych wzniesieniach. I wszystko było jakby większe, chociaż powinno być odwrotnie, gdy po latach wracamy do krain dzieciństwa. Było większe, rozleglejsze, bo nadeszły monokultury. Kukurydza po horyzont, rzepak scalający ziemię z niebem. Ciężka pszenica wyległa od ulewnych deszczy. I nie było zwierząt. Kiedyś stały, pasły się albo leżały, żuły po dwie, po trzy na swoich pastwiskach, blisko swoich obejść obsadzonych wysokimi topolami. Teraz też gdzieś były. Skryte w długich na dziesiątki metrów oborach. Niemal nie oglądały słońca, tylko produkowały mleko i nieruchome, uwiązane, porastały mięsem. I jeszcze silosy. Srebrne gigantyczne walce pod koniec lata miały się wypełnić zbożem. Widać je było z daleka. Górowały nad wsiami. Tak jak kiedyś wieże kościołów.

Ciąg dalszy nastąpi. ©

TYGODNIK POWSZECHNY Podkast Powszechny

Nasza nowa Europa

Marek Rabij opowiada Michałowi Kuźmińskiemu o tym, czy wirus i pandemia mają coś wspólnego z globalnym ociepleniem i jak wpłyną na europejską gospodarkę.

Marcin Napiórkowski tłumaczy Marcie Filipiuk-Michniewicz, dlaczego wierzy we wróżkę Unię i dlaczego chciałby, żeby dzieci też potrafiły w nią uwierzyć.

A Adaś Napiórkowski zdradza szczegóły swojej pracy nad wynalazkiem, który poprawi warunki życia ludzi, także poza naszym kontynentem.

Zapraszamy do wysłuchania podkastów na **powszech.net/podkast**

PARTNEREM PODKASTÓW JEST PRZEDSTAWICIELSTWO KOMISJI EUROPEJSKIEJ W POLSCE

Komisja Europejska

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

EAST NEWS

Alejo Carpentier

Sen o Ameryce

TOMASZ PINDEL

Rzeczywistość jest cudowna, bo tak właśnie zostaje ukazana. Ludowe wierzenia to coś, co po prostu się dzieje.

Rok 1943. Alejo Carpentier przybywa na Haiti. Na poły oficjalna, na poły turystyczna wizyta miała stać się dla pisarza wydarzeniem przełomowym: to właśnie wtedy dokonuje wielkiego literackiego odkrycia, którego efektem była szczupła powieść „Królestwo z tego świata" (1949). Wznowienie nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego trzech najważniejszych dzieł pisarza w przekładzie Kaliny Wojciechowskiej to znakomita okazja, by przypomnieć sobie, dlaczego literatura latynoamerykańska drugiej połowy XX w. nie miała sobie równych.

Przymiarki

Carpentier, z czasem uznany za jednego z najważniejszych pisarzy kubańskich, pisarzem wówczas jeszcze tak naprawdę nie był, a i jego kubańskość mogła budzić wątpliwości. Urodzony w 1904 r. w Szwajcarii, z matki rosyjskiego pochodzenia i ojca francuskiego architekta, rzeczywiście spędził pierwsze lata życie na Kubie, na którą jego rodzice przeprowadzili się chyba głównie z ciekawości i znużenia Europą.

Poznawał więc karaibską rzeczywistość bezpośrednio i z dziecięcą intensywnością, odbierając zarazem ponadprzeciętne wykształcenie: rodzice wpoili mu zainteresowanie literaturą i muzyką, uczył się języków. Nie bez wpływu na młodego Aleja pozostawał fach ojca: miłość do kolonialnej zabudowy Hawany (i nie tylko) przebija z późniejszych tekstów Carpentiera.

Młodzieńcze lata spędził częściowo we Francji, gdzie uczył się gry na fortepianie, a częściowo w Hawanie, gdzie podejmował kilka kierunków studiów, ale nade wszystko zaangażował się w dziennikarstwo i działalność polityczną.

Ponoć polityka interesowała go w umiarkowanym stopniu, ale rzeczywistość Kuby – kraju formalnie niepodległego, acz w praktyce zależnego od USA i rządzonego przez mniejszych lub większych satrapów – wymagała opowiedzenia się po którejś ze stron. I to właśnie za działalność opozycyjną Carpentier w 1927 r. trafił za kratki, znajdując czas na pierwszy poważny literacki projekt.

Obyty w świecie i kształcony po europejsku młodzieniec dostrzegał, może z większą siłą niż „bardziej kubańscy" koledzy, niesamowity potencjał wyspy, przede wszystkim jeśli chodzi o folklor afrokubański. Egzotyka i różnorodność kultury mieszkających na Kubie potomków niewolników wydały się Carpentierowi wspaniałym materiałem literackim – i tak narodził się pomysł na pierwszą powieść, zatytułowaną „¡Ecué-Yamba-Ó!" i ukończoną ostatecznie w 1933 r. już we Francji.

Materiał, jak się rzekło, wspaniały, ale efekt okazał się rozczarowujący. I nie jest to moja ocena, tylko samego autora, który przez lata odmawiał zgody na wznowienie powieści. Sęk w tym, że fascynujący świat czarnych Kubańczyków opisany realistycznymi środkami blaknął i tracił powab, wychodziła z tego proza etnograficzna, niemająca nic wspólnego z żarem żywej kultury. Alejo szukał więc dalej, a że we Francji, w której znów wylądował, hulał właśnie surrealizm, wydał mu

ELIOT ELISOFON / LIFE / GETTY IMAGES

Koncert w klubie Kastillito. Varadero, Kuba, 1946 r.

się on interesującą alternatywą. Powstało kilka opowiadań, ale najwyraźniej wciąż to nie było to.

Haitańska epifania

Wszystko zmieniła owa wizyta na Haiti. Carpentier udał się na wyspę z żoną i grupą francuskich aktorów jako oficjalny delegat hawańskiego rządu (w każdym razie tak pisała o nim prasa w Port-au-Prince). Prócz stolicy objechał także wiele innych zakątków kraju – i doznał objawienia, o czym pisze w słynnej przedmowie do „Królestwa z tego świata", wydanej potem także w rozbudowanej wersji jako osobny esej w tomie „Przedtakty i wariacje". To na Haiti pisarz odczuł „atmosferę najprawdziwszych czarów", to tam codziennie stykał się z czymś, co nazwał „rzeczywistością cudowną". Mówiąc krótko: zdał sobie sprawę z tego, że Ameryka – ta Łacińska, a w każdym razie jej karaibska część – jest ontologicznie inna.

„Czymże jest historia całej Ameryki, jeśli nie kroniką rzeczywistości cudownej?" – pyta dobitnie i retorycznie w ostatnim zdaniu przedmowy. Europa – twierdzi – straciła swoją magię. Bezlitośnie kpi z surrealistów, którzy próbują wskrzesić trupa niesamowitości, ale czynią to bez wiary, na zimno, toteż efekty są raczej żałosne. W przypadku świata amerykańskiego wystarczy po prostu patrzeć i opisywać.

Manifest jak manifest: zgrabny i intrygujący, ale łatwo można by go było zbyć wzruszeniem ramion, gdyby nie jeden fakt. Otóż po tej przedmowie następuje licząca niewiele stron powieść, która zaparła dech ówczesnym czytelnikom – i dzisiejszym nadal zapiera. Nie waham się użyć tego słowa – arcydzieło. Opowiada historię czarnoskórego Haitańczyka, Ti Noëla, którego losy toczą się na tle historii Haiti, a owo tło często wysuwa się na plan pierwszy. Czytamy o buncie, któremu przewodził zbiegły niewolnik Mackandal, podsuwający truciznę francuskim plantatorom, z czasem pojmany i publicznie stracony, i o późniejszej rewolcie, na czele której stanął inny niewolnik Boukman. O Paulinie Bonaparte i o tyrańskich rządach Henri Christophe'a, panującego nad niepodległym już Haiti.

Jest to więc typowa powieść historyczna, z fikcyjnym głównym bohaterem, ale całym tłem i postaciami drugoplanowymi odtworzonymi jak najwierniej względem faktów. Tyle że czyta się to jak baśń, jak opowieść niemal fantastyczną, a w każdym razie cudowną. Dlaczego? Clou tkwi w literackiej metodzie. ↦

Tajemnice warsztatu

Może sobie Carpentier pisać we wstępie o uniesieniach, epifaniach, o cudowności niejako ontologicznie przypisanej Nowemu Światu i o potrzebie wiary, jakiej zimni surrealiści nie posiadają. Prawda jednak jest taka, że wyjątkowy smak tekstu osiągnięty został dzięki bardzo przemyślanej i konsekwentnie zrealizowanej strategii.

By zrozumieć, w czym rzecz, wystarczy rzucić okiem na trzeci rozdział części pierwszej, zatytułowany „To, co znajdywała ręka", w którym Mackandal zbiera zioła – dzięki nim nauczy się warzyć zabójczą truciznę. Pisarz realista załatwiłby ten passus stwierdzając, że niewolnik rwał różne rośliny. Carpentier z czasów „¡Ecué-Yamba-Ó!" zapewne wymieniłby gatunki, podał ich lokalne nazwy i przypisywane właściwości. Natomiast Carpentier posthaitański opisuje tę czynność długo, ale akcentując jej niesamowitość i tajemniczość, pod jego piórem łąka staje się niezbadanym i mitycznym światem.

I tak w całej powieści: autor zaciera logiczne rusztowania fabuły, usuwa w cień racjonalne wyjaśnienia, w jego prozie to nie Mackandal podrzuca truciznę, tylko ona sama się rozprzestrzenia, a zwierzęce metamorfozy buntownika pokazane są jako coś, co się po prostu dzieje, a nie jako element ludowych wierzeń. Rzeczywistość jest cudowna, bo tak właśnie zostaje ukazana.

Carpentierowska rewolucja przygotowana została ze składników zupełnie nienowych. Sam pisarz w przedmowie odnosi się do legend z okresu odkrycia i podboju Ameryki, kiedy to hiszpańscy konkwistadorzy, stający wobec egzotycznej przyrody i niepojętych cywilizacji Indian, czuli się, jakby wylądowali na kartach powieści o błędnych rycerzach. „Niektórzy z nas pytali, czy to, co widzimy, nie jest snem. (...) Ujrzeliśmy bowiem cuda, jakich nigdy nie widziano, ani o jakich nigdy nie słyszano" – notował jeden z uczestników wyprawy Cortésa na Meksyk. Carpentier powtarza ten gest, tyle że świadomie: patrzy na kontynent oczyma kogoś z zewnątrz, obcego miejscowej kulturze, a do tego sięga po barokową stylistykę werbalnego rozpasania. Dla haitańskiego wyznawcy voodoo obrzędy tej religii nie są cudowne, bo stanowią część jego codzienności. Dla wykształconego pół Francuza, pół Kubańczyka – tak jak dla nas, czytelników ze Starego Świata – już jak najbardziej tak.

„Królestwo z tego świata" okazało się powieścią przełomową nie tylko dla samego Carpentiera. To jedna z kilku książek, które położyły fundament pod wielką rewolucję w prozie Nowego Świata. Rynkowe następstwa tej twórczej erupcji znane są jako „boom literatury latynoamerykańskiej".

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Carpentier łamał sobie głowę, jak oddać literacką sprawiedliwość kulturze Antyli, Miguel Ángel Asturias wczytując się w sakralną księgę Majów „Popol Vuh" kombinował, jak oddać w prozie perspektywę i wrażliwość gwatemalskich Indian, zupełnie odmienną od „zachodniej", a w sąsiednim Meksyku Juan Rulfo kreślił pierwsze wersje arcymeksykańskiej opowieści o świecie zmarłych, którą świat poznał jako „Pedro Páramo".

Tak rodził się realizm magiczny – acz w przypadku Carpentiera mówi się raczej o rzeczywistości cudownej, *lo real maravilloso*, ponieważ od realizmu magicznego jego proza w pewnych aspektach znacząco odbiega – ale tak też rodziła się w ogóle nowa jakość tamtej literatury. Wspólnym mianownikiem indywidualnych poszukiwań była bowiem potrzeba znalezienia nowego sposobu mówienia o swoim świecie. Latynoscy twórcy znużeni już byli powielaniem europejskich wzorców XIX-wiecznego realizmu, awangardowe pomysły także okazywały się na dłuższą metę jałowe. Trzeba było nowych metod.

Paradoks cudowności

Od połowy lat 40. do roku 1959, w którym to oddziały Fidela Castro wypędzają z Hawany skompromitowanego prezydenta-dyktatora Fulgencia Batistę i jego popleczników, Carpentier mieszkał w Wenezueli i był to dla jego twórczości złoty wiek. To w Caracas pisze „Królestwo...", a potem „Podróż do źródeł czasu" (1952), wznowioną przez PIW dwa lata temu – i wreszcie „Eksplozję w katedrze", ukończoną w 1958 r. i ogłoszoną drukiem w 1962 r., której najnowsza polska edycja właśnie trafia do rąk czytelnika. To będzie jego wielka trójca i przepustka do wiecznej (oby) sławy. Później wrócił na Kubę, zaangażował się w rewolucję i pełnił ważne funkcje państwowe aż do śmierci w 1980 r., znacznie dłużej niż wielu innych twórców, którzy po pierwszych latach swobody zdali sobie sprawę, w którą stronę zmierza reżim. Carpentier dalej pisał, całkiem sporo, ale są to już powieści słabsze niż te z okresu wenezuelskiego.

„Podróż do źródeł czasu" w dość niezwykły sposób uzupełnia i komentuje odkrycie rzeczywistości cudownej. To przedziwna i niezwykłej urody książka. Ktoś kiedyś napisał, że materiał ten bardziej nadawałby się na esej i że przyobleczenie go w powieściową formę w ogóle nie powinno się udać – a udaje się znakomicie.

Jej narratorem i bohaterem jest muzyk i muzykolog, Latynos mieszkający w dużym północnoamerykańskim mieście. Miał robić karierę artystyczną, a tymczasem pisze muzykę do reklam. Życie osobiste – porażka: relacja z żoną jest martwa, na pociechę ma kochankę, tyle że nieco pretensjonalną. I oto nasz znudzony bohater otrzymuje propozycję, by wybrać się w głąb puszczy amazońskiej i przywieźć z niej eksponaty do muzeum: pierwotne instrumenty muzyczne.

Tak zaczyna się podróż przebiegająca – jak sugeruje polski tytuł – wstecz czasu. Z północnoamerykańskiej nowoczesnej metropolii do nieco bardziej chaotycznego miasta południowoamerykańskiego; potem na prowincję i coraz dalej od cywilizacji – w puszczę. I im bliżej natury, tym bohater bardziej odżywa. Wraca do korzeni, zdaje sobie sprawę z miałkości dotychczasowej egzystencji, z pozorności emocji i uczuć. Kochanka okazuje się śmieszna, prawdziwą miłość dać może prosta kobieta z interioru. Im głębiej w puszczę, tym więcej sił, także tych twórczych. To w małej osadzie otoczonej dziewiczym lasem nasz bohater znów jest szczęśliwy, znów zaczyna tworzyć muzykę.

Carpentier kreśli tu wersję znanego co najmniej od czasów oświeceniowych mitu o powrocie na łono natury, o szczęściu, jakie daje przyroda, o wyższości prostoty nad cywilizacją. Narratorowi wszystko się w puszczy podoba, ale dostrzeżenie cudowności prostego życia

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | **www.radiokrakow.pl**

możliwe jest tylko dla kogoś, kto patrzy z zewnątrz. Trud praczek jako wspaniała odwieczna tradycja, którą w naszym świecie zniszczyły pralki? Krojenie mięsa upolowanego zwierzęcia jako wzniosły rytuał? Tak patrzeć może tylko ktoś ukształtowany mentalnie przez tę jakże krytykowaną cywilizację.

„Podróż do źródeł czasu" buduje więc mit powrotu do raju utraconego, a zarazem pokazuje jego złudność czy wręcz fałszywość: taki powrót nie jest możliwy. Nasz bohater – uwaga, spoiluję! – jest w puszczy przeszczęśliwy, ale musi wrócić do cywilizacji – tylko na chwilę!, zarzeka się – bo mu się papier nutowy skończył. Jaki będzie finał tego „chwilowego" wypadu, sugeruje oryginalny tytuł: „Los pasos perdidos" to tyle co „zagubione przejścia"...

Mit okazuje się ułudą. Carpentier przewrotnie dekonstruuje własną wizję z poprzedniej powieści. Cudowność rzeczywistości to jednak pewna literacka – czy szerzej: mentalna – strategia.

Cienie i blaski rewolucji

„Eksplozja w katedrze" to znów powieść historyczna i znów odsłania przed nami cudowność karaibskiego świata: opisy morskich roślin i zwierząt, powracające niczym refren, są popisem neobarokowej estetyki. Centralną figurą jest tu Victor Hugues, postać autentyczna – u schyłku XVIII w. władał z ramienia francuskiego rządu Gwadelupą, wyzwalał niewolników, toczył korsarską wojnę ze Stanami Zjednoczonymi, potem rezydował w Gujanie. Carpentier splątuje jego losy z dziejami trójki młodych Kubańczyków: statecznego Carlosa, zakochanej we Francuzie Sofii oraz młodego Estebana, który przypadkiem trafia do rewolucyjnej Francji, a potem wraz z Huguesem na Gwadelupę, gdzie może obserwować najpierw wprowadzanie, a potem usuwanie rewolucyjnego ładu.

> Carpentier był jednym z tych pisarzy, którzy położyli fundament pod wielką rewolucję w prozie Nowego Świata. **Jego wspaniała trylogia ani trochę się nie zestarzała.**

Ta barwna opowieść, pełna przygód, zwrotów akcji i uczuć na tle egzotycznej scenerii – nawiasem mówiąc gotowy scenariusz na świetny film – układa się w bardzo wieloznaczny komentarz dotyczący rewolucji jako takiej. Carpentier pokazuje, jak szczytne ideały i młodzieńczy zapał przeradzają się w przesadę i terror, a potem zdradzają same siebie.

Nic nie oddaje celniej tej gorzkiej prawdy niż kwestia niewolnictwa – najpierw zniesionego przez Francuzów na fali wolności i równości, a parę lat później bezwzględnie przywróconego. „Jestem politykiem. I jeśli przywrócenie niewolnictwa jest koniecznością polityczną, muszę podporządkować się tej konieczności" – deklaruje otwarcie Hugues w finalnych partiach powieści, stając się wymownym symbolem pragmatycznego cynizmu rządzących. I niby Carpentier nie ma co do rewolucji złudzeń, ale przecież każe dzielnej Sofii wierzyć szczerze, że walka jednak ma sens, mimo ewidentnych zdrad i zawahań, że ferment we Francji i jej koloniach jest jak powiew nieuchronnych zmian w Nowym Świecie. Sofia ma rację: kilkanaście lat później cała Ameryka Łacińska wyzwoliła się przecież spod europejskiego jarzma.

Pracę nad powieścią ukończył Carpentier w 1958 r., jak podaje na końcu tekstu, a więc tuż przed triumfem Fidela Castro – trudno oprzeć się pokusie politycznego jej odczytania. „Eksplozja w katedrze" pod barwnym kostiumem mieści autentyczne studium fascynacji rewolucją – każdą, w tym francuską i kubańską – która niesie zniszczenie i w finale rozczarowanie, ale też nadzieję, bo przecież, jak wykrzykuje w ostatnim rozdziale Sofia, „»Trzeba coś zrobić! « »Co?« »Cokolwiek!«".

Powieści Carpentiera mimo upływu dekad nie przestają intrygować i nie starzeją się ani trochę. Wabią egzotyczną otoczką, ale kryją poważne i aktualne konteksty. W końcu czymże jest historia literatury, jeśli nie kroniką cudowności?

© TOMASZ PINDEL

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

#łąka powszechna

Już rośnie!

Toruń, Wieliczka, Kraków, Gdańsk, Sulejówek, Gdynia, Ełk, Chomętowo, Lublin, Białystok, Grudziądz, Rzeszów, Piaseczno i Kocmyrzów-Luborzyca oraz Warszawa – to tylko niektóre miejscowości, gdzie wzrastają Państwa Łąki Powszechne.

Pokażcie nam, gdzie jeszcze wysialiście swoje nasiona; zróbcie zdjęcie rosnących kwiatów i oznaczcie się na FB lub Instagramie hasztagiem #lakapowszechna wraz z nazwą miejscowości lub adresem GPS albo wyślijcie na adres laka@tygodnikpowszechny.pl

Stwórzmy razem mapę naszej wspólnej łąki – niech zakwitnie!

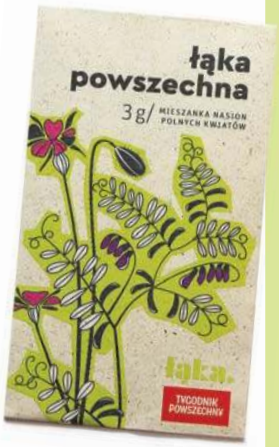

pani łąka

Mieszankę nasion *Łąki Powszechnej* stworzyła Pani Łąka / panilaka.pl – profesjonalny sklep z autorskimi mieszankami nasion łąk kwietnych

AURORA FILMS

Kadr z filmu „Ojciec”

Dżem z pigwy

ANITA PIOTROWSKA

Bułgarska czarna komedia to opowieść o niezdarnych próbach uzgodnienia tego, co wspólne i naprawdę ważne, pomimo przepastnych różnic i złych historii w tle.

W tym roku za granicę podróżujemy raczej wirtualnie – również za sprawą filmów, które skąpym strumieniem zaczynają spływać na ekrany „realnych” kin. Wśród nich jest bułgarski „Ojciec”, zwycięzca ubiegłorocznego festiwalu w Karlowych Warach. Kristina Grozewa i Petar Walczanow, pracujący od lat w duecie, nakręcili tragikomiczną historię o przebiciach z zaświatów. I o tym, że czasem trudniej przebić się do kogoś z tego świata.

Zaczyna się od pogrzebu starszej kobiety – żony, matki, aktorki filmowej z czasów komunizmu. Ten ostatni szczegół jest istotny, albowiem „Ojca” spowija trochę „duchologiczna” mgiełka: zapomnienia, wyparcia, widmowości tego, co było kiedyś. Przyjazd Pawła (Iwan Barnew) do rodzinnej wioski, gdzie odbywa się pochówek, też ma w sobie coś głęboko wstydliwego. Główny bohater na co dzień mieszka w Sofii, zarabia na życie robiąc reklamy i nawet swojej ciężarnej żonie nie przyznał się, dlaczego wyjechał z miasta – jak gdyby chciał jej oszczędzić upokorzeń, których kiedyś sam w domu zaznał.

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim w Wydziale I Cywilnym toczy się postępowanie w sprawie I Ns 1147/19 z wniosku Sławomira Pytkowskiego o stwierdzenie nabycia spadku po Hannie Marii Krasuskiej, zmarłej dnia 25 września 2019 r. w Mińsku Mazowieckim, ostatnio stale zamieszkałej w Drożdżówce.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku po ww., gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postępowaniu o stwierdzenie nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Międzyrzeczu pod sygn. akt I Ns 303/19 wszczęte zostało postępowanie z wniosku Enea Operator Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością w Poznaniu o nabycie przez zasiedzenie ograniczonego prawa rzeczowego w postaci służebności gruntowej odpowiadającej treścią służebności przesyłu, polegającej na prawie utrzymywania na nieruchomości oznaczonej w ewidencji gruntów i budynków jako działka o numerze ewidencyjnym 50, obręb 002 Stary Dworek, gmina Bledzew, powiat międzyrzecki, województwo lubuskie, urządzeń infrastruktury elektroenergetycznej linii wysokiego napięcia 110 kV relacji SE Gorzów – GPZ Skwierzyna, a także całodobowego dostępu do niej, eksploatacji, napraw i remontów, konserwacji, usuwania awarii, modernizacji, przebudowy w pasie służebności o powierzchni 0,0596 ha, a której przebieg został oznaczony na szkicu sytuacyjnym kolorem czerwonym znajdującym się w aktach sprawy I Ns 303/19 k. 87.

Sąd wzywa wszystkie osoby zainteresowane, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosiły się do Sądu i wykazały swoje prawa, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięte w postępowaniu, a sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

Najtrudniejsze okazuje się jego spotkanie z ojcem (Iwan Sawow), nawiedzonym i mocno kabotyńskim artystą, który wierzy w „globalne pole energetyczno-informacyjne", gdzie po śmierci przechowuje się ludzka świadomość. Ledwie owdowiawszy, Wasyl zaczyna słyszeć wokół siebie tajemnicze odgłosy. W poszukiwaniu aury zmarłej żony gotów jest nawet spędzić noc w lesie, a chaos codzienności coraz bardziej układa mu się w mozaikę ukrytych znaczeń. Na dodatek jego sceptyczny syn, próbując ratować ojca z domniemanego obłędu, sam coraz bardziej pogrąża się w oparach absurdu.

Film, inspirowany ponoć autentycznymi zdarzeniami, nie poprzestaje na satyrycznym przedstawieniu typowego konfliktu „szkiełko i oko w starciu z pseudonauką". Zgodnie z sugestią zawartą w tytule „Ojciec" to film o naprawianiu relacji nie tylko pomiędzy żywymi i umarłymi, ale także pośród żywych. Domowe ciepełko i mówienie prawdy są tu bowiem towarem równie deficytowym, co dżem z pigwy – ciążowa zachcianka małżonki Pawła, obecnej zresztą na ekranie wyłącznie za pośrednictwem zestawu głośnomówiącego.

Klimat ojcowsko-synowskich porachunków ma w sobie powiew europejskiej Północy. Kostyczne poczucie humoru kojarzy się raczej z kinem islandzkim czy fińskim, choć dramatyczny rozjazd między Pawłem a Wasylem powiązany jest ściśle ze zmianami, jakie zaszły ostatnimi czasy w dawnych demoludach. Słowem „komunizm" bohaterowie przerzucają się niczym gorącym kartoflem, próbując zaprzeczyć kłopotliwemu dziedzictwu.

Jak na ironię, szemrany bioenergoterapeuta, do którego pielgrzymuje Wasyl, ma swoją siedzibę w pobliżu muzeum wojskowego z czasów sowieckiej dominacji. Dołóżmy do tego ewidentne przytyki do sprywatyzowanej służby zdrowia, mimowolnie popychającej pacjentów w objęcia szarlatanów, czy refleksje na temat prostytuowania się artystów w różnych ustrojach, a dostaniemy krytyczny (mimo że fragmentaryczny) obraz kraju, który ciągle się przepoczwarza. I to właśnie ojców, tych starszych i tych świeżo upieczonych, zafiksowanych na swoich wielkich sprawach, obarcza się tu winą za zerwanie więzi z najbliższymi. Również Paweł, pozostający w wyraźnej opozycji wobec zdziwaczałego rodziciela, może być genetycznie obciążony – czy uda mu się przerwać tę sztafetę pokoleń?

Film Grozewej i Walczanowa najlepszy bywa jednak nie tyle w próbach przemądrzałego diagnozowania, co w zabawnych szczegółach. Scena na zaspanym komisariacie, gdzie funkcjonariusze zabijają czas loterią ze zdrapką, godna jest Jima Jarmuscha. Jak refren powraca w scenariuszu wspomniany już dżem pigwowy, a w jego słoiczku udało się zawekować rozmaite ingrediencje międzyludzkiej natury.

Równocześnie opowieść, której mottem mogłyby być słowa ojca: „Na pogrzeb nigdy nie jest dobry moment", proponuje bardzo oryginalne przepracowywanie żałoby. Pożegnalna modlitwa, schnąca na wietrze bielizna zmarłej, jej wizerunek z młodości utrwalony na taśmie filmowej raz po raz zostają utopione w zawadiackim, by nie rzec, slapstickowym humorze. To wszystko buduje specyficzną aurę „Ojca". Przebija się ona do widza z trudem, jakby od niechcenia, redukując narracyjną atrakcyjność do minimum. Bo tak jak pigwa smakuje cierpko, tak i ten film nie próbuje się do nas łasić. Trudno też komukolwiek kibicować: ojciec i syn w swoim oślim uporze i zakłamywaniu rzeczywistości wydają się chwilami warci siebie nawzajem.

Zwycięża jednak pobłażliwość wobec ludzkiej ułomności. Konia z rzędem temu, kto po doświadczeniu traumy potrafił zachowywać się racjonalnie – sugerują między kadrami twórcy „Ojca". Bułgarska czarna komedia nie traktuje zatem o życiu w potrzasku (ojcostwa, synostwa czy małżeństwa), lecz o niezdarnych próbach uzgodnienia tego, co wspólne i naprawdę ważne, pomimo wszystkich różnic i złych historii w tle. Przypomnijmy: film zaczyna się od sceny pogrzebu, dość groteskowej, ale i mającej swój realny ciężar. Dlatego zamiast się kłócić, śpieszmy się robić dżemy – owoce tak szybko gniją. ©

OJCIEC *(Basztata) – reż. Kristina Grozewa, Petar Walczanow. Prod. Bułgaria/Grecja 2019. Dystryb. Aurora Films. W kinach od 17 lipca.*

WARTO ZOBACZYĆ

1. Szkoła melanżu

Komedia, reż. Olivia Wilde, USA 2019, Cinemax 2, 18 VII, 18.45, HBO GO

Wbrew kuriozalnemu tłumaczeniu tytułu (w oryginale „Booksmart") to nie jest typowe kino balangowe dla młodzieży. Fantastyczne Beanie Feldstein i Kaitlyn Dever wcielają się w licealne kujonki, które na koniec postanowiły zaszaleć. Efektem jest świeże i chwilami bardzo zabawne spojrzenie na szkolnych odmieńców i ich otoczenie.

2. Wszystko dla Samy

Dokumentalny, reż. Waad Al-Kateab, Edward Watts, Wielka Brytania/Syria 2019, nc+ Go, Player

Młoda dziennikarka z Aleppo w szczytowym okresie wojny prowadzi wideodziennik dla nowo narodzonego dziecka. Staje się on wyjątkowym zapisem nie tylko macierzyństwa pod bombami – przynosi też porażający obraz kraju walczącego o normalność. Film został uznany za najlepszy dokument europejski i nominowany do Oscara.

3. Henryk V

Teatr, reż. Vita Maria Drygas, Polska 2020, YouTube

Na kanale Dariusza Rosiaka można obejrzeć czytaną adaptację sztuki Szekspira w nowym świetnym przekładzie Piotra Kamińskiego. Dramat rozpisany został na trzech aktorów: Grzegorza Damięckiego, Piotra Fronczewskiego i Marcina Rogacewicza. Przedsięwzięcie, które powinno być częścią misji mediów publicznych, zostało zrealizowane dzięki crowdfundingowi.

4. Jeffrey Epstein: Obrzydliwie bogaty

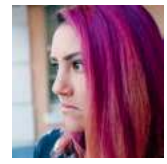

Miniserial dokumentalny, reż. Lisa Bryant, USA 2020, Netflix

Afera ze stręczycielem nieletnich dziewcząt, przez lata „obsługującym" śmietankę towarzyską, będzie trwać jeszcze długo po jego samobójczej śmierci. W czterech odcinkach sensacyjnego serialu poznajemy kulisy działalności Epsteina i jego powiązania ze znanymi nazwiskami. Twórcy oddają głos przede wszystkim jego ofiarom.

SPŁYWAMY!

PIOTR SIKORA

Odkąd nasi przodkowie odbyli pierwszą podróż na wielkim pniu płynącym z nurtem, skonstruowaliśmy mnóstwo rodzajów łódek i tratw. Jedna zasada się nie zmieniła: współpracuj z rzeką.

Bielik wystartował ciężko jakieś dziesięć metrów od nas, nieco na lewo, spłoszony głośniejszym pluskiem wiosła. Zapatrzeni w wielkiego ptaka, mocno odpychającego się skrzydłami od jasnego powietrza, zaryliśmy dziobem kajaka w plątaninę roślin kołyszących się tuż pod powierzchnią wody. Ups! Trzeba odepchnąć się wiosłami i „na wstecznym" wrócić w nurt, który od kilku godzin nam pomaga.

RZEKA WIJE SIĘ WĄSKĄ RYNNĄ. Cztery, czasem pięć metrów szerokości. Do dna – sześć, a miejscami nawet i z dziewięć. Siedząc w kajaku trzeba o tym pamiętać, bo wzrok dostrzega coś zupełnie innego – jezioro rozlane po horyzont. Owszem, gdy masz głowę niecały metr nad powierzchnią wody, horyzont nie jest daleko. Po lewej – teraz – zamknięty trzcinami, dalej – linią lasu. Po prawej – trudno zobaczyć, światło słońca ostro odbija się w wodzie, migocze, oślepia, gdy chcieć poza nie spojrzeć.

W pierwszych dniach maja Biebrza z reguły tworzy szerokie rozlewiska. Poniżej twierdzy w Osowcu, aż do ujścia do Narwi, a na pewno do Brzostowa, leżącego kilkanaście kilometrów wyżej, w szuwarach wśród trzcin gniazduje lub żeruje mnóstwo ptaków. Wodniczki, bataliony, gęsi: gęgawa, białoczelna, zbożowa. Kaczki świstuny i cyranki. Żurawie. Orliki grubodziobe. Bielik, którego widzieliśmy. Dzisiaj mamy szczęście – zwłaszcza do batalionów. Kilka razy mijaliśmy je na odległość wiosła albo dwóch. Kaczki raczej słyszymy. Chowają się, ale niedaleko.

Po kilku odepchnięciach wróciliśmy pod łaskawe panowanie nurtu. Niby leniwy, powolny, ale wyraźnie czujemy – niesie nasz kajak. Zaczynamy współpracować. Wyrównujemy rytm wioseł. Nie za szybkie, ale zdecydowane pociągnięcia. Sądząc z układu trzcin, na wiosnę ledwo wystających z wody, wygląda na to, że przez chwilę rzeka popłynie prosto. To tutaj rzadkość. Zwykle meandruje jak szalona. Gdy patrzeć na nią z góry, wygląda jak wąż.

Odepchnięcia wioseł nie mogą być równe – trzeba pracować mocniej z jednej strony, by wprawić kajak w ruch zgodny z zakrętem rzeki. Ale gdy jeszcze skręcamy w prawo (rufa idzie w lewo), trzeba wyczuć odpowiedni moment – zmienić siłę i kierunek pociągnięć. Bezwładność sztywnego ciała sunącego po powierzchni wody. Teraz prawa ręka musi mocniej popracować, inaczej obróci nas bokiem, a nawet jeśli nie, rzeka zdąży szybciej od nas zmienić kierunek albo wyrzuci nas z nurtu, w miejsce, gdzie woda stoi, półmetrową warstwą od czasu roztopów przykrywając bagno.

SLALOM POMIĘDZY SZUWARAMI to niezła zabawa. Zmysły przestawiają się na tryb wyczuwania woli rzeki, mięśnie rozgrzewają się, oddech przyspiesza. Pełna koncentracja. Dopóki na obrzeżach pola widzenia nie pojawi się coś niespodziewanego, czego nigdzie indziej chyba nie można zobaczyć, co wyrwie nas z transu wiosłowania i przypomni, że to nie zawody, że (niech tam!) może obrócić nas bokiem, możemy zaryć dziobem w trzciny. Bo oto za nimi, tym razem nieco z prawej strony, kilkanaście metrów od nas, biegnie po wodzie, znacznie sprawniej od księcia Apostołów, rozbryzgując w promieniu kilku metrów świetliste krople – łoś. Rusza się jak pod-

OLIVER BOLCH / ANZENBERGER / FORUM

Spływ kajakowy na Biebrzy

lotek, ale – sądząc z wielkości – musi być już dorosły. Kajak w szuwarach. Z otwartymi ustami patrzymy, jak wielkie zwierzę z gracją oddala się coraz dalej i dalej. Wreszcie znika za lasem.

Tak było jakieś dwie godziny temu. Teraz, znowu wygramoliwszy się z trzcin, wiosłujemy równym rytmem, bo rzeka – o dziwo! – płynie prosto. Ręce nieco zmęczone, trzeba już zwracać uwagę, jak trzymamy trzony wioseł, by na dłoniach nie zrobiły się bąble. Specjalne rękawiczki bez palców nieco ułatwiają sprawę, ale jeśli trzymamy dłonie kurczowo w jednej pozycji – nie uchronią przed bólem. Ważny jest rytm. Harmonizacja ruchu tułowia, ręki, oddechu i prędkości kajaka. Jest harmonia – kajak sunie z równą prędkością, nie czuć oporu wody, drogi ubywa szybko, sił – powoli. Zgubisz rytm – kajak zaczyna się szarpać, woda jakby gęstnieje, zaczynasz czuć mięśnie.

Rytm otwiera także drugi wymiar przyjemności kajakowania. Na Biebrzy jest on rzadki, ale na przykład na Bugu... Bug jest szerszy, mniej meandruje. Gdy przed dziobem otwiera się długa prosta, a jeszcze nie ma żadnych konarów, progów, wystających kamieni, krajobraz mija powoli, niewiele się zmienia. Wiosłowanie staje się monotonne. Niektórych to nudzi. Mnie jednak wciąga rytm równych pociągnięć wiosłem wspólny z oddechem, gdy czuję tętno.

Patrzę na wodę, w kąciku oka przesuwa się brzeg. Lewa, prawa, lewa, prawa, lewa, prawa – umysł odbija wodę i niebo, myśli odchodzą wraz z falą wzbudzoną przez kajak. Lewa, prawa, woda, niebo, drzewo, czapla, lewa, prawa... Uwaga! Przed nami konar. Zanurzony pod wodą, widać tylko falę równą jak walec i nieco wyższą niż inne wokół. Koniec rytmu, trzeba zwolnić i ocenić, czy przepłyniemy nad nim, czy musimy ominąć przeszkodę.

KONARY, GŁAZY, NISKO NAD WODĄ zwisające gałęzie gwarantują jeszcze inny rodzaj gry z rzeką. Nurt w takich miejscach często przyspiesza, podwyższa poziom trudności. Trzeba ocenić, którędy ↦

↦ płyniemy, czas na decyzję umyka. Zła decyzja – zgrzyt, siedliśmy na kamieniach. Kajak obrócił się bokiem, rufa oparła się o wbity w dno konar. Mocny nurt przyciska nas do mokrego drewna. Omszone i śliskie – trudno się od niego odepchnąć. Pod dziobem chrzęszczą kamienie. Odpychamy się wiosłem – z całej siły – od dna. Kajak rusza, dziób ucieka z nurtem, wydostaliśmy się. A jednak znowu chrzęst (czy dno wytrzymało?), utknęliśmy między głazami.

Muszę wyjść ostrożnie z chybotliwej łódki, lodowata woda podcina mi nogi, podpieram się wiosłem, spodenki i koszulka kleją się do ciała. Opieram się o kajak i powoli przepycham pomiędzy kamieniami przykrytymi kilkucentymetrową warstwą wartkiej wody, trochę go pcham, trochę się go trzymam, by nie stracić równowagi. K. pomaga wiosłem, pilnując, by dziób pokazywał, gdzie nurt. Docieramy do nieco spokojniejszej wody. Wsiadam. Płyniemy.

TAKIE PRZYGODY to raczej na Bugu, Nidzie, Wdzie. Nie na rozlewiskach Biebrzy. Tutaj za to, kiedy kwietniowo-majowe słońce już niżej, robi się chłodno. Choć trochę cieplej niż o poranku, gdy zwijaliśmy namiot na Białym Grądzie. We mgle. Od spodu, przy wodzie – szarej. Wyżej, jakieś dwa metry nad głową – złoto-kremowej, trzeba zmrużyć oczy.

Gdy spuszczaliśmy kajak na wodę, przy pierwszych odepchnięciach wiosła nie było jeszcze widać, że rzeka płynie w bezbrzeżnym jeziorze. Stopniowo robiło się jaśniej, wzrok sięgał dalej, ujawniły się trzciny. Ale brzegu, do którego można by przybić, nie ma. I nie będzie przez cały dzień, aż do Brzostowa, gdzie jest kolejne miejsce biwakowe, jedno z kilku zaledwie. Zanim tam dopłyniemy, możemy co najwyżej wpłynąć w szuwary. Tu mogą ukryć się kaczki, umie poruszać się łoś – ze swoimi nogami po ludzką szyję i kopytami szerokimi jak pióro wiosła. Ja w tę plątaninę roślin na bagnie nie wyjdę. W takiej sytuacji nieroztropnie zbyt dużo pić.

Na szczęście Brzostowo już niedaleko. Zapatrzeni na rodzinę batalionów znowu zgubiliśmy nurt, dogonił nas inny kajak. Pierwsi ludzie od kilku godzin. To pora lęgowa, by tu wpłynąć, trzeba w Parku Narodowym uzyskać pozwolenie. Dziennie wpuszczają dwanaście kajaków. Słońce zachodzi, widać już niewielką łączkę. Na niej namiot. Woda świeci. Tyłek boli. Jest pięknie.

> Z dachu tratwy możesz podziwiać krajobraz doliny Biebrzy: szuwary, łąki, na horyzoncie lasy. Orlik zatacza kręgi. Wydaje się mniejszy niż trzcinniczek, który usiadł tuż obok nas.

PO BIEBRZY MOŻNA pływać nie tylko kajakiem. Latem polecam tratwę. Długą na sześć metrów, szeroką na trzy. Sprytna konstrukcja mieści na tej powierzchni coś na kształt malutkiego domku z dwiema pryczami i miejscem na bagaż, zadaszony taras z dwiema ławami i stołem, a wszystko to otoczone mniej więcej metrowym pasem pokładu. Taras ma rozsuwane ściany – w razie potrzeby można zrobić z niego drugą część domku do spania. Można też wejść na dach, a nawet rozbić tam namiot dwójkę, przyczepiając go do specjalnych uchwytów. Na tratwie może więc spać sześć osób. My płyniemy tylko we dwoje – co za luksus przestrzeni!

Zapłatą za luksus jest więcej pracy. Gdyby nas była szóstka, można by się zmieniać przy kilkumetrowych drągach, którymi odpychamy się od dna albo brzegu. Nie tyle po to, by wprawić tratwę w ruch – jest bardzo ciężka – co utrzymać ją w nurcie rzeki. To ona wprawia nas w ruch. W tempie, mniej więcej, powolnego spaceru. Gdyby nas była szóstka... No ale skoro płyniemy we dwoje, to odkąd ruszyliśmy ze Sztabina, dwie godziny temu, stoimy oboje na dziobie (o ile prostokątna tratwa ma dziób) i uczymy się współpracować z rzeką.

Słońce zachodzi, robi się późno. Droga z Krakowa nad Biebrzę zajęła nam większość dnia. I jeszcze formalności wynajmu tratwy. A także podwózka furgonem z przydomowego parkingu, gdzie zostawiliśmy auto, nad brzeg rzeki, a tam instruktaż, co wolno (a czego nie wolno) robić na naszym drewnianym statku.

PRZEWAGA TRATWY nad kajakiem: nie trzeba się martwić o miejsce na nocleg. W górnej części Biebrzy, od Sztabina do twierdzy w Osowcu (niżej tylko kajakiem), latem dość łatwo znaleźć w szuwarach kawałek twardego w miarę gruntu i – wbijając w ziemię długi zaostrzony palik – przycumować tratwę. Tak też robimy, gdy tylko Sztabin niknie nam z oczu. Zwycięża zmęczenie i chęć gapienia się w wodę oraz słuchania, jak dźwięki nocy zaczynają wygrywać z hałasem dnia.

Budzi mnie ból lewego biodra. Karimaty się rozsunęły, spałem na twardym drewnie pryczy. K. nie ma. Wychodzę na pokład. Zimno. „Chodź do mnie" – słyszę z dachu. Wspinam się po drabince. Zdążyłem na wschód słońca. Czubki trzcin najpierw robią się rude. Potem złotawe. W końcu wracają do swojego zwykłego koloru. Słońce z czerwonego talerza na powrót staje się rozżarzoną kulą. Będzie upał. Schodzimy z dachu robić śniadanie.

Po kilku godzinach zabawy w ciasny slalom ciężką tratwą za pomocą dwóch drągów nauczyliśmy się wyczuwać nurt rzeki i wykorzystywać bezwładność naszego płaskodennego prostokąta. Nie lądujemy już w trzcinach, chyba że zakręt jest wyjątkowo ostry. Przypiekani z góry, coraz bardziej łakomym wzrokiem spoglądamy na równą toń wody. To nawet widać, że zimna. Czysto czarna powierzchnia miejscami pokryta żółtymi grążelami. Kierunek nurtu pokazują wijące się tuż pod powierzchnią szerokie trawy – nie znam ich nazwy. Rozumiemy się z K. bez słowa. Pokazuję ręką przed siebie, kiwa głową, z impetem wpadamy przodem tratwy w szuwary. Do połowy długości wryła się w gęste trzciny, nie zniesie jej. Drabinkę do wychodzenia na dach zaczepiam o pokład i schodzimy do wody. Całe szczęście, że powstrzymaliśmy się od skoku – szok termiczny mógłby zatrzymać krążenie.

TROCHĘ PÓŹNIEJ, znowu w szuwarach, robimy obiad. Mija nas stado kajaków. Uświadamiamy sobie kolejną przewagę tratwy. Od wiosny trzciny zdążyły wyrosnąć nad wodę na wysokość człowieka. Kajakiem płyniesz jakby w wąwozie. Dopiero z dachu tratwy możesz podziwiać krajobraz doliny Biebrzy: szuwary, dalej łąki, na horyzoncie lasy, gdzieniegdzie

TOMASZ TOMASZEWSKI / FOTONOVA

Dolina Biebrzy, spływ tratwą po bagnach biebrzańskich, 2012 r.

pola. Orlik zatacza kręgi, daleko, wydaje się mniejszy niż trzcinniczek, który usiadł tuż obok tratwy.

Nigdzie się nam nie spieszy. Nie musimy nigdzie dopłynąć. Zresztą wyczucie odległości tutaj wariuje. To przez te meandry. Płyniesz i płyniesz, jesteś pewien, że tratwa zrobiła z kilometr. Wychodzisz znowu na dach i spostrzegasz to wielkie drzewo, które minąłeś ponad godzinę temu, jak rośnie mniej więcej dwieście metrów od ciebie. Nic to. Możemy pracować drągami. Możemy też, siedząc na dachu, pozwolić tratwie obijać się o szuwary, raz z jednej strony, raz z drugiej. A niech się nawet obróci tyłem do przodu. Patrzymy, czujemy, czytamy.

Znowu znaleźliśmy miejsce dobre do zacumowania. K. czyta książkę o znakach ludzi pierwotnych, dzieląc się ze mną co ciekawszymi odkryciami autorki. Oni na pewno, myślę, też mieli tratwy. Nie mogę się zdecydować: Ewagriusz z Pontu? Joe Alex? Trochę tego, trochę tego. A pomiędzy książkami – i po nich – pogapię się w wodę.

SŁOŃCE BĘDZIE ZACHODZIĆ. Wchodzę do domku przygotować miejsce do spania. – Kurwa! – wyrywa mi się. – Ile tu much!

– Gdzie twoja szlachetna *apatheia* i spokój kontemplacyjny? – pyta K. z dezaprobatą i wchodzi za mną. – Jezu! Wygoń je, proszę!

Są ich chyba setki. Gdy wchodzimy, wzbijają się w powietrze. Bzyczącym chaosem otaczają mnie zewsząd. Macham jakimś papierem, który leżał pod ręką, próbuję wygnać owady na zewnątrz. Część wylatuje, część bzyczy mi w oczy, wysysając wszelkie pokłady współczucia dla czujących stworzeń. Walę w nie na odlew najlepszym na świecie katolickim pismem społeczno-kulturalnym. Walka trwa kilkanaście minut. Wygrałem. Rozkładam na pryczy karimaty i śpiwory.

Ale nie chce się nam jeszcze spać. Siedzimy na tarasie tratwy. Uczymy się dźwięków nocy. Nie chce się gadać, jest dobrze. Dolewam wino do kubków. Dźwięki nocy są dziwne. Uderzają z zaskoczenia: umysł już przysypia, lecz budzi się raz po raz, nie godząc się na nieznane. Oczy powoli zaczynają się kleić. Gasimy lampę naftową. Wsuwamy się do śpiworów.

©℗ PIOTR SIKORA

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 29/2020

REDAKCJA: Monika Ochędowska | PROJ. GRAF. Marek Zalejski // Do Lasu
FOTOEDYCJA: Grażyna Makara, Edward Augustyn | SKŁAD: Zuzanna Kardyś

TYGODNIK POWSZECHNY

Spróbuj na lato, zostań na lata

Kup prenumeratę „Tygodnika Powszechnego” w ofercie #lato

- otrzymasz 13 numerów pisma – pod wskazany adres bez dodatkowych kosztów wysyłki

oraz

- GRATIS natychmiastowy 3-miesięczny dostęp online o wartości 50 zł

~~170 zł~~ → **120 zł!**

Nie przejmuj się zasięgiem – czytaj, jak chcesz, gdzie chcesz i kiedy chcesz dzięki połączeniu wydania papierowego i cyfrowego na #lato

Sprawdź szczegóły oferty i kup na powszech.net/lato

Kontakt w sprawie prenumeraty:

Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 668 479 075
lub e-mail: prenumerata@tygodnikpowszechny.pl
– wydania drukowane

Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101
lub e-mail: kontakt@powszechswiat.pl
– wydania cyfrowe

Regulamin prenumeraty i promocji na powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago
marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

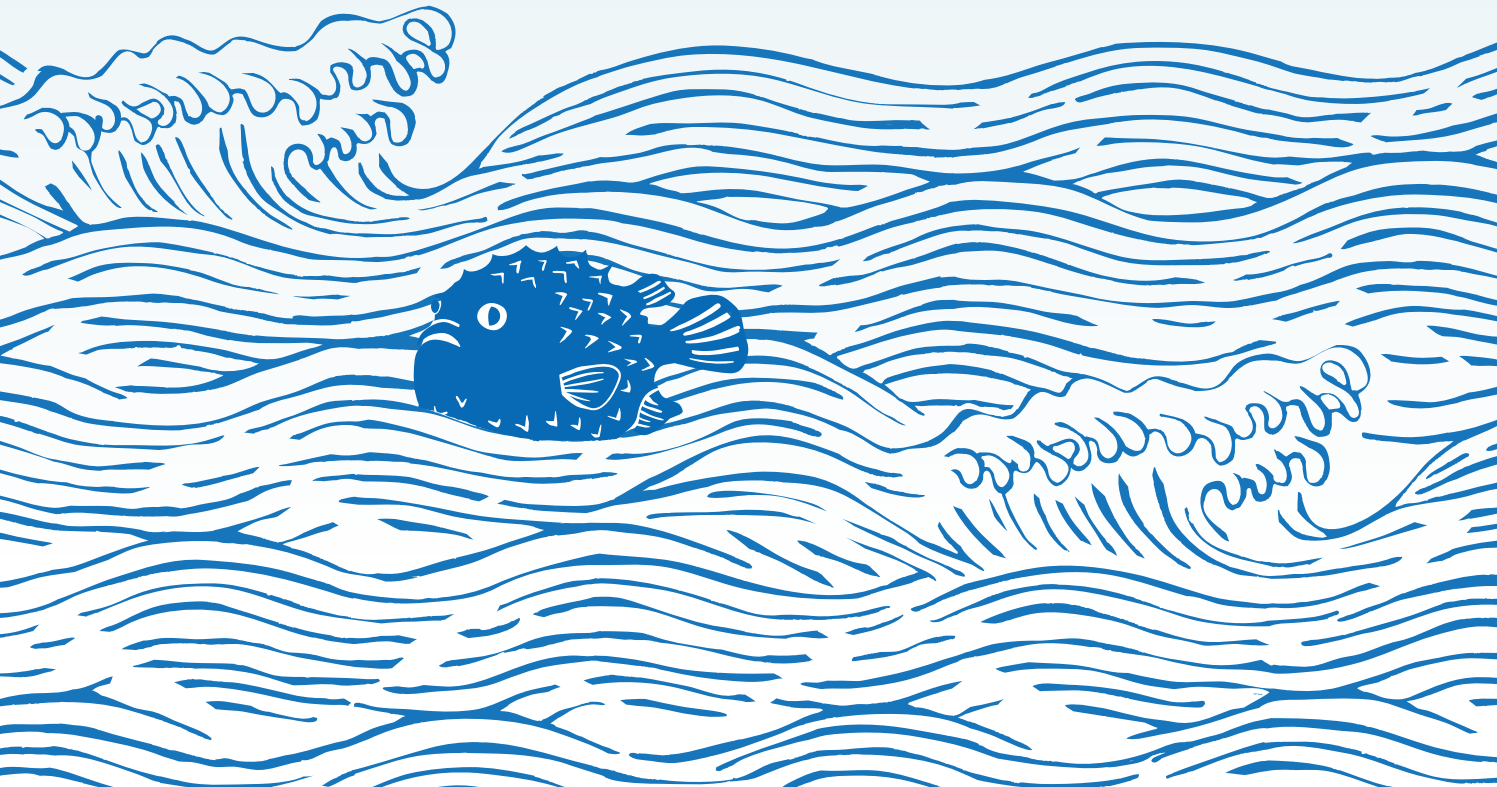

Nie ma fal

ADAM ROBIŃSKI

W staniu na desce najbardziej lubię tę bardzo ludzką perspektywę. Że jest się nie tylko sapiens, ale i erectus – wyprostowanym.

Zaczęło się od szczeniackiego marzenia, żeby się zaprzyjaźnić z oceanem. Nie tyle okiełznać fale, co raczej skorzystać z rządzących nimi praw hydrodynamiki. Poślizgać się w słońcu. Nikt jeszcze wtedy nie surfował na Bałtyku, a jeśli to robił, to raczej się nie chwalił. Kalafiornia, jak dziś mówi się na zachodniopomorskie plaże, wciąż pozostawała nieodkryta.

Trzeba mi było pojechać tam, gdzie o powstawaniu fal decydują nie kapryśne i chaotyczne podmuchy, tylko prawdziwe oceaniczne sztormy. W miejsce, którego rytm życia wyznaczają tabele przypływów i odpływów. Rozsądek podpowiadał Portugalię i rajskie cyple okolic Peniche, gdzie fale mogą iść z czterech stron świata. Albo chociaż Zatokę Biskajską. Ale marzenia i rozsądek rzadko idą w parze. Ktoś rzucił nazwę Croyde i właśnie tam, w Devon, się znalazłem. Na plaży w kształcie croissanta, w oceanie spienionym jak lane z kija, karmelowe piwo ale.

Przez tydzień dzień w dzień lazłem z polistyrenową deską w fale, żeby dać im się sponiewierać, a Carlo, mój trener, udawał, że idzie mi nieźle. Wieczorami poobijany i wypruty z sił wtaczałem się krętą ścieżką na klify i patrzyłem, jak lepsi ode mnie czekają na popołudniowy rozkołys oceanu. Desek było mrowie, i długich, i krótkich. Bodyboarderzy na lewo, surferzy na prawo, głosiły znaki na plaży. Czasem ktoś się zagapił, w wodzie się kotłowało, a potem trzeba było szyć czoło albo ramię.

Gdzieś w tym zamieszaniu po wodzie sunęli też dziwacy, którzy oprócz desek mieli jeszcze po wiośle. Trochę się z nich naśmiewałem. Że niby emeryci, którym nie chce się już kłaść na wodzie, bo kiedy przyjdzie odpowiednia fala, nie będą mieli siły z niej wstać. Cały ten SUP, *stand up paddling*, albo po prostu „słup", wydawał mi się pójściem na łatwiznę.

Ćwiczenia z melancholii

Potem było do przewidzenia. Ocean nie zbliżał się do Warszawy, więc surfingowe hobby wymagało nadludzkich wyrzeczeń. Latania przez cały kontynent, na które szkoda było urlopu. Bo – jak słusznie zauważył Kasper Bajon – miłość Polaków do surfingu nie jest odwzajemniona. Nie może być. Surfing „to nie ciskanie się na spienionej fali, tylko godziny spędzone w wodzie, czekanie na moment, patrzenie na horyzont, rozmyślanie o głębinie pod stopami, o tej niezbadanej, bezdennej otchłani, na której powierzchni się kołyszemy". Tak, łapanie fal jest ćwiczeniem z melancholii, którego nie da się załatwić raz do roku między piątkiem a poniedziałkiem.

Porzuciłem więc motykę i dałem słońcu spokój. Na SUP-ie stanąłem pierwszy raz na Jeziorze Zegrzyńskim. Fajnie było znów poczuć dechę pod stopami. Kołysanie i ten dziwny spokój bijący od wody. Złapałem nawet kilka mikrofal spod motorówek i skuterów. Więc najpierw miało być trochę zamiast, ale zaraz zrozumiałem, że to zupełnie nie tak. Że ta deska z wiosłem to tak naprawdę młodsza siostra kajaka.

W uproszczeniu można powiedzieć, że tak samo kombinowali ojcowie tej dyscypliny. Od co najmniej trzech tysięcy lat rybacy z wybrzeży dzisiejszego Peru pracowali na prostych, wyplatanych z turzyc łodziach napędzanych długim bambusowym kijem. Podobny kształt miały nadbużańskie dłubanki ciosane z grubaśnych sokor. Albo łódka faceta, którego w 1886 r. uwiecznił na bagnach wschodniej Anglii fotograf Peter Henry Emerson.

Zwróćmy jednak sprawiedliwość tym, którzy wprzęgli trzymanie pionu na wodzie w machinę przyjemności. Podobno pierwsi byli instruktorzy surfingu na Hawajach, którzy sprytnie skonstatowali, że z góry lepiej widzą swoich podopiecznych oraz nadciągające fale (niektórzy twierdzą, że szybciej do podobnych wniosków doszli ratownicy morscy z Tel Awiwu). Bobby Ah Choy, pionier z plaż Waikiki, pod pachę brał jeszcze aparat fotograficzny. Przed oczami mam zdjęcie: dziarski dziadek w żółtej bluzce na ramiączkach, wysokie czoło, siwe włosy zaczesane do tyłu, i ten uśmiech, jakby stał nie na desce, tylko na Evereście. Wiosło w prawej dłoni, nogi właściwie proste, o wiele prostsze niż trzech młodszych gości, których widać kawałek dalej na tej samej fali.

Surfer z Żerania

Po śmierci Ah Choya branżowy magazyn „Surfer" poświęcił mu laurkę. „Cieszymy się, że przed śmiercią Bobby mógł cieszyć się owocami swojego wpływu na świat pływania na stojąco". Rok przed śmiercią, w wieku 65 lat wystartował w pierwszych w historii zawodach na macierzystej plaży. Scenarzysta tandetnej hollywoodzkiej biografii lepiej by tego nie wymyślił: Ah Choy doszedł do finału i choć wygrał kto inny, to i tak wzruszony senior przejął z jego rąk puchar.

Był rok 2006, deskarzy z wiosłami widywało się już regularnie na surfingowych spotach Hawajów i Kalifornii, ale trzeba było geniusza marketingu, który zobaczył w SUP-ie o wiele większy potencjał: skoro już samo stanie na wodzie sprawia frajdę, to wynalazek z Waikiki sprawdzi się też choćby na Kanale Żerańskim. W 2009 r. *stand up paddling* stał się najszybciej rozwijającym się sportem wodnym w Stanach Zjednoczonych. Pamiętam zdumione spojrzenia kajakarzy, których w połowie bieżącej dekady mijałem na Wdzie. O statusie ↦

JACEK MARCZEWSKI / AGENCJA GAZETA

Wisła. Warszawa, lipiec 2015 r.

↦ „słupowania" w roku 2020 świadczyć może oferta największej sieci sportowych marketów. Coraz więcej miast organizuje deskowe masy krytyczne. Niedługo Dawid Podsiadło będzie musiał zaktualizować tekst swojego przeboju. To, że nie ma fal, nie jest już żadną wymówką.

W byciu „słupem" najbardziej lubię tę ludzką perspektywę. Że jest się nie tylko *sapiens*, ale i *erectus*. Oczy na wysokości metra siedemdziesiąt, mokre stopy i suchy tyłek. Widać nie tylko dalej, ale głębiej. Powierzchnia jeziora przestaje być nieprzekraczalną granicą bezdennej otchłani o barwie ciemnego granatu. Jest raczej czymś na kształt okna, przez które podglądasz ten drugi, zupełnie inny świat. Taniec ramienic i migotanie ryb. Labirynt łodyg, którymi patelnie grążelich liści trzymają się dna. Cierpliwe wędrówki szczeżuj.

Kiedy trzeba, mogę prawdziwie zamienić się w słup soli. Bez chlupotu trącić taflę krańcem wiosła, wyhamować, obrócić się na pięcie, a potem, niezauważony, zaglądać kaczkom w gniazda schowane w trzcinach. Albo udawać, że mnie nie ma, kiedy z zagadkowych przyczyn nadpłynie łyska. Jak kameleon wtopić się w otoczenie.

Włóczywiosło od słów

Ale najbardziej cenię mobilność. Że mogę tak z jeziora na jezioro niczym pijany szczęściem trzmiel w lipowej alei. Deska po wypompowaniu składa się w zgrabną kanapkę i razem z całym osprzętem – składanym wiosłem, płetwą, pompką i ciuchami – mieści do kilkudziesięciolitrowego plecaka. Rozkłada się – o wiele szybciej niż najbardziej literacki z kajaków, przedwojenny, z fabryki w Piastowie, którym polskie rzeki i jeziora zwiedzał Igor Newerly.

„Toć to jak żona albo jak przyjaciel!", mawiał o nim pisarz. Kiedy nadchodziło lato, pakował się z nim do pociągu i na parę miesięcy znikał z Warszawy. W 1939 r., w przededniu wojny, przepłynął niemal całą Polskę od granicy do granicy. W dziesięć tygodni zrobił trzy tysiące kilometrów. „Jakbym chciał coś w sobie rozwiosłować, czymś się zachłysnąć na długo", pisał potem. Mówił o sobie „włóczywiosło" i że do literatury po prostu wpłynął.

Oglądałem jego kajak – nie ten składany, ale inny, ciężki, pancerny, który zbudował od zera sam, gdy już opadł wojenny kurz. Wsparł się projektem popularnego przed wojną peteteka. Konstrukcja z litej sosny i sklejki ważyła 30 kilogramów, a po drodze łatano ją jeszcze miedzianą blachą. Kajak był mało poręczny, więc służył Newerlemu raczej stacjonarnie, na Mazurach, gdzie miał drugi dom. Tam go obejrzałem, w stodole przy domu pracy twórczej imienia pisarza w Zgonie. Potrzeba by chyba lawety, żeby go stamtąd zabrać.

Jasne, fajnie byłoby tarzać się w blasku Pacyfiku. Ale jeśli mam deptać czyjeś pięty, to raczej nie Bobby'ego Ah Choya, lecz redaktora-krajoznawcy, któremu z wody Polska wydawała się po prostu ładniejsza. Kiedy mieszkałem nad samą Wisłą, żeby się rozwiosłować, ruszałem spod któregoś mostu i kończyłem na Bielanach. Potem sto osiemdziesiątką piątką, z deską na plecach, wracałem do domu.

Dziś sezon zaczynam raczej na Isągu koło Łukty. Co roku wypatruję znajomego bielika i śladów rozrastającej się cywilizacji bobrów. Czasem udaje mi się popływać z zaskrońcem albo pobawić w chowanego z perkozem. Jaki kraj, takie delfiny. A potem spuszczam powietrze, wrzucam sprzęt do bagażnika i jadę nad inne jezioro. Mamy ich więcej niż Hawaje plaż z dobrą falą. Wystarczy na parę dekad pływania. ©

REKLAMA

POLIN
Muzeum Historii Żydów Polskich
MURANÓW
WYSTAWA CZASOWA
ul. Anielewicza 6
00-157 Warszawa
TU MURANÓW
26.06.2020 – 22.03.2021
polin.pl
Współorganizator:
STOWARZYSZENIE ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY W POLSCE
Iceland Liechtenstein Norway grants
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Wsparcie finansowe wystawy:
JOSEPH FEINGOLD
Partnerzy wystawy:
NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE
Bud uje My!
ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY
Westfield
Partnerzy medialni:
zwierciadło
sens
HISTORIA
VIVA!
wyborcza.pl
ams
VOGUE
STOLICA
naszemiasto.
Newsweek
onet

JAN

Klata:
Ciułanie cichoszy

Proszę państwa, oto myśl. Myśl jest bardzo grzeczna dziś: obaj kandydaci robili szwindel, ale jeden z nich w dobrej wierze. W sensie, że cel uświęci środki. Znaczy, że inaczej się nie da, bo jest jak jest, elektorat wygląda, jak wygląda, ale nie ma co rozwijać tematu, żeby się człowiek nie otarł o klasizm.

A z klasizmem jak z rekinem, człowiek krwawi po otarciu z gruboskórnym. Nie ma co pisać, że obydwaj wybrańcy drugiej rundy urągali zdrowemu rozsądkowi, obiecując ludziskom Niderlandy, gwiazdkę z nieba oraz czterdziestą czwartą emeryturę na każde dziecko.

Wszyscy świetnie znają swoje role, my też, my – odpowiedzialny elektorat – mamy to wykute na blachę przez ostatnie... no właśnie: wiele, wiele lat. Jedyna różnica, że teraz wystąpiliśmy w przyłbicach, bo pandemia. Dla Ojczyzny ratowania rzuciliśmy się przez morze, w którym podgrzewane są żaby – czyli my. Jeśli mętnie zabrzmiało: dobrze, bo jest mętnie, generalnie, bagiennie, ale – niestety – coraz bardziej swojsko.

Tyle osobistości się przedwcześnie, ale z sukcesem pochowało na czas kampanii: Prezes (choć nie całkiem), Inkwizytor Smoleński, Naczelny Poczmistrz, Überrespirator. Ani mru-mru, jedna wielka rezolutna cichosza – co im, panie dzieju, wyszło z badań przedwyborczych. Więc nie było czas jakiś wielce zasłużonych włodarzy, jak gdyby nigdy nic, ani widu, ani słychu. Pochowani niby na amen, ale tymczasowo, oczywiście. Zawczasu, zapobiegliwie pochowani. Nieostatecznie, bynajmniej. Zombie w zombie, oni wrócą! Wystrzelą jak korki od szampana. Kiedy? Uciuławszy promile swoją uprzednią nieobecnością.

Kto to wszystko będzie sprzątał? Jak to wszystko nasze na dwa rozpęknięte poskleja? Da się? Zobaczymy. Jak zwykł mawiać Nelson Mandela: „Z władzą jeszcze nikt nie wygrał”. ©

Lektor:
Chwile istnienia

▪ *Agi Mishol*
JESTEM STĄD. WIERSZE
Wybrały i przełożyły Angelika Adamczyk i Justyna Radczyńska oraz Beata Tarnowska. Posłowie Edward Hirsch.
Wydawnictwo a5, Kraków 2020, ss. 176. Biblioteka Poetycka tom 109.

W wierszu otwierającym elegijny cykl poświęcony pamięci matki Agi Mishol pisze: „twój język ojczysty nie jest moim językiem”. Mishol jest bowiem poetką języka hebrajskiego, choć urodziła się w 1947 r. w rumuńskim miasteczku Cehu Silvaniei w domu węgierskojęzycznych Żydów jako Agnes Fried i dopiero jako kilkuletnia dziewczynka wyjechała z rodzicami do Izraela. Z przeszłości powraca we śnie kiosk pana Grossa, króla słodkich skarbów (lukrecjowe rybki, cukrowe koguciki z czerwonym grzebieniem). I trwa pamięć Zagłady, która nie ominęła Transylwanii/Siedmiogrodu, krainy należącej podczas wojny na zmianę do Rumunii i do Węgier. „O mojej siostrze, która z dymem poszła / do nieba, / wiem tylko dwie rzeczy: / jak miała na imię / i że zamiast niej – moje życie”. Dramatyczny to spadek, ale poezja Mishol – jakby w imię przekazanego mimo wszystko życia – jest żywiołowa i zmysłowa, otwarta na naturę i pełna empatii wobec ludzi. Są w niej erotyka („Pieśń miłosna”, „Blaszak”), ciało i jego starzenie się (mocny wiersz „Portret własny z pejzażem w błysku flesza”, zaczynający się od słów „Ten tyłek, który niespodzianie / ukazał się moim oczom / w lustrze odbijającym lustro...”), no i zwierzęta, które pojawiają się tu nieustannie. Urzeka wizja wniebowstąpienia, podczas którego za bramą zaświatów wita nas „biały, kudłaty Owczarek”, a z nim „kundel zabłąkany pod Rechowot”, pokolenia kotów, myszy wyniesione z domu na pole, nawet „pająki uratowane od miotły / sprzątaczki”. Migawka z hipermarketu („popycham wózek jak matka / dwóch kalafiorów”) rozrasta się w poemat. We wstrząsającej miniaturze ze wspomnianego cyklu o matce realia medyczne zderzają się z językiem biblijnym: „Ginekolog, który badał twoją macicę / napisał w karcie: *Total collapse* / a ja przetłumaczyłam: upadek Pierwszej Świątyni”. Pisze Edward Hirsch: „W wierszach Mishol jest jakaś magiczna alchemia. (...) szuka pocieszenia w tym, co Virginia Woolf nazwała »chwilami istnienia«, tymi świetlistymi, wyjętymi poza czas momentami” (przeł. Piotr Tarczyński). Amerykański poeta jest jurorem Międzynarodowej Nagrody Literackiej im. Zbigniewa Herberta: Agi Mishol otrzymała ją w roku ubiegłym, laureatem tegorocznym został Niemiec Durs Grünbein, a w serii, w której wydano tom izraelskiej poetki, ukazał się wcześniej wybór wierszy piszącego w języku afrikaans Breytena Breytenbacha, nagrodzonego w roku 2017. ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Za bezdurno

Pięćset tysięcy. Tyle dawek remdesiviru wykupiły USA – co oznacza, że przez trzy miesiące nikt poza Amerykanami nie będzie miał dostępu do leku przydatnego w leczeniu COVID-19. Nie ma co jęczeć, że Ameryka zachowała się „egoistycznie". Jakoś trudno mi sobie przypomnieć, kiedy ostatnio się tak nie zachowywała. To i tak tylko przedsmak paskudnego wyścigu, który się rozpędzi, kiedy do fazy produkcyjnej trafią pierwsze szczepionki.

Ale dlaczego te pół miliona dawek to cała trzymiesięczna produkcja? Nie dałoby się tego leku po prostu wytworzyć więcej? Nie da się, bo to własność wielkiej kalifornijskiej firmy Gilead, która swoje pięć miliardów rocznego zysku netto czerpie przecież nie z tego, że puszcza patenty za darmo. Nie pracują tam rzewne pensjonarki, co było widać pod koniec marca, kiedy firma załatwiła dla remdesiviru status „leku sierocego", czyli leku na rzadką chorobę, która dotyka mniej niż 200 tys. ludzi. Producenci w takim przypadku mogą liczyć na dodatkowe wsparcie państwa i lepszą ochronę prawną.

A gdyby tak państwo zwróciło firmie uzasadnione koszty badań i zdjęło z leku patent dla dobra ogółu? O, taką suwerenność bym docenił i z chęcią poparł, choćby pani ambasador na Twitterze grzmiała, że to komunizm i zamach na święte prawo własności. Komunizm może nie, ale na pewno upraszczam jak rasowy populista. Gdy się jest częścią gęstego systemu wymiany i handlu, to naruszając delikatną układankę w jednym miejscu, można uruchomić procesy w końcowym rozrachunku szkodliwe dla ogółu. Ale z drugiej strony, nie umiem przestać myśleć, że pojęcie własności intelektualnej wyrządza w pewnych dziedzinach więcej szkody niż pożytku. Owszem, część mojego zarobku powstaje wtedy, gdy inni płacą mi za słowa, ale i tak sądzę, że wytworzony wokół tego rodzaju własności system często zamiast ochroną owoców talentu skutkuje oliwieniem interesów licznych nietwórczych podmiotów, które się wokół tego kręcą.

Może zabrnęliśmy za daleko i pozostaje nam ponarzekać, że z patentami na leki to tak po ludzku granda, a potem pokornie sięgnąć po portfel. Niech inni za mnie myślą, prosty kucharz bez dyplomu tyle wie o prawie, ile wyczyta z gazety, w którą mu zapakowali włoszczyznę na targu. Na razie nie musi więcej: te kilka razy, kiedy zdarzyło mi się wejść do Sejmu, zjadłem w tamtejszych bufetach tak podle i nijako, że nie dziwię się, iż posłom klecącym ustawę o prawie autorskim nie przyszło do głowy, iż dobry obiad to też „dzieło". A w kuchni niewątpliwie dzieją się cuda twórczego geniuszu. Na razie z dala od oczu prawników – jedyne znane mi przypadki, gdy taka ochrona objęła jedzenie, to dania z sieci fast foodów. I dobrze, że nie można ich replikować, mniej będzie paskudztwa na świecie.

Wiele potraw ma nieostrą definicję, niejasne korzenie i zmienny w czasie skład oraz wygląd. Dlatego nikt nie będzie nasyłał na nikogo prawników za to, że podał ogórkową bez licencji. Pewne kanoniczne połączenia – np. młode ziemniaki i koperek – należy uznać za fragment dziedzictwa narodowego i oddać pod pieczę resortu, którego szef, sądząc po obnoszonej w mediach minie, gustuje raczej w kiszkach wątrobianych z dużą ilością chrzanu.

Ale znamy też z kuchni sporo „wynalazków", które powstały w konkretnych głowach i są na to świadectwa. Ładnie byśmy wyglądali, gdyby pewien barman z weneckiego hotelu zechciał opatentować koktajl Bellini, który wymyślił w połowie zeszłego stulecia. Przy czym połączenie brzoskwini i musującego wina nie jest aż takim znowu błyskiem geniuszu. Jednak stworzenie deseru tiramisu' już o geniusz się ociera, a jednak nikt nie trzyma na niego licencji (tych przestępców, co dodają bitej śmietany, spotka, owszem, kara, ale nie na tej ziemi i nie z ludzkiego prawa). Pan Oskar Pischinger mógłby żądać opłaty za wafelki, podobnie Franz Sacher i inni wielcy, lub niekoniecznie wielcy, ale pracujący dla znamienitych panów.

A jednak nie. Każdy z nas, kto dużo pracuje w kuchni, sięga po cudze pomysły, oryginalne, niepochodzące z mglistej tradycji. Każdy dokłada swoje cegiełki, swoje koncepcje. Czasami nawet nadaje tradycyjnie brzmiące nazwy, bo wydaje mu się, że wtedy goście chętniej zjedzą, niż gdyby im powiedzieć: „wymyśliłem to wczoraj, przypadkiem". Oddaje za bezdurno. Ciesząc się, jeśli ktoś to skopiuje, powieli, poniesie dalej. Może nie da się tak całego świata urządzić, ale dobrze jest mieć zakątek, gdzie pomysły nie są na procent. ©℗

Puszczę w obieg pomysł, który wedle dostępnej mi wiedzy pojawił się na ziemi po raz pierwszy w mojej łepetynie. To kanapkowa wariacja na temat wenecko-żydowskiej przekąski ze smażonych sardeli w kwaśnym sosie saor. Kroimy w cienkie piórka 2 duże cebule, na dużej patelni dusimy je pomalutku w 3 łyżkach oliwy – ale naprawdę pomału, jeśli zaczną podsychać, skrapiamy lekko wodą lub białym winem. Kiedy będą bardzo już zeszklone, dodajemy 6 filecików anchois i podgrzewamy dalej kilka minut, aż się rozpuszczą. Na koniec garść namoczonych rodzynek. Studzimy, przekładamy do miski, miksujemy. Gotową pastę doprawiamy porządnie białym octem winnym, powinna być kwaskowata, i ewentualnie solą. Na grzankach możemy udekorować paroma rodzynkami (chociaż jeśli podajecie je podczas przyjęcia na stojąco, te rodzynki pospadają wam na podłogę; wiem to z doświadczenia).

ADOBE STOCK

WASZE RĘCE, WASZE OCZY

To nie władza stwarza posłuszeństwo, lecz posłuszeństwo stwarza władzę. Kto czerpie przyjemność z tyranii?

MAREK BIEŃCZYK

Kiedyś wpadłem na ten cytat w tekście o zbyt szczupłych modelkach, poddanych tyrańskiej władzy kreatorów mody. Później – w książce o kulisach kuchni w gwiazdkowych restauracjach zarządzanych przez szefów-zamordystów. Następnie w tekście z roku 2010 o letargu społeczeństw w dobie liberalizmu. O jego autorze na łamach „Tygodnika" wspominali w ostatnich latach Zygmunt Bauman, Grzegorz Jankowicz, Dariusz Kosiński i Tadeusz Sławek.

Oto ów tekst: „Chciałbym na tę chwilę to jedno choć pojąć: jak to się dzieje, że tyle wiosek, tyle miast i narodów, tylu ludzi znosi władztwo jednego tyrana, który nie ma innej

ALEXANDER DEMIANCHUK / TASS / GETTY IMAGES

Defilada z okazji 70. rocznicy założenia Korei Północnej. Pjongczang, 9 września 2018 r.

mocy niż ta, co mu ją oni dają, który zadawać im szkody może dlatego tylko, że życzą sobie jej zaznać, i który nie mógłby żadnej im wyrządzić krzywdy, gdyby cierpieć nie woleli bardziej, niźli się sprzeciwiać. Kwestia to zadziwiająca – a przecież tak pospolita, że raczej niż nią się zdumiewać, powinno się nad nią ubolewać – że miliony ludzi tak nędznie się poddaje, wkłada głowę pod jarzmo nie dlatego, by zmuszała ich do tego siła wyższa, lecz dlatego, że pociąga ich i by tak rzec urzeka imię jednego człowieka, którego nie powinni się obawiać – skoro jest tylko jeden – ani kochać, skoro jest dla nich nieludzki i okrutny".

Cytat należy już do obiegowych i przytacza się go intensywnie na lewo i prawo, zwłaszcza na blogach politycznych. Wyszedł spod ręki Étienne'a de La Boétiego (1530–1563), przyjaciela Michela de Montaigne'a. W podręcznikach szkolnych unieśmiertelniła La Boétiego fraza Montaigne'a wypowiedziana po jego przedwczesnej śmierci: „Bo to był on, bo to byłem ja". Uznaje się ją za najpiękniejszą definicję przyjaźni.

La Boétie, osoba wzbudzająca od razu sympatię i czułość, co jakiś czas wynurza się z otchłani zapomnienia, by obsłużyć kolejne antyautorytarne uniesienie. Cytat pochodzi z książeczki, którą napisał gdzieś między 16. a 18. rokiem życia. Tekst jest obecnie często wznawiany, opiewany za swą „aktualność", „nowoczesność", „proroczą trafność" itp.

Ukazał się także u nas w roku 2008 w przekładzie i opracowaniu Krzysztofa Matuszewskiego pod tytułem: „Rozprawa o dobrowolnej niewoli". W dawnych czasach równolegle lub jako dodatek funkcjonował tytuł „Przeciwko jednemu"; to jego używał Montaigne wiele lat po śmierci przyjaciela.

Resztę poproszę

W swoim krótkim życiu La Boétie zdążył jeszcze przetłumaczyć kilku pisarzy antycznych i wypowiedzieć się o kondycji tłumacza. Był też poetą, autorem 29 sonetów. Zajmował się czynną polityką, m.in. jako doradca parlamentu bordoskiego (mianowany dwa lata przed osiągnięciem wymaganego wieku) brał udział w negocjacjach między katolikami i protestantami podczas wojen religijnych nękających wówczas Francję. Umarł na gruźlicę lub dżumę, a od pierwszych symptomów do chwili śmierci upłynęło niewiele czasu; w ostatnim dniu zdążył napisać testament cedujący na Montaigne'a literacki dorobek. Wspomniany tekst ukazał się dopiero kilkanaście lat po jego napisaniu, w 1574 r., wcześniej – za życia La Boétiego i po jego śmierci – krążył w odpisach.

W roku 1960 Emil Cioran napisał esej „W szkole tyranów". Zajmował się w nim przede wszystkim psychologią tyraństwa i strategiami tyranów jako głównym motorem dziejów, mniej interesował go obiekt ich władzy, czyli podwładni, lud. La Boétie, przeciwnie, skupia się w swych rozważaniach na poddanych, wychodząc od pytania, a raczej od zdumienia, które nie chce go opuścić: jak to jest możliwe, że ludzie z własnej woli ulegają władzy tyrańskiej, woli mocy jednego człowieka? Jak to się dzieje, że są niezłomnie gotowi, powiedzielibyśmy dzisiaj sławetną formułą, „popierać i nie przeszkadzać"? Jest to pytanie, które wielu z nas zadaje ostatnio sobie, innym, w ostateczności ptakom za oknem. „Boże mój, skąd to wszystko? Jak nazwać to nieszczęście? Czym jest ta przywara, okrutna przywara sprawiająca, że nieskończona ilość ludzi nie tylko jest posłuszna, lecz także gotowa służyć; nie jest rządzona, lecz podlega tyraństwu?".

Cioran nie miał złudzeń: „»A lud?« – zapytają. Myśliciel albo historyk używający tego słowa bez ironii sam siebie dyskwalifikuje. Zbyt dobrze wiadomo, co pisane jest »ludowi«: znosić kolej rzeczy, znosić fantazje władców, służyć celom, które ranią go i gnębią. Każde doświadczenie polityczne, choćby najbardziej »postępowe«, przynosi mu szkodę, obraca się przeciw niemu: lud nosi, boskim lub diabelskim wyrokiem, stygmaty zniewolenia. Nie warto się nad nim użalać; znikąd dlań pomocy. Narody i cesarstwa powstają dzięki jego życzliwości dla krzywd, których pada ofiarą. Nie ma głowy państwa ani zdobywcy, który by nim nie gardził; lecz on przyzwala na tę pogardę i z niej żyje. ↦

↦ Gdyby tylko przestał być bezwolną ofiarą, społeczeństwo by upadło, a wraz z nim całe dzieje. Nie bądźmy zanadto optymistami: nic w ludzie nie skłania do rozważenia tej pięknej ewentualności. Taki, jaki jest, lud stanowi zachętę do despotyzmu".

W tej szarży streszczają się wstępne poglądy La Boétiego; właściwie Cioran je przepisuje, tyle że wyraża dosadniej. Ale poddanym tyrana poświęca ledwie jeden akapit; szkoda mu czasu na tę kwestię; dzieje powstają na tronach, a nie na zydlach. La Boétie nią zajmuje się przede wszystkim i, choć krytyczny, daje „ludowi" szansę.

Zaczyna od politycznego audytu, za którym stoi w pamięci pisarza despotyczna tradycja feudalna. Natrętnie pyta uciśnionych o przyczynę stanu rzeczy i od razu sam odpowiada na swoje przykre pytania: „Skąd wziął tyran tyle oczu, którymi was śledzi? Bo mu ich nie zawiązaliście". A „skąd wziął tyle rąk, by was uderzać? Bo mu daliście własne". I dalej nie daje spokoju: „Czyż stopy, którymi depcze miasta, nie są waszymi? Czy władza, którą ma nad wami, nie od was pochodzi? Czy gnębiłby was bez waszego przyzwolenia?". „Czy nie jesteście zdrajcami siebie samych?", „wspólnikami mordercy, który was zabija"?

Ten retoryczny i oskarżający tryb pytający coś przypomina. W czasach Montaigne'a żyło się o wiele krócej i szybciej się intelektualnie dojrzewało, lecz w końcu czytamy tekst bardzo młodego człowieka, kogoś, kto chce wykrzyczeć swoje oburzenie bezczelnością swego wieku, na nic się nie oglądając – jak dzisiaj Greta Thunberg. Tyle że ją w lektyce z milionów lajków niesie rozentuzjazmowany tłum, La Boétie zaś wypowiada swoje zgorszenie i zdumienie poza światłem reflektorów, w samotności i w ryzykownych warunkach politycznych, gdy sztuką przeżycia było lawirowanie.

Przez całą książkę daje obu tym uczuciom – zgorszeniu i zdumieniu – upust. Ci tyrani to przecież nikt prawie, ludzie jak wszyscy, z „jedną parą oczu i jedną parą rąk", nieraz „tchórze, którzy nie powąchali prochu na polu bitewnym, nie wystąpili na arenach rycerskich turniejów"; osobnicy „zniewieściali", niedający swoją cielesną obecnością powodów do podziwu i niekochający nikogo. Jak można tak im ulegać, ustępować, godzić się na wszystko, czego zechcą, nadstawiać za nich głowę, narażać w boju życie?

Skąd przyzwolenie na ich rządy, na współdziałanie w sprawowaniu przemocy? Na, mówiąc współcześniej, kolaborację? Skąd to głębokie, niepodważalne przyzwyczajenie do zastałej sytuacji, z którego ludzie przestali nawet zdawać sobie sprawę?

Nie wynika to, mówi La Boétie, z czystego tchórzostwa ani też wyłącznie z samych apanaży – choć oczywiście profity, dystrybuowane tak, by jednych poddanych przeciwstawiać drugim, odgrywają ważną rolę. Gdyby chodziło o niewielką grupę, można by mówić o zajęczym sercu, lecz chodzi przecież o ogół, „tysiąc miast, krain, ludzi". Jaka jest zatem inna przywara, która tłumaczy takie bezgraniczne poddaństwo i taki współudział w jego wymuszaniu, ta inna „potworna wada, która nie zasługuje nawet na miano tchórzostwa, która nie może nawet znaleźć dla siebie wystarczająco brzydkiego imienia, którą natura odwodzi od czci, a język nie chce nazwać?". Tą przeklętą wadą, tą wołającą o pomstę do nieba niecnotą, jest brak pragnienia. Ale pragnienia czego?

Człowiek umie przecież pragnąć, pożądać i nieraz uczyni wszystko, aby posiąść obiekty swego pożądania. Jednak jest coś wyjątkowego, czego nie ma siły prawdziwie pragnąć: nie umie pragnąć „dobra wielkiego i słodkiego", czyli wolności. A kiedy wolności nie ma, pojawia się „wszelkie możliwe zło" i „wszystkie inne rzeczy, naznaczone zniewoleniem, tracą smak".

Ludzie tak się przyzwyczaili do zniewolenia, do braku woli, że umiłowania wolności nie uznają już za coś naturalnego, że gardzą wolnością, bo gdyby jej pragnęli, toby ją mieli; zachowują się tak, jakby „nie chcieli się cieszyć tym cennym nabytkiem, gdyż zbyt łatwo wydaje się im osiągalny". A przecież „wolność jest naturalna; nie tylko się z nią urodziliśmy, ale też urodziliśmy się z pasją jej obrony".

Ograniczyć wolność można tylko z własnej woli w autentycznych relacjach przyjaźni i w harmonijnym życiu rodzinnym, które wymagają niekiedy wysłuchania i posłuszeństwa, lecz nie prowadzą do zniewolenia. Reszta powinna być protestem.

Recepta na krople

„Ucieczka od wolności" – tytuł i w dużej mierze temat swej najsłynniejszej książki z 1941 r. Erich Fromm mógłby wziąć bezpośrednio z rozprawy La Boétiego. Ucieczka od wolności jest przyczyną wszelkich politycznych i społecznych nieszczęść; głębokie uwewnętrznienie podległości prowadzi do wyostrzenia władzy autorytarnej i jej ekscesów.

Ale właśnie autorytarnej, nie tylko otwarcie dyktatorskiej. Również autorytarnej na sposób skryty, tak jak widzą ją krytycy kapitalistycznego globalizmu: władza turbokapitalistyczna zniewala, rozdając dobra przynoszące pocieszenie, trochę wygody. I dobra z czasem same stają się tyranem, produkowanym przez zniewolonych, wyobrażanym sobie przez zniewolonych, pożądanym przez zniewolonych i sprzedawanym oraz kupowanym przez zniewolonych.

I w tym przypadku sprawdza się lekcja La Boétiego: nie władza stwarza posłuszeństwo, lecz posłuszeństwo stwarza władzę. Współczesny eseista, odwołujący się do La Boétiego, gdy pisze o tyranii pieniądza, w taki – typowy dla krytyki kapitalistycznego rynku – sposób komentuje zdanie mówiące, że „pierwszą przyczyną dobrowolnego zniewolenia jest przyzwyczajenie": „I tak reklamy nakłaniają nas bez przerwy do wypróbowania nowego produktu (w istocie identycznego z poprzednim), aby wywołać wrażenie zmiany, przeto i wolności". Bo też wolność rynkowa nie ma nic wspólnego z wolnością ontologiczną i zbyt łatwo zdarza się konfuzja między tak ładnie – efektownym pleonazmem – nazwaną wolnością liberalną, wolnością liberalizmu a wolnością *sensu stricto*.

Trudno powstrzymać się przed taką czy inną pozahistoryczną, aktualizującą lekturą książki La Boétiego, tak bardzo jest ona gęsta i aż domagająca się westchnienia: „Już La Boétie mówił...". Przywrócę ją jednak na chwilę kontekstowi historycznemu.

Nie ma pewności, czy nie została napisana jako wyraz protestu po jednym z brutalnie stłumionych powstań chłopskich w roku 1548, czy nie była przez autora jeszcze po latach poprawiana pod naciskiem aktualnych wydarzeń. Jakkolwiek było, i tak została politycznie udomowiona. Czy raczej przywłaszczona przez środowiska hugenockie, które w tekście La Boétiego, choć katolickiego deputowanego, dojrzały

sympatyka ich sprawy. Zwłaszcza po rzezi hugenotów w noc św. Bartłomieja w roku 1572.

To protestanci doprowadzili do pierwszego wydania książkowego eseju i jego rozpowszechnienia, najpierw w anonimowych fragmentach włączonych w ich własne publikacje, a później, w roku 1577, w całości, choć jeszcze w ramach innego hugenockiego podziemnego druku, zwanego „Mémoires de Charles IX". W tamtym czasie, dziesięć lat po śmierci La Boétiego, esej jego uchodził po prostu za pamflet protestancki.

W La Boétiem upatruje się pierwszego anarchistę, czy też prekursora obywatelskiego nieposłuszeństwa.

Montaigne miał zamiar opublikować tekst przyjaciela w korpusie własnych „Prób" i nie uwzględnił go w wydaniu innych utworów La Boétiego, które przygotował. Tymczasem jednak wspomniany druk protestancki, który zdążył zyskać rozgłos, nakazem parlamentu bordoskiego uległ konfiskacie i symbolicznemu publicznemu spaleniu. Ostrożny Montaigne w ostatniej chwili wycofał esej przyjaciela z pierwszego wydania „Prób" (1580), zastępując go wzmianką o jego 29 sonetach.

Montaigne podjął się właściwie tego, co czynili komentatorzy przez pięćset lat, aż do dzisiaj: wyrwania tekstu La Boétiego z kontekstu historycznego (a więc z protestanckiego przywłaszczenia), wpisania go w perspektywę egzystencjalną i filozoficzną, w refleksję o wolności i powszechnej kondycji człowieka, czyli w uniwersalne spojrzenie z lotu ptaka, jakiemu sam oddaje się w „Próbach".

La Boétie, człowiek parlamentu z całego serca i ducha (dzisiaj powiedzielibyśmy: demokrata), był przeciwny silnym rządom jednostki i interwencjom militarnym, np. poskramianiu innowierców, co nie znaczy, że był zwolennikiem całkowitej tolerancji religijnej; Francja miała pozostać katolicka, bo tak się dzieje potoczyły, a z nimi się nie dyskutuje. Montaigne, aby odsunąć podejrzenia o sympatie prohugenockie, poczuł konieczność publicznego wyznania katolickiej wiary. I on, i La Boétie stali w zasadzie na straży państwa jednowyznaniowego, lecz obaj byli zwolennikami jak najdalej idących negocjacji.

Protestancka lektura tekstu La Boétiego była radykalna i za mocna wobec oryginału: sprzeciwić się autorytarnej władzy w imię wolności? No to już, nie czekać, do czynu, do broni! Tymczasem refleksja autora była innej, niegwałtownej, by tak rzec, natury. Jego koncepcja wolności nic nie mówiła o czynie do podjęcia. Do upadku lub osłabienia tyranii wystarczyło, by poczucie wolności wróciło w każdym z ludzi, w każdym z członków społeczności i zamieszkało w jego głowie. Wolność nie wiąże się u La Boétiego bezpośrednio z żadnym aktem politycznym, stanowi natomiast podstawę jestestwa, stan świadomości. Jeżeli osiągnie go większość, tyrania nie przetrwa w dotychczasowej postaci: wystarczy wola wolności, bo też „lud nie ma się wyzwolić, lecz tylko tego pragnąć". A resztę, gdy tyrania osłabnie, da się wynegocjować.

Tak idealistycznie (i chyba nowocześnie z punktu widzenia filozoficznego liberalizmu) pojmowana wolność jest zarzewiem buntu, lecz nie zarzewiem akcji: „Nie chcę, byście ich wypchnęli i strącili z piedestału, lecz tylko ich nie popierajcie, a zobaczycie, jak ogromny kolos, któremu odebrano cokół, spadnie siłą swego ciężaru i się złamie". Zamiast zbiorowego działania zaleca się więc jednostkową świadomość. Wolność indywidualna będzie tworzyła nas jako jednostki; w życiu publicznym możliwe są natomiast pertraktacje, przeciąganie liny, sprowadzenie nacisku władzy do właściwych proporcji. Autor wzywa do pewnej wspólnej postawy jednostek, lecz nie do jednorodnego buntu zorganizowanej grupy. Jednostek, z których każda osobiście musi odpowiedzieć sobie na pytania zadane zbiorowości. Na przykład: iść na wybory czy nie iść?

Do La Boétiego jako towarzysza drogi dobrać można przy tej okazji Henry'ego Davida Thoreau i jego „Obywatelskie nieposłuszeństwo" (1849). U Thoreau, podobnie jak u La Boétiego, człowiek bezgranicznie podporządkowany władzy jest „zwykłym cieniem, niejasnym odblaskiem ludzkości, wyblakłym jak żywy trup". I, podobnie, ruchy masowe nie mają samoistnej wartości; zbiorowość ma wartość wtedy jedynie, gdy tworzą ją jednostki zindywidualizowane, świadome własnej wolności, a nie „umasowione".

Koncepcję buntu u La Boétiego nazwałbym chętnie eseistyczną, przeciwną koncepcji rewolucyjnej czy, jak kto woli, ulicznej. Z pewnością jest mniej efektowna, obliczona na dłuższe trwanie i wymagająca, wysoce podmiotowa. Zwolennicy rewolucji zarzucą jej, że jest pięknoduchowska i nieskuteczna. Realistyczny La Boétie odpowiedziałby, że w sytuacji, jaka jest dana, przy takim układzie sił, jest najlepszą z możliwych: ta kropla wydrąży skałę.

Do Amora

Jak pisze Philippe Desan, autor nowej, głośnej biografii Montaigne'a, ów „przemienił swojego przyjaciela w poetę, podczas gdy kariera i reputacja tego ostatniego były z gruntu rzeczy polityczne". Ambicje Montaigne'a mierzyły wysoko i „Próby" w swym pierwotnym założeniu miały służyć autorowi za trampolinę do kariery politycznej; przewidywał, że znaczną ich część zajmie komentarz do tekstu przyjaciela.

Esej La Boétiego, który uznawał i teoretycznie, i w imię przyjaźni, nie mógł jednak sprostać zapotrzebowaniom realnej polityki i miast służyć karierze Montaigne'a, mógł jej zaszkodzić. Stąd wysiłek odpolitycznienia dorobku przyjaciela i ostateczne przeniesienie go w dziedzinę czystej literatury. A że później Montaigne wycofał się z życia politycznego i zagłębił w kwestie pozapolityczne, czyste uduchowienie przyjaciela, którego dokonał, tym bardziej mogło mu odpowiadać.

Skoro tak, przypatrzmy się dwudziestemu dziewiątemu sonetowi La Boétiego, poświęconemu zgodnie z ówczesną tradycją literacką Amorowi. Opowiada w nim o całkowitym oddaniu się władzy Amora, który pochłonął wszystkie sprawy jego życia. I teraz prosi Amora o przebaczenie. Nie za to, że może coś przed nim ukrył, lecz za to, że nie chciał mu ulec, i że tak długo z nim się zmagał i tak hardo strzegł własnego serca. Amor winien to docenić, „dobry zwycięzca ceni tych, którzy podjęli się boju".

Więc jednak: przeszkadzać, powalczyć.

© MAREK BIEŃCZYK

STANISŁAW

Mancewicz:
Kampania

Sumując kampanię wyborczą, czego nie sposób było zrobić w jej trakcie, trzeba koniecznie powiedzieć, a raczej może powtórzyć za innymi, podobnie nam rezolutnymi obserwatorami, że było to dno dna.

Kampania trwała bardzo długo, dzięki czemu można było spokojnie ustawić ostrość urządzeń obserwacyjnych i mieć pewność, że nic ważnego, jak się wydaje, nie uciekło nam z kadru. To zdanie zresztą sugeruje, że elementem kampanii mogło być coś malutkiego, wielkości wirusa dajmy na to, coś jednak ważnego na tyle, że warto byłoby się temu bliżej przyjrzeć. W istocie. Wirus był elementem tej kampanii, na tyle jednak małym, że nie dostąpił zaszczytu, by wokół jego morderczej działalności reklamowano jakieś pomysły na reformę służby zdrowia bądź by powiedziano nam cokolwiek mądrego o gospodarce, stosunkach społecznych i tak dalej. Nic z tych rzeczy. Nikt, prócz tych kilku zahukanych przez barbarzyńców profesorów i lekarzy, prócz kilku ludzi niecierpiących na totalną gąbczastość, nie wychylił się poza refleksje, które można by hurtem wydrukować w jakiejś encyklopedii osobliwości. Wirus, choć doprawdy jest to twór maluśki, znakomicie w Polsce wskazał, czym różni się mądrość od głupoty.

Ktoś powie, że gdzie indziej nie jest lepiej, a bywa gorzej. Owszem, bo co w zasadzie wynika z różnic w poradach medycznych Trumpa i Bolsonaro, od spostrzeżeń w tej kwestii premiera Morawieckiego? Tyle, po prostu, że kto nie chce umrzeć w gorączce i napadzie duszności, nie powinien słuchać ani jednego, ani drugiego, ani trzeciego. Wirus jest niegroźny i jest w odwrocie – to niemal dosłowny cytat z Morawieckiego, z oddaną intencją w stu procentach. Oto słuchać porad premiera własnego kraju i mieć całkowicie niepolitycznie motywowaną pewność, że człowiek ten bredzi, że jest to osobnik gruntownie nieodpowiedzialny, to nowość. Nowość jednak niespodziewana.

Różne mieliśmy kampanie w ciągu trzech dekad, ale takiej, w której zdrowie i życie obywatela miałoby tak niską cenę, nie było. Wynika z tego też spostrzeżenie interesujące zapewne dla weteranów. Otóż Polska nigdy nie była krajem, w którym jakakolwiek władza budziła jakiś szalony, bezkrytyczny entuzjazm i zaufanie. A teraz owszem. Zaiste, rzesze są rozentuzjazmowane przeróżnymi słowami, które na pewno nie są prawdziwe, fałszywymi już na pierwszy rzut oka opiniami i zapatrzone w nieistniejące, ale wyświetlane przez ludzi władzy światy. Pomijając, że jest to niepokojące, to jest też szalenie ciekawe. Skala zamiany w wyznawaniu miłości i zaufania organom władzy państwowej jest w Polsce ogromna. Ufność wobec władzy wykonawczej i ustawodawczej jako klasyczna polska cecha? No więc dawniej takie zdanie wygłoszone publicznie byłoby pretekstem do żartów i śmiechów. „Do okulisty idź człowieku – tak by mówiono – albo sobie odpocznij". Dziś nikomu nie chce się takiej opinii dokładnie przeczytać, jest tak oczywista.

Naturalnie, żadna kampania wyborcza w Polsce nie może się obejść bez wypisywania ludzi z tak zwanej polskości. To już tradycja w kraju słynącym z tolerancji. Jednak właśnie zakończona kampania była pod tym względem wyjątkowa. Z polskości wypisano tym razem po prostu wszystkich, którym się cokolwiek nie podoba w poczynaniach Dudy, Kaczyńskiego i Morawieckiego z Glińskim. I już. Zapasy nadających się do wypisania z polskości z roku na rok maleją w zastraszającym tempie. Można sobie wyobrazić, że ci wyżej wymienieni będą kiedyś jedyną i ostatnią niewypisaną z polskości czwórką Polaków. To jest tu możliwe.

Kampania była męcząca przez sprawy, które były jej sednem, a które tak czy owak sednem rzeczywistości nie są. Była też popisem infantylizmu i nietłumionych już niczym chamstwa, rasizmu i przemocy. Wyobrażenie sobie – na podstawie doświadczenia ostatnich miesięcy – jak będzie wyglądać następna, jest nietrudne. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

REKLAMA

Podróż dopiero się zaczyna...

Aviation Management

– studia anglojęzyczne we WSIiZ

WYŻSZA SZKOŁA INFORMATYKI i ZARZĄDZANIA
z siedzibą w Rzeszowie

wsiz.rzeszow.pl/**studialotnicze**

REKLAMA

WYŻSZA
SZKOŁA
JĘZYKÓW
OBCYCH

ANGLISTYKA
KOREANISTYKA
FILOLOGIA NORWESKA
FILOLOGIA SZWEDZKA
SINOLOGIA
HISPANISTYKA
JAPONISTYKA
LINGWISTYKA STOSOWANA
SKANDYNAWISTYKA
GERMANISTYKA

STUDIUJ NOWOCZEŚNIE

WSJO.PL

Wyższa Szkoła Języków Obcych im. Samuela Bogumiła Lindego, ul. Św. Czesława 6, 61-577 Poznań, info@wsjo.pl, +48 606 450 341